

PROF. ADAM GIEREK TRZY KADENCJE W BRUKSELI

GEN. BERLING WYMAZYWANY Z HISTORII

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ
MORAWIECKI KŁAMIE NIEUSTANNIE



OFE

KTO ZAROBIŁ KTO STRACI



Bartłomiej Topa

Sandra Koneniak

Andrzej Szera meta

film
Piotra Subbotina

DZIURA W GŁOWIE

W KINACH OD 17 MAJA



DYSTRYBUTOR



PATRONI MEDIALNI



eprasa.pl 09954960d4



GŁOS KULTURY



CYTATY

JERZY URBAN,
redaktor naczelny

*Egzaminy
przeprowadzane przez
ignorantów są lipą
i na ogół zdają je
z wyróżnieniem nawet
matoły.*

„Nie”

JACEK KRZYSZTOFOWICZ,
teolog, psychoterapeuta

*Pokora to postawa, która
pozwala nam uznać, że
choć jesteśmy wyjątkowi,
to również tacy jak
wszyscy.*

„Charaktery”

DR PIOTR NOWAK,
socjolog, UJ

*Twierdzenie, że można
produkować żywności
dużo, tanio i o wysokiej
jakości, to oszustwo.*

„Dziennik Gazeta Prawna”

MAGDALENA CIELECKA,
aktorka

*Nie mam poczucia,
że jestem piękną.*
I mówię to bez kokieterii.

„Pani”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Bunt odłożony na wrzesień

W tej partii wszystko musi być pod sznurek prezesa. I jak Kaczyński powiedział, że nikt im nie wmówi, że białe jest białe, a czarne jest czarne, to Morawiecki nie mógł zrobić oświatowego okrągłego stołu przy okrągłym stole. W PiS okrągły stół był prostokątny. A na obrady wybrano Stadion Narodowy. Może spodziewano się tłumów?

Nic z tego. Wyszło jeszcze gorzej, niż przepowiadali pesymiści. Z szulerami do stołu usiedli głównie desperaci. I garstka ludzi dobrej woli, którzy uwierzyli, że ta władza chce coś sensownego zrobić w oświacie. Nie przeszkadzały im, jak widać, cztery lata chaosu, bałaganu, bezsensownych decyzji i skrajnego upolitycznienia Ministerstwa Edukacji Narodowej i kuratoriów. Prostokątny stół jako reakcja rządu na masowy bunt nauczycieli potwierdza tylko jedno: największym problemem polskiej oświaty są rządzący. A już ta ekipa w szczególności. Minister Zalewska jest w prostej linii następczynią fatalnych rządów Giertycha. A Kluzik-Rostkowska z PO? Jakie problemy oświaty udało się jej rozwiązać? Na tym tle najjaśniej świeci Krystyna Łybacka.

Czyż nie ma racji internauta, który przypomina, że błędy lekarzy kryje ziemia, a błędy nauczycieli siedzą w Sejmie i w rządzie? Bo jak inaczej ocenić to, że władza wydelegowała do rozmów z nauczycielami wicepremier Szydło. I ta im opowiadała o pustej kasie państwowej. Mówiła to do ludzi, którzy słyszeli, jak krzyczała, że wysokie premie, które sama sobie przyznała, po prostu jej się należały. Podobnie jak premie, którymi obdarowała cały rząd.

Takie podejście PiS do oświaty zamyka możliwość merytorycznych rozmów i znalezienia kompromisu. Jeśli zamiast korzystać z istniejącej i aktywnej Rady Dialogu Społecznego, wybiera się farsę na stadionie, to sygnał dla Polaków jest jasny: nie chcemy żadnego dialogu. Chcemy waszej kapitulacji i pełnego podporządkowania. Po prostokątnym stole nic się nie zmieniło. Władza po staremu szydzi z nauczycieli. Kpi z tego środowiska. Ma tam swoje przyczółki, czego dowodem jest ustawka z nauczycielską Solidarnością.

Ma jednak też strach w oczach. Widać to było, gdy jak zwykle nocą przevorsowała ustawy ograniczające uprawnienia nauczycieli. A Duda błyskawicznie je podpisał. Władza ma czego się bać. Strajk został tylko zawieszony. A do 1 września już tylko cztery miesiące. Finał protestów nauczycieli może być także finałem tych, którzy z nich szydzą.

Na nasze apele licznie zareagowali Czytelnicy. Dziękuję za wspierające listy. Za rady i pomysły. Za przelewów oczywiście też.

FAUL

Ranking wstydu

Żonglowanie nazwami nikogo nie zmyliło. Raport Reporterów bez Granic jest bezlitosny. Polska ciągle wypada gorzej. 59. miejsce na 180 ocenianych krajów. Gdy PiS zamiast mediów publicznych zafundowało nam media narodowe, wiadomo było, że będzie marnie. Chrząst okazał się tylko sprytnym kamuflażem. Naród dostał figę. Propaganda zastąpiła informację. A media, które były tubą władzy, teraz dmą w interesie PiS jak trąby jerychońskie. Na stanowiska kierownicze w TVP, Polskim Radiu i PAP posadzano działaczy partyjnych. Durnych, ale gorliwie pilnujących dyrektyw.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Kto zarobi(l) na OFE**
Dlaczego PiS chce zmian
w funduszach emerytalnych
- 14 Morawiecki kłamie nieustannie**
– rozmowa z Włodzimierzem
Cimoszewiczem
- 16 Wychowani na smartfonie**
Dzieci pogubione bez telefonów
- 48 Sprzedam pałac za złotówkę**
Czyli pomysł na Trzebiechów

ZAGRANICA

- 18 Ameryka nie dla pracujących matek**
– rozmowa z Caitlyn Collins
- 22 Odprawić Butefa do Walhalli**
Algierski ruch sprzeciwu
- 26 Drugie życie jedzenia**
Piwo z chleba

DALEKA BRUKSELA BLISKA LUDZIOM

- 21 Gdy wciąż mówią zostać**
Krystyna Łybacka – europosłanka z klasą

HISTORIA

- 28 Berling wymazywany z historii**
Niepotrzebny generał?

OPINIE

- 32 Adam Gierek**
Trzy kadencje w europarlamencie
- 46 Eugeniusz Jabłoński**
Dwa dylematy Kościoła

KULTURA

- 36 Barok w barze**
– rozmowa z Janem Tomaszem Adamusem
- 40 Culturalia**
- 52 Twarze. Sony World Photography Awards**
- 66 30 lat galerii Milano**

KOŚCIÓŁ

- 42 Krąg rozpusty**
Grzechy Watykanu

ZDROWIE

- 54 Wyprowadzić padaczkę**
Przełom w leczeniu epilepsji u dzieci

OBSERWACJE

- 56 Zostawcie ich w spokoju!**
Sentinel Północny nie życzy sobie gości

NAUKA

- 58 Pies – prymus w nauce o człowieku**

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Bunt odłożony na wrzesień
- 25 Jan Widacki**
Głupie Polski szkalowanie
- 31 Roman Kurkiewicz**
Katolickie odciski palców
- 39 Agnieszka Wolny-Hamkała**
Sprawa lalek
- 47 Tomasz Jastrun**
Okna na Krakowskie Przedmieście
- 51 Edward Mikołajczyk**
Boski Léon



26

DRUGIE ŻYCIE JEDZENIA

Piwo z chleba

ZAGRANICA



36

KULTURA

BAROK W BARZE

– rozmowa z Janem Tomaszem Adamusem



58

NAUKA

PIES

– prymus w nauce o człowieku

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. FOTOLIA



Rozmowa z prof. JACKIEM RACIBORSKIM

MAJOWE KOMUNIE – folklor i pompa

BRYTYJSKI HUMOR BREXITOWY

✉ Zdecydują rodzice

Podwyżki dla nauczycieli nie rozwiążą dużo poważniejszych problemów polskiej edukacji, choć niewątpliwie byłby to ważny krok naprzód. Twierdzenie władzy, że nie da, bo nie ma, to zwykłe kłamstwo. W ciągu 10 lat polski rząd zamierza wydać na zakupy broni ok. 185 mld zł. Prosty rachunek wskazuje, że ledwie połowa tej sumy wystarczyłaby na spełnienie płacowych oczekiwań nauczycieli. I jeszcze zostałoby na doposażenie szkół. Ale Polacy wolą bez mrugnienia okiem karmić tłuste koty amerykańskich korporacji zbrojeniowych, niż inwestować w przyszłość swoich dzieci. Piszę Polacy, bo te ogromne wydatki militarne nie spotykają się z nawet śladową krytyką ze strony społeczeństwa.

Czy wszyscy już uwierzyli, że Polsce naprawdę grozi straszliwe niebezpieczeństwo ze Wschodu? A może boją się oskarżenia o bycie agentami Putina? Albo groźnych pomruków ze strony amerykańskiej ambasady, gdyby tylko zasugerowali, że należy coś uszczknąć z tych lukratywnych kontraktów? No cóż – tak kończy każda republika bananowa, która się dostanie pod amerykańskie wpływy. Niepodzielna władzę sprawuje prawicowa oligarchia, która pilnuje amerykańskich interesów kosztem własnego społeczeństwa. Odpowiednią nadbudowę ideologiczną zapewnia IPN



– pozostająca poza jakąkolwiek społeczną kontrolą inkwizycja polityczno-historyczna. Głosy protestu zostają zduszone i zmarginalizowane. Ale w końcu jest demokracja – naród masowo popiera proamerykańskie partie, więc dostanie to, co sobie wybrał.

Radostaw

✉ Nie będzie „Wielkiej Gry”

Przy dzisiejszym stanie umysłów większości Polaków ogłupionych POPiSowo po 1989 r. nie ma szans na wznowienie „Wielkiej Gry”. Wystarczy obejrzeć jeden odcinek „Milionerów” i spalić się ze wstydu, że ma się takich debilnych rodaków.

amelie2



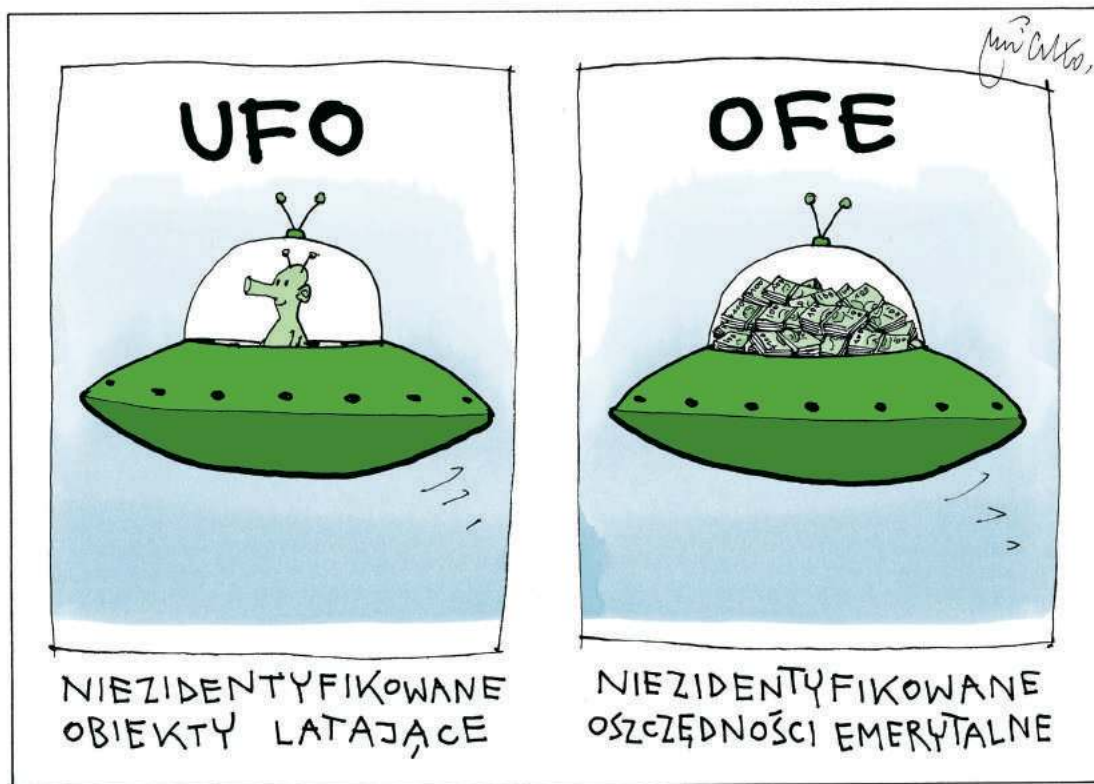
f Ballada o Nowej Hucie

Pracował tam i mieszkał z rodziną mój bliski kuzyn. Był magistrem inżynierem, dobrze zarabiał. Miał ładne mieszkanie. W zasadzie dla tysięcy ludzi tam zatrudnionych i mieszkających to był raj na ziemi. A ile zespołów artystycznych i sportowych tam działało! Nauka, zawody sportowe, sztuka – kto wtedy tam nie był i nie pracował, niech się nie wypowiada.

Olga Waryniak



Mural „Cholera” malowany w ramach kampanii, której celem jest zwrócenie uwagi na cierpienia chorych. Sana, Jemen.



PYTANIE TYGODNIA | Czy polscy politycy korzystają z brudnej kampanii typu boty i trolle?

PROF. DARIUSZ JEMIELNIAK,
teoretyk zarządzania, Akademia Leona Koźmińskiego

W Polsce od kilku lat mniej lub bardziej skutecznie stosuje się nowoczesne media w walce politycznej, w tym oczywiście armię botów czy wynajmowanych trolli (jak i fikcyjnych entuzjastów). Nie mówi się o tym głośno, ale sprawa łatwo wychodzi na jaw przy okazji różnego rodzaju szczytów poparcia czy anomalii ruchu, względnie przy niechlujnie robionych materiałach – kiedy wynajęta armia dostaje gotowe identyczne wypowiedzi zamiast ogólnej linii argumentacji.

ANNA MIERZYŃSKA,
analityczka mediów społecznościowych

W 2018 r. badacze związani z uniwersytetem w Oksfordzie opublikowali raport z badań nad stosowaniem tego typu narzędzi przez polityków w różnych krajach. Wyraźnie podkreślono w nim, że polskie partie polityczne nie tylko dysponują zorganizowanymi grupami wolontariuszy publikujących w internecie opinie zgodne z linią danego ugrupowania, ale także z całą pewnością korzystają z usług profesjonalnych agencji zapewniających im boty i trolli. Mamy dowody na takie praktyki,

a ich efekty mogą obserwować wszyscy śledzący media społecznościowe. Trzeba przyznać, że proces jest tak organizowany, by nie można było jednoznacznie stwierdzić, że ten polityk z nich korzysta, a inny nie. Możemy natomiast być pewni, bo pokazały to doświadczenia innych państw, że takie chwytły wpływają na zachowania obywateli, także wyborcze. Boty i trolle są skuteczne w kreowaniu nastrojów, zwłaszcza negatywnych, a także we wpływaniu na aktywność użytkowników sieci. Jeżeli ktoś, kto tego wcześniej nie doświadczył, przeżyje po swojej wypowiedzi silny atak trolli, dochodzi do efektu mrożącego: taka osoba ogranicza aktywność w mediach społecznościowych. Wszystkie tego rodzaju efekty są dobrze opisane, ale tak jak w przypadku każdego narzędzia oddziaływania na ludzi nie jesteśmy w stanie ustalić ich rozmiaru, np. tego, jak zmieniają poparcie dla poszczególnych formacji.

MARCIN GIEŁZAK,
ekspert od cyfrowych rozwiązań społecznościowych

Byłoby co najmniej zastanawiające, gdyby Polska była jedynym krajem rozwiniętym, w którym nie stosuje się tego rodzaju technik. Rosjanie mają na nie

zręczne określenie: technologia polityczna. My również mamy swoich „technologów”. Nieraz są to asystenci posłów czy inne osoby z otoczenia partii albo komitetu wyborczego, formalnie zatrudnione w spółkach, które świadczą politykom usługi marketingowe czy informatyczne. Typowym narzędziem ich pracy są boty, czyli programy wykonujące czynności w zastępstwie człowieka. W tym przypadku chodzi o fałszywe konta w mediach społecznościowych, które powielają komunikaty pożądane z punktu widzenia polityków. Partie mogą też liczyć na zaangażowanie pasjonatów. Nie przeceniałbym mocy sprawczej „cyfrowych żołnierzy wyklętych”, określających się mianem #DrugiejZmiany, ani analogicznych grup po stronie opozycyjnej – ale też bym ich nie lekceważył. Człowiek, który wysyła 300 tweetów dziennie, w zasadzie decyduje się na drugi etat w służbie sprawy, a takich ludzi jest niemało.

KLAUDIA MAKSIŚ,
czytelniczka PRZEGLĄDU

Jasne, że tak. Mam już nawyk sprawdzania kont i zgłaszania tych, które wydają mi się podejrzan.

Notował Michał Sobczyk



Kto zarobi(ł) na OFE

Dlaczego PiS chce zmian w funduszach emerytalnych



Przyszli emeryci mieli spędzać radosne wakacje pod palmami.

Leokadia Oręziak

Otwarte fundusze emerytalne (OFE) zaczęły funkcjonować od 1999 r. Mija więc właśnie 20 lat ich istnienia. Już wiele lat temu, bo w styczniu 2010 r., pisałam, że OFE należy całkowicie zlikwidować („Polityka” nr 5). Do tej pory nie udało się tego dokonać, choć dzięki zmianom wprowadzonym w 2011 i 2014 r. wielkość OFE udało się znacząco ograniczyć. Z ogłoszonych niedawno przez rząd planów wynika, że fundusze te w dotychczasowej formie przestaną istnieć od 2020 r., aktywa zaś (162 mld zł na koniec marca br.) zgromadzone w nich przez członków funduszy (ok. 16 mln osób) zostaną przekazane na indywidualne konta emerytalne (IKE), po potrąceniu tzw. opłaty przekształceniowej w wysokości 15%, mającej trafić do ZUS. Ponieważ środki znajdujące się w OFE są środkami publicznymi (co stwierdził Sąd Najwyższy w 2008 r. i Trybunał Kon-

stytucyjny w 2015 r.), ich planowany transfer do IKE, czyli na rynek finansowy, będzie stanowić prywatyzację majątku publicznego na niespotykaną dotychczas skalę, nie tylko w historii Polski. Byłaby to prywatyzacja specyficzna, bo państwo nie otrzymałoby nic w zamian. W istocie więc byłaby to nieodwracalna darowizna ogromnych pieniędzy publicznych na rzecz osób prywatnych.

Głównymi beneficjentami tej darowizny byłyby jednak prywatne instytucje finansowe, szczególnie towarzystwa zarządzające funduszami emerytalnymi i inwestycyjnymi, a także banki, firmy ubezpieczeniowe, gracze giełdowi oraz liczne instytucje pomocnicze, w tym domy maklerskie. Wygląda na to, że rząd jest w stanie poświęcić ponad 130 mld zł publicznych pieniędzy, by mieć na realizację wydatków wyborczych kwotę ok. 20 mld zł ze wskazanej opłaty przekształceniowej. Jeśli rządowe plany dotyczące transferu z OFE na rynek finansowy zostaną zrealizowane, byłaby to kontynuacja

wprowadzania w życie neoliberalnej ideologii, która przyświecała reformie emerytalnej w 1999 r., zwłaszcza ustanowieniu OFE.

Założenia ideowe OFE

W 1999 r. przeprowadzona została w Polsce radykalna reforma emerytalna podważająca ideę solidarności społecznej i wprowadzająca zasady rynkowe do systemu emerytalnego. Istniejący poprzednio tradycyjny, re-partycyjny system zapewniał redystrybucję niezbędną do łagodzenia nierówności dochodowych wśród emerytów. Na wzór rozwiązań przyjętych w krajach wysoko rozwiniętych system ten mógł być łagodnie dostosowywany do zmieniającej się sytuacji demograficznej. Wiadomo bowiem było, że nie da się utrzymać występującej w jego ramach wysokiej stopy zastąpienia (w uproszczeniu relacji emerytury do płacy), sięgającej 70%. W Polsce wybrano jednak skrajnie neoliberalne rozwiązanie. Tradycyjny system emerytalny

zastąpiono dwoma nowymi obowiązkowymi filarami: pierwszy filar to nowy ZUS, drugi to filar kapitałowy w postaci OFE. W obu przyjęto zasadę zdefiniowanej składki, czyli indywidualistyczną zasadę „ile uzbierasz sobie składek, taką będziesz mieć emeryturę”, sprzeczną z filozofią systemu zabezpieczenia społecznego. W przypadku filara ZUS-owskiego oznaczało to odejście od zasady zdefiniowanego świadczenia, co było ukrytym sposobem na zmniejszenie emerytur o ponad połowę.

W momencie wprowadzania reformy, a także długo potem, jej twórcy nie powiedzieli Polakom otwarcie, że celem tych fundamentalnych zmian jest drastyczna redukcja świadczeń emerytalnych. Trzeba podkreślić, że w państwach demokratycznych nie jest możliwe oszustwo na taką skalę, jak to miało miejsce w Polsce. W czasie wprowadzania reformy nie tylko unikano mówienia społeczeństwu prawdy o niej, ale jeszcze politycy, media i neoliberalni ekonomiści, poprzez intensywną propagandę, przekonywali, że nowy system zapewni

Już w styczniu 2010 r. pisałam, że OFE należy całkowicie zlikwidować.

wysokie dochody emerytom, tak że stać ich będzie nawet na tzw. wczasy pod palmami. Do tego miało się przyczynić w szczególności ustanowienie od 1999 r. drugiego przymusowego filara w systemie emerytalnym, w postaci OFE. Jako uzasadnienie jego stworzenia podawano przede wszystkim postępujące starzenie się społeczeństwa i obawy, że publiczny system emerytalny będzie w długiej perspektywie niewypłacalny. Podkreślano, że tradycyjny repartycyjny system emerytalny nie będzie w stanie zapewnić emerytur, gdyż coraz mniej liczne pokolenie aktywne zawodowo będzie musiało utrzymywać coraz większą grupę emerytów.

W tej sytuacji intensywnie propagowano ideę powiązania emerytur z rynkiem finansowym, czyli inwestowania składek emerytalnych w różne aktywa finansowe, w tym akcje i obligacje (także obligacje skarbowe), po to by ze zgromadzonych środków wypłacać w przyszłości emerytury. By przyciągnąć jak najwięcej osób



W 2011 r. Beata Szydło na konferencji PiS mówiła o innym modelu systemu emerytalnego niż ten, który proponuje obecny rząd.

do OFE (osoby starsze mogły zostać tylko w nowym pierwszym filarze), tradycyjny system emerytalny przedstawiany był w najczarniejszych barwach. Trzeba podkreślić, że zwolennicy prywatyzacji emerytur również teraz nieustannie dyskredytują emerytury z ZUS. Polacy powinni wiedzieć, że tylko 5 z 28 państw Unii Europejskiej wprowadziło u siebie system zdefiniowanej składki w systemie emerytalnym. W pozostałych 23 państwach obowiązuje tradycyjny system zdefiniowanego świadczenia, co oznacza, że w odróżnieniu od tego, co się stało w Polsce, państwo nie zrzuciło z siebie obowiązku zapewnienia godnych i sprawiedliwych emerytur z powszechnego systemu emerytalnego.

Neoliberalna rewolucja wprowadzona w 1999 r. poprzez doprowadzenie do drastycznego obniżenia

nie w Ameryce Południowej oraz Europie Środkowej i Wschodniej). W większości z nich został już całkowicie zlikwidowany lub poważnie ograniczony. Międzynarodowa Organizacja Pracy w jednej z publikacji z 2018 r. określiła przymusowy drugi filar w tych krajach jako zupełną klęskę. Już w latach 90. MOP ostrzegała, także Polskę, przed tworzeniem takiego filara w systemie emerytalnym, wskazując, że jest to rozwiązanie szkodliwe z punktu widzenia nie tylko emeryta, ale również finansów publicznych, a więc całego społeczeństwa.

To, że takie rozwiązanie od końca lat 90. wprowadziły niektóre kraje, było przede wszystkim efektem silnej presji Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Instytucje te, działając faktycznie w interesie międzynarodowych koncernów finansowych poszukujących

W 1999 r. przeprowadzono radykalną reformę emerytalną podważającą ideę solidarności społecznej.

świadczeń miała stworzyć miejsce dla OFE, a generalnie skłonić Polaków do większego zainteresowania „produktami” emerytalnymi oferowanymi na rynku finansowym. Warto też zwrócić uwagę, że przymusowy filar kapitałowy, taki jak OFE, został wprowadzony jedynie w nielicznych państwach na świecie (głów-

nowych źródeł zysku, zdołały wymusić prywatyzację emerytur na krajach o słabych strukturach demokratycznych, przechodzących transformację systemową, przeżywających poważne problemy ekonomiczne, w tym związane z dużym długiem zagranicznym. Społeczeństwa państw wysoko rozwiniętych, m.in. USA ▶

► i Niemiec, nie zgodziły się na stworzenie takiego jak OFE przymusowego filara kapitałowego, ponieważ nie jest on w stanie zapewnić bezpiecznych emerytur, do tego powoduje szybki przyrost długu publicznego. W Polsce forsowana przez Bank Światowy i MFW ideologia prywatyzowania niemal wszystkich obszarów życia gospodarczego i społecznego,

no dużą część składek emerytalnych. By pokryć ZUS ten ogromny ubytek i umożliwić mu kontynuowanie wypłat bieżących emerytur niezbędnych do życia niemal 5 mln osób z powszechnego systemu emerytalnego, kolejne rządy musiały zaciągać pożyczki na rynku krajowym i zagranicznym. Część emitowanych na ten cel obligacji skarbowych nabywały

Nic więc nie stracili na tej operacji, a nawet zyskali, biorąc pod uwagę generalnie korzystniejszą waloryzację środków na tym subkoncie w porównaniu z osiągniętą w ostatnich kilku latach rentownością aktywów pozostawionych w OFE. Ważnym efektem zmian dokonanych w 2014 r. było także to, że 85% członków OFE (14,2 mln osób) zdecydowało się



O przekrętach związanych z OFE, marnowaniu pieniędzy przyszłych emerytów pisaliśmy od dawna.

w tym emerytur, znalazła wsparcie ze strony polityków, mediów i neoliberalnych ekonomistów. Prywatyzację emerytur mocno wspierał związek Solidarność, współtworząc jeden z funduszy, mianowicie Zurich Solidarni PTE SA. Silną presję na utworzenie OFE wywierały działające na polskim rynku zagraniczne koncerny finansowe. W wyniku transformacji w ich rękach znalazła się zdecydowana większość działających w Polsce banków, firm ubezpieczeniowych i innych instytucji finansowych.

OFE – system rujnujący finanse publiczne

Stworzony w 1999 r. drugi filar w postaci OFE okazał się rozwiązaniem rujnującym finanse publiczne, a także krzywdzącym z punktu widzenia emeryta, ze względu na związane z nim wysokie koszty i ryzyko. Wiele osób nadal nie rozumie, w jaki sposób utworzenie OFE stało się przyczyną powstania ogromnego zadłużenia publicznego naszego kraju. Tymczasem mechanizm jest prosty. Otóż od 1999 r. zaczęto do OFE kierować aż 7,3% wynagrodzenia pracownika, co stanowiło prawie 40% całej składki emerytalnej (wynoszącej 19,52%) pobieranej od miesięcznego wynagrodzenia. W ten sposób do gry na rynku finansowym skierowa-

Według planów obecne fundusze przestaną istnieć od 2020 r., a zgromadzone aktywa (162 mld zł) zostaną przekazane do IKE.

same OFE za składki otrzymane od ZUS. Najpierw więc rząd pozbawił się pieniędzy ze składek emerytalnych, przekazując je do OFE, a następnie te same pieniądze pożyczył na procent od tych funduszy.

Ponieważ OFE nabywały jedynie część obligacji skarbowych emitowanych z powodu ubytku w ZUS, na resztę tych papierów powstałych z powodu istnienia drugiego filara rząd musiał znaleźć innych nabywców w kraju i za granicą. Kwota składki przekazywanych z ZUS do OFE rosła coraz szybciej (osiągając ponad 20 mld zł w 2010 r.), szybko więc rósł też dług publiczny. Łączne dodatkowe zadłużenie publiczne (wraz z odsetkami), będące rezultatem stworzenia OFE, osiągnęło pod koniec 2013 r. ponad 300 mld zł, co stanowiło połowę przyrostu długu publicznego w okresie od 1999 r. By zapobiec niewypłacalności państwa, od 2011 r. znacznie zmniejszono składkę przekazywaną do OFE – z 7,3% do 2,3%, w 2014 r. podwyższono ją do 2,92%. W lutym 2014 r. ponad połowa aktywów OFE została przeniesiona do ZUS, a członkowie OFE otrzymali równowartość w postaci zapisu na specjalnym subkoncie w ZUS.

zaprześcić przekazywania składek do funduszy (ale zgromadzone przez nich środki nadal są w OFE). Jedynie 15% członków (ok. 2,5 mln) postanowiło kontynuować wpłatę składek do drugiego filara. Istotną zmianą było też wprowadzenie tzw. suwaka bezpieczeństwa, polegającego na tym, że aktywa zgromadzone na koncie danego członka OFE są stopniowo, w ciągu 10 lat przed osiągnięciem przez niego ustawowego wieku emerytalnego, przekazywane do ZUS.

System OFE okazał się nie tylko irracjonalny i szkodliwy z punktu widzenia finansów publicznych, ale także bardzo kosztowny dla przyszłego emeryta. Powszechne towarzystwa emerytalne (PTE) zarządzające OFE to główni beneficjenci tego systemu. Mogą potraćać sobie tzw. opłatę od otrzymanych składek, a dodatkowo pobierać co miesiąc prowizję za zarządzanie aktywami funduszy. Przez pierwsze pięć lat opłata od składek wynosiła aż 10%, dopiero w 2004 r. zmniejszono ją do 7%, w 2010 r. do 3,5%, a obecnie wynosi ona 1,75%. Tak wysokie opłaty stanowiły ogromny przywilej dla firm zarządzających, realizowany kosztem przyszłej emerytury członka OFE. Realny (waloryzo-

wany np. wskaźnikiem inflacji) ciężar opłat i prowizji pobranych przez te firmy od 1999 r. można szacować na co najmniej 30 mld zł. Te gigantyczne pieniądze trafiły do firm zarządzających OFE jako wynagrodzenie za bezproduktywny i irracjonalny obrót publicznymi pieniędzmi ze składek i lokowanie dużej ich części w obligacje skarbowe. Do 2014 r., kiedy wpro-

sownym jak inwestowanie w obligacje skarbowe. Wynika to z tego, że inwestycje te są bardzo ryzykowne, poza tym inwestycje w akcje były i nadal są finansowane z długu publicznego. Polska nie miała bowiem i wciąż nie ma nadwyżek budżetowych, by odkładać je na rynku finansowym na przyszłe emerytury. Fakt, że do OFE ciągle trafia ponad 3 mld

w banku np. na 10%, by pozyskane z niego pieniądze ulokować np. na 2%. Na takiej jednak zasadzie opiera się od 20 lat drugi filar emerytalny w Polsce. Bez zmian przeprowadzonych w OFE przez poprzedni rząd w 2011 i 2014 r. nasz kraj byłby już dawno niewypłacalny. Wiele osób nie chce zrozumieć, że były one konieczne, aby ograniczyć ten rujnujący system. Rządzącym wówczas można jedynie zarzucić, że nie zlikwidowali go w całości, tak jak to zrobili inne kraje.

Prywatyzacja publicznych pieniędzy z OFE

W niedawnej rządowej propozycji dotyczącej OFE wskazano, że środki znajdujące się aktualnie na kontach OFE zostaną przekazane automatycznie na nowe IKE, po potrąceniu 15-procentowej opłaty przekształceniowej, chyba że dany członek OFE w odpowiednim czasie zgłosi, że chce, by pieniądze z funduszu zostały zapisane na jego koncie w ZUS. W takim przypadku nie zostałyby

wadzano zakaz lokowania środków z OFE w papiery skarbowe, papiery te stanowiły ponad połowę aktywów funduszy, a w pierwszych 10 latach nawet ponad dwie trzecie. Właśnie z odsetek od polskich obligacji skarbowych, bardzo wysokich jeszcze długo po 1999 r., pochodziła zdecydowana większość tzw. zysków wypracowanych przez OFE. Firmy zarządzające ciągle chwaliły się tym, jak zyskownie inwestują składki przyszłych polskich emerytów. Tymczasem odsetki od obligacji skarbowych są jednym z głównych wydatków budżetu państwa i ciężarem dla całego społeczeństwa. Poza tym emerytura mająca pochodzić z inwestycji OFE w obligacje skarbowe nie jest wcale czymś lepszym niż emerytura oparta na zobowiązaniach państwa wynikających z zapisów w ZUS, ale znacznie gorszym, bo obciążają ją wysokie opłaty na rzecz PTE.

Inwestowanie przez OFE w akcje jest rozwiązaniem równie bezsen-

rocznie nowych składek, oznacza dodatkowe potrzeby pożyczkowe państwa na tę kwotę. Konieczne jest też regulowanie odsetek wynoszących

W państwach demokratycznych nie jest możliwe oszustwo na taką skalę, jak to miało miejsce w Polsce.

co najmniej 5 mld zł rocznie od całego długu publicznego, jaki Polska zaciągnęła na sfinansowanie aktywów znajdujących się obecnie w OFE. Dług ten z pewnością przekracza kwotę tych aktywów (ok. 160 mld zł). Na rynku finansowym kredyt jest bowiem zawsze oprocentowany wyżej, niż wynoszą odsetki od nawet najlepszej lokaty. Stąd bezsens takiego systemu jak OFE, finansowanego przez dziesięciolecie długiem publicznym. Jest to system nie do utrzymania. Mechanizm ten rozumie nawet zwykła gospodyni domowa, która za absurdalne uznaje zaciągnięcie kredytu

pomniejszone o tę opłatę. To, że zaproponowano automatyczny transfer środków do IKE, a nie do ZUS, jest bardzo korzystne dla prywatnych instytucji działających na rynku finansowym. Można bowiem założyć, że jedynie nieliczne osoby podejmą działanie, by środki te poszły do ZUS. Pozostałe pewnie nie zrobią nic i pogodzą się z transferem do IKE. Członek OFE będzie mógł skorzystać z pieniędzy przekazanych do IKE dopiero po osiągnięciu wieku emerytalnego, co oznacza, że nastąpi to za kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt lat. Instytucje finansowe będą



SZUKAMY ZDJEŃ z czasów Polski Ludowej (1944-1989)

Drodzy Czytelnicy, pracujemy nad serią książek o Polsce Ludowej. Chcemy pokazać, jaka była. Czas na bilans bez politycznej zaciekłości i kłamstw polityki historycznej IPN. Pokażemy ówczesną Polskę jako państwo o ugruntowanej pozycji międzynarodowej, państwo, w którym dokonała się rewolucja społeczna. I choć w żartach mówiono o nim „najwesełszy

barak w obozie”, to była nasza Ojczyzna. W książkach o Polsce Ludowej nie może zabraknąć fotografii ilustrujących jej 45-lecie. Jeżeli macie takie zdjęcia, to prosimy o ich przysyłanie. Wraz z opisem. Obiecujemy, że wszystkie fotografie starannie obejrzymy i ocenimy, a najlepsze znajdą się w książkach. Pierwsza z nich powinna ukazać się już w lipcu.

► mogły więc zyskać ok. 130 mld zł do czerpania przez dziesięciolecia pożytków w formie pobierania prowizji za zarządzanie tymi pieniędzmi oraz dysponowanie nimi według własnego uznania, bez konieczności dbania o interes przyszłego emeryta.

Z tytułu otrzymania tych gigantycznych pieniędzy nie będą one miały żadnych zobowiązań odnośnie do wysokości przyszłych świadczeń z tego źródła. Emeryt ma więc szansę dostać to, co pozostanie po tym długotrwałym okresie pobierania prowizji przez firmy zarządzające, realizowania przez nie licznych transakcji, trudnych do skontrolowania przez państwo, podejmowanych w interesie własnym i podmiotów powiązanych. Pieniądze, które zostaną przekazane z OFE do IKE, mogą być marnowane nie tylko na skutek nadużyć i defraudacji, dość powszechnych na rynku finansowym i w istocie bezkarnych, ale także z powodu kolejnych załamań giełdowych i kryzysów. Aktywa finansowe, w tym akcje i obligacje, są w zasadzie nieodporne także na inflację. Rysuje się więc taka perspektywa: całe zyski dla instytucji finansowych i powiązanych z nimi elit, całe zaś ryzyko i koszty na barki przyszłego emeryta i finansów publicznych. Warto dodać, że taki podział korzyści i kosztów będzie też w ramach PPK (Pracowniczych Planów Kapitałowych), które mają zacząć funkcjonować od połowy tego roku.

Definitywny i nieodwracalny transfer na rynek finansowy pieniędzy publicznych z OFE, stu kilkudziesięciu miliardów złotych, będzie ciosem w finanse publiczne naszego kraju. Raz przekazane na ten rynek pieniądze już nigdy nie dadzą się wykorzystać na cele publiczne, w tym na dofinansowanie systemu emerytur z ZUS. A przecież są jeszcze inne cele publiczne, takie jak konieczność zwiększenia dramatycznie niskich płac nauczycieli, a także lekarzy, pielęgniarek czy ratowników medycznych. Po tym transferze do IKE przekazane środki staną się własnością wprawdzie dużej, ale tylko części społeczeństwa. W spadku po OFE całe społeczeństwo będzie mieć natomiast do spłacenia dług zaciągnięty przez państwo na sfinansowanie aktywów w OFE. Wiele osób z zapałem popiera prywatyzację tych aktywów, czyniąc jedynie zarzut, że środki, które mają być przekazane do IKE, zostaną pomniejszone o 15%. Jest też wiele osób, które nie popierają tej prywatyzacji, ale jednocześnie nie chcą, by wszystkie pieniądze z OFE trafiły do ZUS, bo w ten sposób obecnie rządzący zyskaliby wielki zasób pozwalający finansować kolejne wydatki wyborcze i na długi czas utrwalić władzę tego ugrupowania. Z takim dylematem boryka się wielu przeciwników OFE.

Iluzja emerytur z rynku finansowego

W ostatecznej ocenie zmian w OFE, a także kolejnego projektu prywatyzacji emerytur, jakim mają być PPK, warto zwrócić uwagę, że w ideologii forsującej mechanizmy rynkowe w systemie emerytalnym występuje fundamentalny błąd. Opieranie dochodów mających zapewnić środki do życia ludziom starym na inwestycjach na rynku finansowym wcale nie zabezpiecza emerytur przed zmianami demograficznymi. Jest już wiele badań naukowych pokazujących, że wraz z postępującym starzeniem się populacji rentowność tych inwestycji będzie spadać. Mniej liczne pokolenie aktywne zawodowo, przekazując składki na rynek, nie będzie już mogło tworzyć takiego jak dotąd popytu na aktywa finansowe (akcje, obligacje). Z drugiej strony coraz większa liczba osób przechodzących na emeryturę będzie musiała zbywać aktywa zgromadzone w różnych funduszach, co może pogłębić tendencję spadkową zysków osiąganych z inwestowania.

Po latach, a nawet dziesięcioleciach, pompowania cen aktywów finansowych i tworzenia bańki spekulacyjnej na rynku, mechanizm będzie coraz mocniej działał w drugą stronę. Poprzez forsowanie takich rozwiązań jak OFE, IKE czy PPK instytucje finansowe tworzą i podtrzymują złudzenie, że emerytury rynkowe są panaceum na starzenie się społeczeństwa. Dla nich ważne są zyski tu i teraz, dla społeczeństwa natomiast skutki tej iluzji będą bolesne. Jej utrzymywanie pochłonie gigantyczne zasoby finansowe, nie dając w zamian bezpiecznych i akceptowalnych emerytur. Takie dochody na starość jest w stanie zapewnić tylko publiczny system emerytalny oparty na solidarności społecznej. To najbardziej sprawiedliwy, transparentny i najmniej kosztowny sposób zapewnienia środków do życia po zakończeniu aktywności zawodowej. Prywatyzacja emerytur zaś to sposób na bogacenie się niewielkiej grupy społecznej powiązanej z rynkiem finansowym, kosztem reszty społeczeństwa.

Prof. Leokadia Oręziak jest kierownikiem Katedry Finansów Międzynarodowych Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie

Beneficjenci OFE

Ocenia się, że realne opłaty i prowizje (waloryzowane np. wskaźnikiem inflacji) pobrane od przyszłych emerytów przez fundusze emerytalne w latach 1999-2018 wynoszą co najmniej 30 mld zł. Najwięksi beneficjenci to:

- Powszechne towarzystwa emerytalne (PTE), których głównymi właścicielami są zagraniczne instytucje finansowe. Prezesi, członkowie zarządów funduszy nie mieli górnej granicy zarobków.
- Banki (np. PKO BP, PKO SA), firmy ubezpieczeniowe (np. PZU, Warta, Allianz, ING Nationale Nederlanden, OFE Polsat), towarzystwa zarządzające aktywami finansowymi.
- Gracze giełdowi, pośrednicy, w tym biura maklerskie.
- Eksperci, w tym profesorowie i inni lobbyści działający indywidualnie lub w ramach think tanków opłacanych przez instytucje finansowe.
- Media i dziennikarze zachwalający OFE, w tym poprzez reklamy banków.
- Politycy zatrudniani w różnej formie przez instytucje nadzoru, izby gospodarcze i związki pracodawców.

Tylko w pierwszym roku działalności (1999) towarzystwa emerytalne oficjalnie wydały na prowizje akwizytorów 446 mln zł. W rzeczywistości kwota powinna być powiększona o co najmniej 50 mln zł.

Drodzy Czytelnicy, Przyjaciele PRZEGLĄDU,
dzięki Wam od 20 lat jesteśmy prawdziwie niezależni. Wiemy, o czym warto pisać,
i nie brakuje nam odwagi. Mamy wiele nowych pomysłów. Ale by je realizować,
potrzebujemy także Waszej pomocy.

CZYTAJ I WSPIERAJ!



Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy o wpłatę darowizny
na konto fundacji PRZEGLĄDU:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Santander Bank Polska SA.

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Wpłat darowizny można dokonywać także online na www.tygodnikprzeklad.pl.

Dziękujemy, każda złotówka ma znaczenie!



Morawiecki kłamie nieustannie

Polski jest coraz mniej w Unii i Unii jest coraz mniej w Polsce

Rozmawia Robert Walenciak

Kwiecień 2003 r., Ateny. Podpisuje pan razem z premierem Leszkiem Millerem unijny traktat akcesyjny. Naprawdę sądzi pan, że tamto dzieło jest dziś zagrożone?

– Tak, jednak bardziej przez to, co się dzieje w Europie i w świecie, a nie tylko w Polsce. Świat wysoko rozwinięty powoli przegrywa rywalizację z szybko umacniającymi się nowymi mocarstwami. Ten proces będzie trwał. Zaskakujące jest tempo, w jakim ci nowi stają się konkurencyjni, także w zakresie innowacyjności. Historia 5G i Huawei jest symbolem. Skomplikowane mechanizmy wytwarzania się nowego układu sił przenoszą się na nastroje w społeczeństwach Zachodu. To wywołuje naiwne próby powrotu do przeszłości. W najbliższych latach okaże się, kto w Europie zdobędzie wpływ na przyszłość. Czy ci, którzy chcą zawrócić do państw narodowych, czy ci, którzy rozumiejąc trudną rzeczywistość, popchną Europę ku większej spójności i ściślejszej współpracy. Rezultat tych historycznych zapasów jest nieznany.

PiS łamie zasady i wartości zjednoczonej Europy i jest w permanentnym sporze z instytucjami unijnymi.

PiS chce wyprowadzić Polskę z Unii? A może to rodzaj gry z Brukselą i Berlinem?

– Trudno mówić o intencjach, bo to wymaga psychoanalizy. Ale można mówić o faktach. A te są znane. PiS opowiada się za osłabieniem kompetencji Unii, a więc za osłabieniem integracji. Łamie zasady i wartości zjednoczonej Europy i jest w stanie permanentnego sporu ze wszystkimi instytucjami unijnymi. Nie rzuca hasła wyjścia, bo wie, jakie są nastroje w społeczeństwie, ale Polski jest coraz mniej w Unii i Unii jest coraz mniej w Polsce. Spory z Paryżem i Berlinem są wynikiem głupoty i uprzedzeń, a nie obrony polskich interesów.



**WŁODZIMIERZ
CIMOSZEWICZ**

Czy dzisiejsza Polska pasuje do Unii?

– Dzisiaj nie zostalibyśmy przyjęci, bo nie spełniamy kryteriów kopenhaskich w dziedzinie praworządności i demokracji. Mam jednak głęboką nadzieję, że wkrótce ten ponury czas się skończy.

Gdy premier porównuje sędziów do sędziów Vichy, co pan wówczas czuje?

– Odrzę do łgarza i potwarcy. Ten człowiek kłamie nieustannie. Niejednokrotnie dowodzi też ignorancji w wielu dziedzinach, także w zakresie historii mimo skończenia studiów na tym kierunku. Wypowiedź, o którą pan pyta, jest jednak wyjątkowa, nawet na tle wszystkich wcześniejszych. Nie tylko bezpodstawnie zniestrawia sędziów, ale też godzi w wizerunek demokratycznej Polski. Pięć lat temu w trakcie obchodów ćwierćwiecza naszych zmian cały świat wyrażał podziw i uznanie. Teraz świat się dowiadyuje, że Polska

to kraj kolaborantów ze zbrodniarzami. Podłość.

Dlaczego sędziowie są dla PiS solą w oku?

– Bo większość pozostaje niezależna, bo bronią konstytucji, bo bronią praworządności. PiS to wyznawcy autorytaryzmu wodzowskiego. To jednocześnie gromada pazernych nepotów, którzy nie chcą, aby ktokolwiek patrzył im na ręce. Dlatego niezależne media i sędziowie są w ich oczach wrogami.

Zastanawiał się pan, dlaczego Mateusz Morawiecki tak często mija się z prawdą?

– Tak już ma. Robi wrażenie człowieka bez zasad. Służy każdemu, przy kim może zyskać. Kiedy patrzy się dzisiaj na gwałtownie starzejącego się Kaczyńskiego, jasne się staje, że w cieniu trwa walka na noże o dziedzictwo. Morawiecki najwyraźniej bierze w tym udział. W tej walce nie obowiązują żadne reguły. Prawda jest tylko przeszkodą.

W którą stronę ewoluuje państwo PiS?

– Pozbawienia nas wolności. Kiedy obywatele stracą wszelkie możliwości

obrony, wszystkie instytucje państwa będą poddane pisowskiemu reżimowi na wzór porządku w Rosji czy na Węgrzech, propaganda partyjna wypełni przestrzeń informacyjną, znajdziemy się w państwie orwellowskim.

Czy tę ewolucję można zatrzymać?

– Tak. Za pomocą karty wyborczej. O wszystkim zadecydują obywatele. Być może po raz ostatni na długi czas, bo jeśli decyzja będzie zła, na kolejne wolne wybory przyjdzie długo czekać. **Uliczne demonstracje, strajki – władza daje sobie z nimi radę, potrafi to przetrzymać.**

– W większości przypadków protestującym brakuje pomysłu na skuteczność. A takie pomysły są możliwe. Teraz nie będę o tym mówił ze względu na strajk nauczycieli, ale po takim lub innym jego zakończeniu chętnie skomentuję.

Poza tym, jak wskazują sondaże, polityka PiS cieszy się poparciem 30-40% społeczeństwa. Może więc jest to słuszną polityką.

– 30-procentowe poparcie dla prawicy ma w Polsce trwały charakter. Dlatego otwarty problem jest gdzie indziej. Chodzi o to, czy przedstawiciele reszty społeczeństwa potrafią współdziałać. Coś się zaczęło, oby miało ciąg dalszy.

W każdym razie polityka PiS jest skuteczna. W czym tkwi jej tajemnica? W transferach socjalnych? A może w wojnach z kolejnymi grupami społecznymi?

– Wszystko razem działa. Spora część społeczeństwa daje sobą łatwo kierować. Bujdy, sensacje, spiski, wymyślane zagrożenia, szczucie, dzielenie, pomówienia, łgarstwa przejętych mediów publicznych, poparcie Kościoła, korumpowanie biednych

Na jakich grupach społecznych władza PiS się opiera?

– Badania opinii publicznej i wyniki wyborów stale potwierdzają związek słabszego wykształcenia, niższych dochodów, religijności i zamieszkiwania poza dużymi miastami z poparciem dla PiS. Ale jak zawsze w życiu społecznym jest wiele drobnych odstępstw. Także wśród wykształconych i majątnych ludzi spotka pan ksenofobów, antysemitów, zwolenników silnej ręki itd. Jednak

Polska nie ma żadnej spójnej i sensownej polityki zagranicznej.

głównym celem politycznym i wyborczym PiS są ci, którzy stanowią większość.

Jakie będą tego skutki?

– To zależy od długotrwałości tego koszmaru. Jeśli w tym roku PiS straci władzę, a następcy będą rządili mądrze, pociągając do odpowiedzialności i unikając zemsty, stopniowo nastroje zostaną złagodzone. Jeśli nie, czarno to widzę.

Premier wypowiedział się o sędziach podczas odczytu w Nowym Jorku. Czy przypomina pan sobie wizytę szefa rządu RP w USA, podczas której nie spotyka się z nim nikt z amerykańskiej administracji? Jak można to interpretować?

– Zdarzało się to już także Dudzie, który spotykał się z Polonią i jechał do amerykańskiej Częstochowy, a żaden przedstawiciel władz federalnych nie miał dla niego czasu. Takie sytuacje to potwierdzenie lekceważenia. Ale też obecnie rządzący zachowują się rzeczywiście służalczo wobec administracji Trumpa. Polska

analfabeci z tego czy innego resortu wywołują skandale w stosunkach z różnymi krajami. Na własne życzenie straciliśmy jakikolwiek wpływ na bieg wydarzeń w ważnych krajach sąsiedztwa i nikt w Europie nie potrzebuje naszych rad. Klóćąc się z głównymi państwami Unii, odstraszamy innych od współpracy z nami. Polityka zagraniczna jest wyłącznie funkcją doraźnych potrzeb propagandowych w kraju. Skutki tego mogą być tylko takie, jakie są.

Pan sądzi, że w Parlamencie Europejskim tych parudziesięciu posłów opozycji będzie mogło coś uratować?

– Po pierwsze, będą częścią większej całości, i to nadal dominującej w Parlamencie Europejskim. Myślę o czterech głównych proeuropejskich frakcjach. Po drugie, wpływy będą zależały od wielkości reprezentacji i jej składu. Potencjał jest znaczny. Zobaczymy, co z niego wyniknie. Jedno jest dla mnie pewne. Proeuropejskie siły w Polsce nie powinny dopuścić do narzucenia sobie jakiegokolwiek skrupowania w działaniu na rzecz silniejszej Europy, obrony demokracji, wolności i rządów prawa wszędzie, w tym w naszej ojczyźnie. ■

Spory z Paryżem i Berlinem są wynikiem głupoty i uprzedzeń, a nie obrony polskich interesów.

ludzi i rzeczywiste wykorzystywanie większych możliwości bogacącego się państwa – to część recepty. Gdyby ktoś porównał szczegółowo taktykę Mussoliniego i Kaczyńskiego, dostrzegłby wiele podobieństw sposobu utrzymywania władzy, choć metoda jej zdobycia była inna.

PiS, wskazując na sędziów, lekarzy, nauczycieli, ogniskuje społeczną złość.

– To część tej metody.

jest potrzebna wtedy, gdy trzeba zorganizować Beniaminowi Netanjahu wiec wyborczy w Warszawie lub wydać kilkadziesiąt miliardów dolarów na broń.

Dlaczego pozycja Polski na świecie jest taka, a nie inna?

– Polska nie ma żadnej spójnej i sensownej polityki zagranicznej. Nikt tego nie koordynuje. Pozycja MSZ i jego szefa jest żadna. Postawie z trzeciego rzędu i polityczni

Odszedł

Prof. Bogdan Michalski

Wielki autorytet w zakresie prawa prasowego i autorskiego.

Wykładowca i były dyrektor Instytutu Dziennikarstwa UW.

Życzliwie i mądrze doradzał Stowarzyszeniu Dziennikarzy RP i wielu dziennikarzom w tarapatkach.

Łączył ogromną wiedzę z przyjaznym stosunkiem do ludzi.

Będziemy o Nim pamiętali.

Jerzy Domański
Andrzej Maślankiewicz
Wiesław Marnic

Wychowani na smartfonie

Im wcześniej dziecko przyzwyczajane jest do urządzeń mobilnych, tym gorzej radzi sobie bez nich



Katarzyna Wierzbicka

Scena rozgrywa się w mieszkaniu: na kanapie siedzi trzydziestoparolatka z tabletem przed oczami. Obok, na podłodze, bawi się kilkuletni chłopiec. W pewnym momencie mama i dziecko zamieniają się – chłopiec odkłada książeczkę i dostaje tablet, a mama zaczyna przeglądać kolorowy magazyn. „Teraz mogę być spokojna o swój tablet, nawet gdy jest w rękach Jasia”, zwraca się kobieta do kamery. W następnym kadrze chłopiec zręcznie przesuwając paluszkami po ekranie, kiedy jego reklamowa mama zachwala walory produktu: „edukacyjne” gry, „kreatywne” zabawy i „bezpieczne” aplikacje. Moment zamiany jest jedyną interakcją między nimi.

To internetowa reklama tabletu, który ma być jednocześnie dla dorosłych i dla dzieci. W serwisie YouTube można znaleźć setki podobnych, bo „tablety dla dzieci” powoli stają się standardowym gadżetem oferowanym przez producentów urządzeń mobilnych. I, jeśli wierzyć opisom w internetowych sklepach z elektro-

niką, niemal warunkiem prawidłowego rozwoju, „łączącym naukę z zabawą”. Słowa kluczowe to edukacja, kreatywność i bezpieczeństwo.

Ciekawe, że te same argumenty pojawiają się w wypowiedziach rodziców. „Dzięki tabletowi mój syn może się uczyć angielskiego i tabliczki mnożenia”, pisze jedna z matek na forum Kafeteria.pl. „Przecież nie sprzedawano by urządzeń, które są dla dzieci szkodliwe”, dodaje druga.

Jedno jest pewne – urządzenia mobilne stają się elementem codzienności. Pytanie, czy mogą pomóc w nauczaniu się jej, czy raczej wychowują pokolenie nieudolnych społeczników cyfrowych nałogowców.

– Tablety i smartfony potrafią działać na dziecięcy mózg jak opiaty – ich używanie może powodować wydzielanie tych samych substancji, które uwalniają się pod wpływem narkotyków. Z jednej strony, chodzi o przebudowanie. Czas spędzony ze smartfonem czy tabletem mija szybciej, mózg jest bardziej pobudzony – wyjaśnia pedagoga dr Marta Majorczyk z Uniwersytetu SWPS. – Po odłożeniu urządzenia dziecko często

odczuwa głód wcześniejszych bodźców, bywa rozdrażnione i pobudzone. Poza tym, inaczej niż dorośli, nie jest w stanie rozpoznać u siebie zmęczenia bodźcami. Z drugiej strony, korzystanie z urządzeń gwarantujących intensywne doświadczenia powoduje wydzielanie się dopaminy i pobudzanie ośrodków przyjemności w mózgu, tak jak dzieje się to w przypadku substancji psychoaktywnych. Pozbawione tej stymulacji dziecko odczuwa nudę, z którą nie potrafi sobie poradzić. W takiej sytuacji łatwo o uzależnienie.

Oznacza to, że im wcześniej dziecko jest przyzwyczajane do smartfona i tabletu, tym gorzej radzi sobie bez niego. To jednak nie wszystko, bo jak podkreśla specjalistka, korzystanie z urządzeń mobilnych przez dzieci najmłodsze może zaburzać rozwój mowy. – Proszę zwrócić uwagę, że postacie w kreskówkach otwierają usta, ale nie artykułują. Dziecko uczące się mówić powtarza po rodzicach nie tyle zasłyszane dźwięki, ile zaobserwowane ułożenie ust podczas wymawiania słów i sylab. Dlatego nauka mowy musi się odbywać w kontakcie z drugim człowiekiem.

Tymczasem z badań Fundacji Dzieci Niczyje (obecnej Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę) z 2015 r. wynika, że z mobilnych urządzeń elektronicznych korzysta jedna trzecia rocznych dzieci, dwie trzecie dwulatków i ponad trzy czwarte trzylatków. Wśród czterolatków odsetek ten wyniósł ponad 90%, a wśród pięcio- i sześciolatków przedszkolaków prawie 100%. „62% dzieci w wieku od pół roku do sześciu lat wykorzystuje mobilne urządzenia elektroniczne do grania w gry, a co

gii nie jest to, że nie można go od nich oderwać, ale wizja świata, którą w wyniku korzystania z nich sobie przyswaja – dodaje dr Kirwil. – Połatana, poklejona, chaotyczna. Przecież ono wielu z tych rzeczy nie rozumie. Jeśli gra *non stop* w grę *online*, to zna tylko te wzorce życia społecznego, które są w tej grze. Jeśli osnową tej gry jest współpraca, to dziecko nauczy się współpracy, ale jeśli strzelanina i bezmyślne zabijanie, to będzie przyswajając agresję”.

Z urządzeń mobilnych korzysta ponad 90% czterolatków, a 40% sześciolatków ma własny smartfon lub tablet.

pięte dziecko, zanim ukończy trzy lata, i czworo na dziesięciorgo sześciolatków posiada swój tablet lub smartfon”, mówi w „Wysokich Obcasach” dr Lucyna Kirwil z SWPS, zajmująca się psychologią mediów i agresji. Z kolei według przeprowadzonego już w 2010 r. międzynarodowego badania „EU Kids Online” 9% dzieci w wieku 11-16 lat wykazywało symptomy sugerujące problematyczne korzystanie z internetu. „Te 9% odpowiedziało twierdząco na pytania, czy w ostatnim roku zdarzyło im się: nie jeść lub nie spać z powodu internetu; bez powodzenia próbować spędzać mniej czasu w internecie; czuć się nieswojo, kiedy nie mogły być w internecie; zaniedbywać rodzinę, znajomych, naukę szkolną albo hobby z powodu spędzania czasu w internecie. I kluczowe pytanie: Czy zdarzyło ci się przyłapać na tym, że surfujesz po internecie nawet wtedy, kiedy to specjalnie cię nie interesuje?”, wyjaśnia psycholożka w rozmowie z „WO”.

Dr Marta Majorczyk: – Żeby prawidłowo się rozwijać, dziecko powinno korzystać ze wszystkich zmysłów. Kilkułatek oglądający książeczkę używa rączek do przewracania kartek, dotyku, wzroku, a nawet smaku. Kiedy książka jest czytana przez rodzica, dziecko najczęściej siedzi u niego na kolanach, mama może potem zadawać pytania, nawiązuje się komunikacja. Z tabletu czy smartfona rzadko korzysta się w ten sposób. Dziecko poddane ciągłej stymulacji traci zainteresowanie rzeczywistością. To naturalne – szybko zmieniające się obrazki i dźwięki są dla niego ciekawsze niż książka.

„Największym zagrożeniem dla dziecka w dobie nowych technolo-

Do nadmiaru bodźców, znieczulenia, braku komunikacji czy problemów ze snem dochodzą konsekwencje czysto fizjologiczne. Wśród nich dr Kirwil wymienia problemy z kręgosłupem szyjnym i otyłość, coraz częstszą wśród najmłodszych dzieci.

Specjalistki pocieszają, że wiele zależy od sposobu korzystania z urządzenia, a nie od tego, czy się z niego korzysta. – Najważniejsze, żeby korzystanie z tabletu lub smartfona przez dziecko było zamknięte w jakichś ramach: konkretnym przedziale czasowym i celu, w jakim używa się tego urządzenia – wyjaśnia dr Majorczyk. – Internet i nowe technologie są przydatnym narzędziem, pod wa-

giami mają większą wiedzę encyklopedyczną i bogatsze słownictwo. Jednak są to dzieci, które korzystały z programów edukacyjnych, lub takie, które same coś tworzą w internecie.

– Wszystko się rozбивa o pytanie, po co kilkulatkowi smartfon – mówi z kolei dr Majorczyk w odpowiedzi na pytanie, czy kupować dziecku urządzenie mobilne. – Jeśli moja siedmioletnia córka przekona mnie, że takie urządzenie jest jej niezbędne, to pewnie je kupię. Na razie nie znalazła przekonującego mnie argumentu. Jeżeli potrzebuje skorzystać z internetu, ma do dyspozycji domowy komputer. Argument o bezpieczeństwie, używany przez niektórych rodziców, wydaje się iluzoryczny. Rodzice lubią mówić o bezpieczeństwie tam, gdzie chodzi o kontrolę – to nie jest to samo. Poza tym w epoce bez komórek trzeba było radzić sobie z niepewnością na inne sposoby. Większe znaczenie miało zaufanie i przestrzeganie zasad współżycia, np. punktualności. To także miało funkcję wychowawczą. Posiadanie telefonu nie tylko nie chroni dziecka przed zagrożeniami, ale wręcz naraża je na kolejne, związane z internetem. Poza tym każdy telefon można wyłączyć, zgubić, ktoś może go ukraść. Czy np. zgubienie telefonu zawierającego dane i zdjęcia dziecka nie jest większym zagrożeniem niż nieposiadanie go wcale?

Jeśli córka przekona mnie, że takie urządzenie jest jej niezbędne, to je kupię. Na razie nie znalazła argumentu.

runkiem że używane są właśnie jako narzędzie, nie zajmując czasu na inne aktywności, np. zabawę czy sport.

Z kolei zdaniem dr Kirwil korzystania z tabletu i smartfona zupełnie zabraniają najczęściej ci rodzice, którzy sami nie mają wystarczających kompetencji cyfrowych. Internet, wyjaśnia badaczka, „to dzisiaj źródło wiedzy coraz bardziej (...) wartościowej. Tylko trzeba się nauczyć z niej właściwie korzystać. A do tego jest to dla dzieci nieoceniony kanał komunikacyjny. Wiele dzieci za pośrednictwem internetu i dostępnych aplikacji kontynuuje ważne rozmowy rozpoczęte w szkole, dowiaduje się, co było na lekcji, co było zadane do domu, podtrzymuje relacje przyjacielskie”. A najnowsze badania pokazują, że dzieci mające wczesny kontakt z nowymi technolo-

„Dzieci, które odnoszą więcej korzyści z nowych technologii, najpewniej ktoś wcześniej wprowadził w wirtualny świat. Taki model wydaje się najlepszy – gdy rodzice inicjują doświadczenia z internetem i wchodzi w wirtualny świat razem z dzieckiem, a im jest starsze, stopniowo pozwalają mu na coraz więcej autonomii”, dodaje Lucyna Kirwil. „Naprawdę ważne jest, żeby rodzice się zaangażowali: niech obejrzą tę bajkę razem z dzieckiem, niech z nim porozmawiają o jej treści, sprawdzą, czy ją zrozumiał, albo narysują wspólnie bohatera bajki czy wymyślą, jak rozwinęła się historia”.

Wtedy być może jest szansa, że przekazywanie dziecku smartfona czy tabletu nie będzie jedynym sposobem kontaktu z nim. ■

Ameryka nie dla pracujących matek

Słowo rodzina ani razu nie pojawia się w konstytucji USA

Rozmawia
Eliza Sarnacka-Mahoney

Otwiera pani książkę dramatycznym stwierdzeniem, że być pracującą matką w Ameryce jest trudniej niż gdziekolwiek na świecie. Jak to możliwe w kraju postrzeganym jako miejsce równych szans?

– Potwierdzają to badania, a moja książka powstała po to, byśmy przestali uważać, że jesteśmy w porządku wobec pracujących matek. Nie jesteśmy, i to bardzo. Jesteśmy za to niechlubnym wyjątkiem w skali świata, nie zapewniając pracującym matkom ani ojcom systemowego wsparcia, które ułatwiłoby im godzenie obowiązków zawodowych z rodzinnymi. W ostatnich kilkudziesięciu latach zmieniły się realia na rynku pracy, pojawiły się nowe potrzeby społeczne. Inne kraje poszły z duchem czasu, ale w Ameryce nadal uprawiamy mentalną kowbojkę sprzed wieków. Wychodzimy z założenia, że każdy sam sobie wszystko załatwi, państwo do niczego nie musi się wtrącać, a kto potrzebuje pomocy, ten szuka jej w sektorze prywatnym. Problem w tym, że większość Amerykanek musi iść do pracy, bo rodzina nie podoła finansowo. Cudowne lata 50. dawno za nami. Od stanu i możliwości rodziny zależy z kolei przyszłość nowych pokoleń.

Reszta świata traktuje publiczne inwestycje w rodzinę jako inwestycje w przyszłość narodu. Ameryka zachowuje się tak, jakby te sprawy nie miały ze sobą nic wspólnego. To zgubne myślenie, a amerykańska matka nie musi i nie powinna mieć tak ciężko. Znamienny jest fakt, że słowo rodzina ani razu nie pojawia się w amerykańskiej konstytucji.

Sytuację pracującej matki w USA przedstawia pani na tle opowieści matek ze Szwecji, z Niemiec i z Włoch. Co różni Amerykanki od Europejek?

– Zaskoczył mnie znacznie większy u Amerykanek niż u Europejek stopień samoobwiniania, że nie potrafią lepiej godzić pracy z obowiązkami ro-



– socjolożka z Washington University w St. Louis, autorka książki „Making Motherhood Work: How Women Manage Careers and Caregiving” („Funkcjonalne macierzyństwo. Jak kobiety godzą karierę z rodziną”) o pracujących matkach w USA i w Europie.

dzinnymi. Pracujące matki na całym świecie są grupą obciążoną większym stresem, ale matki w Europie, z którymi rozmawiałam, zachowywały większy dystans do swojej sytuacji rodzinno-zawodowej. Miały świadomość czynników zewnętrznych wpływających na ich położenie zarówno w domu, jak i w pracy. Włoszki, które w porównaniu ze Szwedkami i Niemkami otrzymują najmniejsze wsparcie ze strony państwa, mówiły: „Na moją niekorzyść działa kultura i rząd, który nie wspiera mnie wystarczająco. Nie daje mi pomocy, a ona mi się należy, gdyż realizuję ważny społeczny cel – wychowuję przyszłe pokolenie”. Amerykanki natomiast uważają, że nikt i nic nie może im pomóc, one same muszą znaleźć rozwiązanie wszystkich problemów. Nic od państwa nie dostają, ale – co gorsza – one na to wsparcie wcale nie liczą.

Uznają, że nie mają prawa wyciągać po nic ręki. Jakoś sobie radzą, ale z wielkim wysiłkiem, często kosztem zdrowia.

Wyjaśnijmy, co oznacza owo nic.

– Przede wszystkim mówimy o braku płatnego urlopu macierzyńskiego. USA jako jedyne państwo wśród kilkudziesięciu najbardziej rozwiniętych na świecie nie gwarantuje kobietom takiego prawa. Konkretnie rozwiązania i decyzje leżą w gestii pracodawcy. Na mocy ustawy Family and Medical Leave Act z 1993 r., wywalczonej przez Hillary Clinton, świeżo upieczona matka może jedynie wziąć do sześciu tygodni urlopu bezpłatnego, a pracodawca ma obowiązek przyjąć ją po tym okresie do pracy. Nie musi jednak trzymać dla niej poprzedniego stanowiska. Ma jej tylko zaoferować jakąś pracę. Ale przepis ten dotyczy pracowników w firmach zatrudniających powyżej 50 osób i tylko tych, którzy przepracowali w danej firmie przynajmniej rok w wymiarze co najmniej 1250 godzin rocznie.

Nie mamy też w amerykańskim ustawodawstwie standardów dotyczących urlopu pracowniczego czy płatnych zwolnień, ani z powodu choroby pracownika, ani z racji opieki np. nad chorym dzieckiem. Nie realizujemy żadnego programu opieki nad dziećmi, choćby dotowanych żłobków i przedszkoli. Rodziny ponoszą całkowity koszt takiej opieki, a może on stanowić nawet dwie trzecie zarobków matki pracującej na pełny etat.

Dziadkowie nie pomagają?

– Ameryka to olbrzymi kraj i dziadkowie często mieszkają w zupełnie innej jego części. Jesteśmy społeczeństwem o wysokiej mobilności, ludzie się przeprowadzają, jadą tam, gdzie jest praca. To osłabia więzi międzypokoleniowe. Ale jest i inna przyczyna. Ponieważ nie mamy parasola socjalnego, coraz częściej dziadkowie również pracują.

Powtórzmy – amerykańska matka może po porodzie zostać sześć tygodni z dzieckiem w domu, jeśli sobie na to zaoszczędzi. Gdy wróci

do pracy, i tak za chwilę może odejść, bo jej obowiązki wykonuje już ktoś inny. I to wszystko zgodnie z prawem?

– Tak. Widzimy przy tym, że to prawo faworyzuje kobiety z klasy średniej, które mogą sobie pozwolić na nieodpłatny urlop macierzyński. Oczywiście niektórzy pracodawcy oferują jakąś formę odpłatnego macierzyńskiego, zwykle w ramach szerszego pakietu socjalnego, który ma przyciągnąć i zatrzymać pracownika w firmie. Ale mówimy tu raczej o sektorze białych kołnierzyków (pracowników umysłowych), etatach dla kobiet z wyższym wykształceniem. Kobiety zatrudnione w fabrykach i usługach nie mają pieniędzy na zafundowanie sobie całych sześciu tygodni w domu. A profesjonalistki też często rezygnują z tej opcji, żeby nie stracić stanowiska. Kobiety pracują więc zwykle do ostatnich dni, a nawet godzin przed porodem i wracają do pracy, zanim gotowy do tego jest organizm.

A jeśli ciąża jest zagrożona?

– Wtedy można się starać o kartę inwalidzką i udogodnienia ze względu na niepełnosprawność powodowaną przez ciążę. Tak, trudna ciąża to w oczach amerykańskiego prawa inwalidztwo. Poniżające, prawda? Wtedy z kartą można się starać np. o przeniesienie do lżejszej pracy, pozwolenie na to, by siedzieć albo skrócić długość dnia pracy. Ale wcześniej czy później kobieta w takim położeniu pracę straci, zwłaszcza gdy jest niebieskim kołnierzykiem (pracownikiem fizycznym). Pracodawca zastąpi się interesem firmy.

Co może więc zrobić amerykańska matka, jeśli chce zostać z dzieckiem w domu dłużej niż sześć tygodni? Może przechytrzyć system?

– Może. Jest na to nawet specjalna nazwa – *time banking* (oszczędzanie czasu). Przede wszystkim do sześciu tygodni dołoży sobie przysługujący jej regularny urlop. Jeśli jest białym kołnierzykiem i pracuje w korporacji, ma do wykorzystania ok. 20-30 dni roboczych plus 6 dni urlopu okolicznościowego na nagłe wypadki typu choroba, sprawy rodzinne itp. W sektorze niebieskich kołnierzyków mówimy o 10 dniach urlopu wypoczynkowego i 3-5 dniach okolicznościowego. Jeśli firma pozwala przesuwając niewykorzystane dni urlopu na rok następny, kobieta pla-

nująca ciążę może zachomikować urlop z kilku lat, by wykorzystać go dopiero po porodzie. Podobnie dni okolicznościowe, chociaż tych często przesuwając nie można, w tej sprawie trzeba się dogadywać z pracodawcą. Wszystkie moje amerykańskie rozmówczynie podkreślały, jak ważny dla ich sytuacji jest wyrozumiały szef, najlepiej taki, który sam jest rodzicem. To kolejna kolosalna różnica między matką w USA i w Europie. Amerykanki, jeśli pracodawca zachował ich miejsce pracy albo pozwala wcześniej wyjść, żeby odebrać dziecko z przedszkola, są mu „przełożenie wdzięczne”, podkreślają, że robi dla nich coś wyjątkowego. Dla matek w Europie

rodem, może uzbierać maksymalnie około czterech miesięcy wolnego.

Ciąża i poród to dopiero początek. Pracujące matki w USA żyją w dużo większym stresie niż ich europejskie koleżanki.

– Przede wszystkim żyją w dużo większym emocjonalnym rozdarcie, w przekonaniu, że nie są ani dobrymi pracownicami, ani dobrymi matkami. Dużo złego wyrządza im amerykańska kultura z uświęconym modelem pracownika oddanego firmie. Kobieta odbiera przesłanie: nie obchodzi nas, że wróciłaś do pracy już po kilku tygodniach i nie śpisz po nocach, masz być doskonałym, produktywnym pracownikiem. Moje rozmówczynie



Amerykańskie matki nic od państwa nie dostają i – co gorsza – na to wsparcie wcale nie liczą.

zwolnienie z pracy, bo zachorowało dziecko, jest czymś naturalnym. Nienaturalne byłoby, gdyby nie mogły wyjść! Wreszcie pracująca matka w USA może wykorzystać przyszły urlop z wyprzedzeniem o rok czy nawet dwa lata, jeśli dostanie zgodę pracodawcy. Nie jest to optymalne wyjście, bo co zrobić, gdy dziecko zachoruje, gdy sama zachoruje albo zdarzy się cokolwiek innego, co będzie wymagało wzięcia wolnego? Podsumowując, kobieta, która pracowała do ostatniego dnia przed po-

w Europie też nie spały po nocach, to normalne, ale w pierwszych krytycznych miesiącach nie musiały rano biec do pracy.

W USA nie mamy powszechnego ubezpieczenia, większość z nas dostaje je w miejscu pracy. Utrata pracy oznacza więc utratę dostępu całej rodziny do lekarza. Jeśli jest się rodzicem, ta perspektywa jest przerażająca. Ceny rynkowe opieki medycznej są u nas tak astronomiczne, że wystarczy jedna ciężka choroba, by rodzina poległa finansowo.

► Astronomiczne są także opłaty za studia i amerykański rodzic całe życie oszczędza, by posłać dziecko na studia. Z kolei brak wsparcia z zewnątrz często zmusza Amerykanki do zawodowych wyborów, których w innych krajach dokonywać nie trzeba, np. by przejść do pracy mniej rozwijającej i satysfakcjonującej tylko dlatego, że będzie można pracować zdalnie przez jeden dzień w tygodniu. W praktyce oznacza to dzień na wizytę z dzieckiem u lekarza. Kobiety podejmują też pracę w okrojonym wymiarze godzin, z dużo gorszymi świadczeniami, bez możliwości awansu itp. Wyjście ostateczne to rezygnacja z pracy.

Świat tego nie zarejestrował, ale na przełomie tysiącleci mieliśmy w Ameryce swego rodzaju rewolucję, tragiczną, gdy się o tym pomyśli. Podczas gdy kobiety w innych krajach, zwłaszcza w Europie, coraz bardziej oswajały i podbijały rynek pracy, wykształcone Amerykanki masowo z niego się wycofywały. Amerykańskie media nazwały to zjawisko *opting outem*, uznając, że kobiety dokonywały wyboru,

Z Ameryki na przełomie tysiącleci wyszedł model „intensywnego macierzyństwa”, który przyczynił się do wzbudzenia u kobiet poczucia winy, że jeśli nie poświęcają się dziecku 24 godziny przez siedem dni w tygodniu i w 150%, nie są wystarczająco dobrymi matkami. To nie było przypadkowe?

– Oczywiście, że nie. To był efekt *mommy wars* (wojen mamusiek), wykreowanych przez amerykańskie media w odpowiedzi na rewolucję *opting outu*. Kreatywne, inteligentne i pełne energii do zagospodarowania niepracujące matki musiały w jakiś sposób stworzyć dla siebie nowe zadania i zrobić to poprzez nową jakość macierzyństwa – skrajnie, do nieprzytomności zaangażowanego. W mediach skontrowano ich postawę z postawą matki, która pracuje zawodowo, nie może więc być, jak one, rodzicem helikopterem (*helicopter parent* – rodzic menedżer, który przesadnie organizuje dziecku czas i nadzoruje wykonywanie zadań), i – to bardzo ciekawe – skierowano tym

kujemy szyderczy stosunek do każdej formy pomocy społecznej. Mówimy o niej, używając specyficznego języka, często podpierając się słowem o negatywnym w Ameryce zabarwieniu – socjalizm. Łożenie na innych to socjalizm – głosi komunaf. Albo inny: nie po to tak ciężko pracuję, by płacić za kogoś innego. Dawanie, ale i przyjmowanie pomocy nie wpisuje się w paradygmat amerykańskiego snu. Jeśli nie potrafisz sobie sam poradzić, to przegrałeś, nie jesteś nic wart, tracisz nasz szacunek. To postawa zdecydowanie przedkładająca dobro jednostki nad dobro ogółu, niszcząca, niebudująca społecznie.

Widzimy, jak tworzy się błędne koło. I tu należy szukać przyczyny tego, że pracujące matki w USA nie tylko do tej pory nie wywalczyły sobie prawa do urlopu macierzyńskiego, nie mówiąc o innych formach wsparcia dla rodziny, ale również niewiele w tej sprawie robią. Upierają się, że są w stanie wszystko załatwić same, to tylko kwestia odpowiedniego zorganizowania się, np. robienie zakupów wyłącznie *online*, bo to oszczędza czas, rezygnacja z kolejnych przyjemności w sferze osobistej, takich jak własne zainteresowania, uczestnictwo w kulturze, spotkania towarzyskie. Jeśli trzeba, to także zatrudnienie dodatkowej pomocy w domu: opiekunki, sprzątaczkę, kucharkę.

Zwróćmy uwagę na kolejny paradoks. Stworzyliśmy świat, w którym jedna kobieta jest w stanie pracować, jeśli wykorzystuje w tym celu pracę innej kobiety, gorzej od niej usytuowanej. Nie ma lepszego przykładu klasowości i systemu podrzędności, a to wszystko w kraju, który chełpi się stwarzaniem równych szans!

I nikomu nie pomagają poradniki, które wmawiają Amerykankom, że odniosą w pracy sukces, jeśli tylko bardziej „włączą się do gry”!

– Książka Sheryl Sandberg narobiła dużo szkody („Włącz się do gry. Kobiety, praca i chęć przywództwa”), ale media ją pokochały. A jeszcze bardziej korporacje. Sandberg zalecała kobietom, by „brały sprawy w swoje ręce”, a to przesłanie fantastycznie wpisuje się w naszą narodową narrację o indywidualnej odpowiedzialności. Na szczęście sama szybko zorientowała się, że popełniła błąd, a gdy straciła męża i musiała poświęcić więcej cza-

USA jako jedyne państwo wśród najbardziej rozwiniętych nie gwarantuje kobiecie prawa do płatnego urlopu macierzyńskiego.

by zostać z dzieckiem w domu. Nic bardziej mylnego.

O co więc w *opting outu* chodziło?

– Wyjaśniła to socjolożka Pamela Stone w „*Opting out? Why Women Really Quit Careers and Head Home*” („Wybór? Dlaczego naprawdę kobiety rezygnują z kariery i wracają do domu”). Ta świetna książka była dla mnie dużą inspiracją. Według Stone to nie żaden wybór, tylko brutalne wypchnięcie z rynku pracy. Bo czy rzeczywiście wybierasz, jeśli spróbowałaś już wszystkich rozwiązań i nic nie działa? Jesteś świetnie wykształconą prawniczką, lekarzem, naukowcem, masz ambicje i twoja praca dużo dla ciebie znaczy, ale wracasz do domu. Fundujesz sobie na powrót lata 50. I tylko by zachować twarz, mówisz otoczeniu, że to twój wybór. Konsekwencje tego „wyboru” są tragiczne. Dla samej kobiety – bo powrót na rynek pracy po kilku czy kilkunastu latach jest dużo trudniejszy. Ale i dla nas wszystkich, dla gospodarki, bo marnuje się talent i potencjał kobiet, które w sprzyjających warunkach byłyby cały czas aktywne zawodowo.

samym debatę publiczną na zupełnie inne tory. Zamiast dociekać, co jest złego w systemie, który sprawia, że amerykańskim matkom tak trudno jest godzić pracę z rodziną, prymitywnie napuszczono jedne matki na drugie. Urządzono im zawody, która jest lepsza, która gorsza, która się czuje bardziej winna. To było klasyczne odwrócenie uwagi od istoty problemu.

Czyli jednak wspaniałe lata 50.

– Ameryka została zbudowana na przeświadczeniu, że każdy ma prawo do wolności osobistej i osiągania własnych celów bez ingerencji w ten proces rządu, Kościoła czy innych instytucji. Jesteśmy wychowywani w przeświadczeniu, że na nas i tylko na nas spoczywa odpowiedzialność za nasze życie i sukces. W tym za rodzinę. Rodzina jest w Ameryce definiowana jako *lifestyle choice* – wybór stylu życia. Tak samo jak posiadanie psa czy kota. Tak więc gdy reszta cywilizowanego świata już dawno uznała, że należy wspierać rodzinę, by jak najlepiej wychowywała przyszłych obywateli, my w Ameryce zostawiamy ją samą. Gorzej – prakty-

su sprawom rodzinnym, rozumiała, że zignorowała ograniczenia, z jakimi borykają się kobiety. Większości nie stać na oddanie domowych obowiązków płatnej pomocy. Poza tym Sandberg pisała z pozycji kobiety zamężnej, która jest w związku z mężczyzną równie dobrze zarabiającym i wspierającym jej ambicje zawodowe. To nie jest dziś powszechny model społeczny w Ameryce. Powszechne natomiast są bariery, jakie napotyka pracująca kobieta i matka, bo mają one charakter strukturalny. I na tym powinniśmy się skupić.

O urlop macierzyński dla Amerykanek spróbowała zawalczyć sama Ivanka Trump i nawet jej to się nie udało. Komu w końcu się uda?

– Nie jestem przekonana, że Ivanka szczerze się starała ani że to w ogóle był jej plan. Jej ojciec za to zaproponował, by umożliwić matkom wypłacanie pieniędzy z konta Social Security (federalnej emerytury) i tak finansować pobyt z dzieckiem w domu po porodzie, jeśli tego potrzebują. To pomysł absurdalny i niebezpieczny. Zakłada, że masz fundusze albo na wychowywanie dzieci, albo na to, żeby kiedyś przejść na emeryturę. Ale nie na oba cele jednocześnie.

Im więcej tego typu absurdalnych rozwiązań, tym bardziej społeczeństwo nabiera świadomości, że państwo powinno odgrywać rolę w rodzinie, a społeczeństwo patrzeć na siebie nie jako na zbiór jednostek, ale kolektyw o wspólnych interesach. Takim interesem jest nie tylko urlop macierzyński, ale też powszechna edukacja przedszkolna, pomoc osobom starszym czy osobom opiekującym się starszymi, chorymi.

Mam podstawy do optymizmu, bo mimo barier, które napotykamy jako pracujące matki, coraz więcej kobiet zajmuje ważne stanowiska, zyskuje moc decydencką. W Kongresie widzimy więcej kobiet, i to młodych, które już przedstawiły sporo propozycji nowych ustaw dotyczących rodziny. Nie ludzę się, że zmiany nastąpią jutro. W pewnym momencie naszej historii wypracowaliśmy jednak porozumienie, by zapewnić wszystkim dzieciom powyżej piątego roku życia edukację w myśl idei, że to z korzyścią dla całego społeczeństwa. A to oznacza, że jesteśmy w stanie ponownie zjednoczyć się dla wspólnego dobra.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Gdy wciąż mówią zostać

Krystyna Łybacka jest jednym z niewielu niedoścignionych wzorców polityka, który z tą samą klasą zaczyna i kończy

Ryszard Zaczynski

Poznań, rok 1991. W jesiennych wyborach parlamentarnych mandat posła na Sejm RP zdobywa startująca z odległego miejsca na liście wyborczej, niezwiązana wcześniej z polityką, pracująca na Politechnice Poznańskiej doktor nauk matematycznych – Krystyna Łybacka. Wydarzenie to jest największym szokiem dla samej wybranej, która swój start do Sejmu traktuje bardziej w kategoriach nowego doświadczenia aniżeli politycznych aspiracji. W ten właśnie sposób rozpoczyna się trwająca nieprzerwanie 28 lat działalność polityczna jednej z najbardziej znanych i szanowanych kobiet w polskiej polityce.

Bruksela, rok 2019. „The Parliament Magazine” ogłasza wyniki dorocznego plebiscytu MEP Awards, w którym nagradzani są najlepsi posłowie do Parlamentu Europejskiego. Tym razem gala finałowa jest szczególnie emocjonująca, ponieważ wyróżnienia przyznawane są w roku wyborczym. Prowadzący uroczystość wyczytuje kolejną kategorię – Edukacja, Kultura i Media, i nazwisko nagrodzonego – Krystyna Łybacka. W komentarzach w mediach społecznościowych pojawiają się gratulacje z okazji „wielkiego finału”.

W 2014 r., gdy postanka Krystyna Łybacka żegna się z polskim parlamentem, tygodnik „Polityka” przyznaje jej nagrodę Polityka Roku w specjalnej kategorii, wyróżniającą osoby, których najbardziej będzie brakować w gmachu przy Wiejskiej. Podkreśla się niezwykle merytoryczny charakter pracy postanki Łybackiej oraz uznanie, jakim cieszy się również wśród oponentów politycznych. Te same cechy sprawiają,

że zaledwie w ciągu jednej kadencji w Parlamencie Europejskim Krystyna Łybacka znajduje się w gronie najlepszych europosłów.

Fenomen „Naszej Krysi”, jak często mówi się o niej w Poznaniu i Wielkopolsce, z pewnością zainteresuje wielu politologów, jednak jak wskazują osoby znające od lat



Krystynę Łybacką, jej działalność polityczna podporządkowana jest zawsze niezwykle prostym zasadom. Od samego początku konsekwentnie realizuje niezmiennie hasło: „Chcę służyć ludziom”. Jest blisko swoich wyborców, spotyka się z nimi i słucha ich głosu, stroniąc od radykalizmu i sztucznych emocji. Jako matematyk metodycznie analizuje każdy problem, szuka najlepszych rozwiązań. Jej zamiłowanie do języka polskiego sprawia, że każde wystąpienie zapada w pamięć jako prawdziwy spektakl oratorski. Nawet w sytuacjach, gdy ripostuje wypowiedzi adwersarzy, robi to z wdziękiem prawdziwej damy. Krystyna Łybacka dla polskiej lewicy pozostaje ikoną polityki, a dla każdego z nas jest jednym z niewielu niedoścignionych wzorców polityka, który z tą samą klasą zaczyna i kończy.

Odprawić Butefa do Walhalli

Algierczycy odsyłają prezydenta na zasłużoną emeryturę

Jędrzej Pawlicki

W 1965 r. Abd al-Aziz Buteflika miał 28 lat i doświadczenie udziału w wojnie dekolonizacyjnej przeciwko Francji. Kierował algierską dyplomacją. Kapuściński wspomina w „Wojnie futbolowej”, że Buteflika grał w piłkę nożną z ówczesnym prezydentem Ahmadem Ben Bellą, co nie przeszkadzało mu współorganizować spisku przeciwko niemu. Zamach stanu wyniósł do władzy płk. Huariego Bumedię, przy którym kariera Butefliki nabrała rozpędu. Śmierć politycznego patrona oznaczała dla przyszłego prezydenta konieczność emigracji. Na szczyty algierskiej polityki wrócił w 1999 r. – jako popierany przez armię kandydat wygrał wybory prezydenckie i przywrócił pokój oraz stabilizację w kraju wyniszczonym wojną domową.

Algierski ruch sprzeciwu jest wyjątkowy ze względu na dyscyplinę, pokojowy charakter demonstracji oraz humor i ironię.

Jednak w ciągu czterech kadencji ten były najmłodszy na świecie minister spraw zagranicznych stał się zwornikiem i symbolem systemu, w którym władzę nad coraz młodszą populacją sprawuje kasta 80-latków. Masowe demonstracje zaczęły się w Algierii pod koniec lutego po zapowiedzi zgłoszenia kandydatury Butefliki na piątą kadencję.

Po przebytych w 2013 r. udarze prezydent jest sparaliżowany, porusza się na wózku, lata na leczenie do Szwajcarii i nie zabiera publicznie głosu. Jednocześnie cały kraj zdobija oficjalne portrety Butefliki, przesłaniające kulisy walki o władzę i wpływy wśród członków stworzonego przez niego – i coraz bardziej niewydolnego – systemu. „Nie chcemy być rządzonymi przez ramkę ze zdjęciem”, powtarzają Algierczycy i odsyłają prezydenta na zasłużoną emeryturę, do krainy odpoczynku dla mudżahedinów z wojny o niepodległość. Choć nie wiadomo, jak się skończą obecne protesty,

odejście dawnych wojowników wydaje się nieuniknione.

Czarna dekada

Grupa trzymająca władzę w Algierii zbudowała ją na udziale w wojnie dekolonizacyjnej z lat 1954-1962. Jednak Buteflika przejdzie do historii przede wszystkim jako gwarant bezpieczeństwa kraju po tzw. czarnej dekadzie. W latach 90. na skutek konfliktu militarnego między armią i rządem a licznymi islamskimi bojówkami terrorystycznymi życie straciło nawet 200 tys. osób. Codziennosc Algierczyków naznaczona była strachem i niepewnością. Porwania i zamachy stanowiły chleb powszedni ludzi skazanych na życie w kłinczu, do którego pośrednio doprowadziła liberalizacja systemu politycznego. W 1991 r. odbyły się pierwsze od odzyskania niepodległości wolne

wybory parlamentarne. Gdy wygrał je Islamski Front Ocalenia (FIS), generałowie zdecydowali się na interwencję i przerwanie procesu wyborczego. Choć głęboki i wieloletni kryzys instytucji państwowych zapewnił islamistom realne poparcie społeczne, wielu Algierczyków woli nie używać terminu wojna domowa wobec wydarzeń z lat 90. Przemoc i bestialstwo grup zbrojnych wywodzących się ze zdelegalizowanego FIS, a także podejrzenia o stosowanie prowokacji przez stronę rządowo-wojskową doprowadziły do sytuacji, w której Algierczycy stali się zakładnikami we własnym kraju.

Benjamin Stora, specjalista od najnowszej historii Algierii, nazwał ten okres niewidzialną wojną. Słoneczny kraj w północnej Afryce, opuszczony przez dyplomatów, pracowników zagranicznych i dziennikarzy, pogrążył się w cieniu. Jedną z nielicznych zagranicznych grup, które pozostały w Algierii bez względu na ryzyko,

byli słynni trapiści z Tibhirine, zamordowani w 1996 r. Tak o przeorze wspólnoty Christianie de Chergé pisał polski trapiś Michał Zioto: „Jego wizja dialogu z islamem była spójna, nowa i zapraszająca, również do ryzyka, bo to nie musiało się udać. Nie chodziło mu o synkretyzm ani o mariaż dwóch religii. On wierzył, że się spotkamy, że to jest możliwe”. W polskich relacjach o czarnej dekadzie dominują informacje właśnie o braciach z Tibhirine. Wydaje się to niesprawiedliwe, także ze względu na poczucie solidarności mnichów z miejscową ludnością – w końcu zostali w Algierii, by zaświadczyć też o tym, że pierwszymi ofiarami islamistów byli muzułmanie, wśród których żyli.

W książce „Biel Algierii” („Le Blanc de l'Algérie”) współczesna pisarka algierska, a zarazem członkini Akademii Francuskiej, Assia Džebbar, spisała swoistą pieśń żałobną upamiętniającą dziennikarzy, pisarzy i ludzi kultury zamordowanych przez islamistów.

Bojówki terrorystyczne wzięły na cel zwłaszcza intelektualistów o liberalnych poglądach i piszących po francusku. Tytułowa biel odnosi się do zwyczajowego koloru żałoby w krajach arabsko-muzułmańskich, jak i do pustki po zniknięciu tych, którzy piórem przeciwstawili się przemocy. Codzienny strach i poczucie opuszczenia przez resztę świata były powszechnym doświadczeniem algierskim w latach 90. Kres przemocy wiąże się z szeroką amnestią zaproponowaną islamskim partyzantom przez prezydenta Buteflikę w ramach tzw. Karty na rzecz pokoju i pojednania narodowego.

– Dawni islamscy partyzanci są wśród nas, żyją między nami – mówi Sabrina Fatmi, wykładowczyni literatury na Uniwersytecie Algier-2 i uczestniczka obecnych protestów.

Silmija

Na wyjątkowość algierskiego ruchu sprzeciwu składa się kilka rzeczy.



Wielu protestujących urodziło się już w Algierii Butefliki i nie chcą już piątej kadencji prezydenta.

Po pierwsze, dyscyplina i zorganizowanie. Mieszkańcy centrów miast zostawiają na chodnikach butelki z wodą dla uczestników manifestacji. Ci drudzy po zakończonych marszach zbierają ustawione przez siebie śmieci. Tłumy maszerujące w Algierze i innych miastach milkną, gdy przechodzą pod oknami szpitali.

Po drugie, pokojowy charakter demonstracji. Algierczycy nie dali się zaszantażować pamięcią o czarnej dekadzie. Jeśli nie zbuntowali się w 2011 r. na fali arabskiej wiosny właśnie ze względu na doświadczenia z lat 90., to teraz czuwają nad pokojowym przebiegiem protestów. Nie prowokują sił porządkowych, nierzadko sami tworzą kordony bezpieczeństwa wokół policjantów. Gdy policja zaczęła używać armatek wodnych, przyszli na demonstracje z ręcznikami i szamponem. Jednym z głównych haseł skandowanych na marszach jest *silmija* – po arabsku pokojowa.

Po trzecie, humor i ironia. Odzyskana przestrzeń publiczna stała się agorą, na której rozkwitło algierskie poczucie humoru, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Wielu uczestników manifestacji urodziło się już w Algierii Butefliki, nie znają innego prezydenta i nie działają na nich ostrzeżenia władzy: albo my, albo

islamiści. Jeden ze sloganów przygotowanych przez aktywistę Ziriego Ulmana głosi „Nokia 3310 jest młodszą niż twoja pierwsza kadencja”. Ulman udostępnia swoje pomysły w portalu społecznościowym, skąd można je pobrać przed każdą manifestacją.

Młodzi Algierczycy odwołują się często do popularnych seriali, takich jak „Wikingowie” i „Gra o tron”. Stąd hasła typu: „Butef do Walhalli” lub

Mieszkańcy centrów miast zostawiają na chodnikach butelki z wodą dla uczestników manifestacji.

„*Spring is coming*. Otwórzcie Club des Pins” (Club des Pins to luksusowy i świetnie strzeżony kurort w okolicy Algieru, dostępny tylko dla notabli i ich rodzin). „Tylko Chanel ma prawo do numeru pięć”, głosi inny slogan wymierzony w plany piątej kadencji Butefliki. W kolejnym Mistrz Yoda z „Gwiezdnych wojen” zwraca się do prezydenta: „Piątej kadencji nie odbędziesz, moc jest z ludem”.

Algierczycy są bezsilni dla niedołęstwa Butefliki symbolizującego zapaść całego systemu władzy, niezdolnego do rozwiązania problemów społecznych i ekonomicznych kraju. Gdy wybuchły protesty, prezydent przebywał za granicą na

kolejnej turze leczenia. Ukryta kamera satyryczno-informacyjnego francuskiego programu „Quotidien” zarejestrowała brata Butefliki odwiedzającego prezydenta na ósmym piętrze szpitala w Genewie. W izbie przyjęć natychmiast rozdzwoniły się telefony od przesadnie z troskanych Algierczyków pytających o stan zdrowia drogiego przywódcy. W wypowiedzi cytowanej przez portal Algérie Part rzecznik prasowy szpitala przyznał, że jednego dnia pracownicy musieli odebrać ok. 1,5 tys. połączeń. Wiele jest nagrywanych i publikowanych w internecie, tak jak to, na którym rzekomy dostawca pizzy skarży się, że dowiózł na ósme piętro szpitala cztery pizze i dostał zamówienie na kolejną: „Powiedzcie im, że nie przywiezę piątej, dopóki nie zapłacą za cztery poprzednie”, czym wzbudza śmiech operatora z izby przyjęć. Pisarz Samir Tumi, autor powieści „Znikanie”, zamieścił z kolei na Facebooku wpis: „Poszukiwana algierska pielęgniarka w Genewie, konieczność eutanazji umierającego pacjenta”.

Niezdolność Butefliki do rządzenia krajem jest przedmiotem wielu żartów, a ruch protestu w Algierii pozostaje otwarty. W manifestacjach biorą udział rodzice z małymi dziećmi oraz osoby niepełnosprawne. Opiekunowie domagają się dla nich takich samych praw, jakimi dysponuje elita kraju: „Też chcemy się leczyć w Szwajcarii”.

Wbrew propagandzie skrajnej prawicy europejskiej zmiany geopolityczne w krajach arabskich nie powodują masowego napływu imigrantów. – Zwróć uwagę, że od 22 lutego nie została zarejestrowana żadna próba hargi – mówi Sabrina Fatmi. *Harga* to słowo z algierskiego dialektu języka arabskiego oznaczające próbę nielegalnego dotarcia z Afryki do Europy, nierzadko z narażeniem życia.

Nieoczekiwana zmiana miejsc

Sytuacja w Algierii jest dynamiczna. Protesty wybuchły 22 lutego po zapowiedzi startu Butefliki ▶

► w wyborach zaplanowanych na kwiecień. W ciągu niecałych dwóch miesięcy Algierczykom udało się zmusić go do rezygnacji z kandydowania, a w końcu do dymisji przed upływem czwartej kadencji. Tymczasowym prezydentem został marszałek senatu, który ma zapewnić zorganizowanie uczciwych wyborów. Uznawany za człowieka systemu Abd al-Kadir Bensalah nie cieszy się jednak poparciem protestujących.

Wiele o dotychczasowej sytuacji algierskiego systemu politycznego mówią zdarzenia z 3 marca, kiedy upływał termin zgłaszania kandydatur. Oprócz Butefliki do walki

gierskie umożliwia start w wyborach obywatelom mieszkającym w kraju od co najmniej 10 lat. Nekkaz mechanik spełnia ten warunek i zapowiedział, że powoła Nekkaza przedsiębiorcę na szefa kampanii, po wygranej zaś stworzy dla niego urząd wiceprezydenta i poda się do dymisji, przekazując władzę patronowi politycznemu.

Satyryczna strona El Manchar ironizowała, że Algieria rzeczywiście potrzebuje prezydenta mechanika.

Tłumy maszerujące w Algierze i innych miastach milkną, gdy przechodzą pod oknami szpitali.



Studencka demonstracja w Algierze, 2 kwietnia 2019 r.

o władzę miał stanąć m.in. francusko-algierski przedsiębiorca Raszyd Nekkaz, znany dotychczas z planów startu w wyborach prezydenckich we... Francji. W związku z fiaskiem kariery politycznej nad Sekwaną Nekkaz zwrócił francuski paszport i zaangażował się w kampanię prezydencką w Algierii. Na początku protestów cieszył się poparciem części algierskiej młodzieży i szeroko relacjonował swoje poczynania w mediach społecznościowych. 3 marca wszedł do budynku Trybunału Konstytucyjnego, by zarejestrować swoją kandydaturę. Do dziennikarzy wyszedł jednak... inny Raszyd Nekkaz – jego imiennik, mechanik samochodowy, którego biznesmen przedstawił jako kuzyna. Prawo al-

Wszak kraj od 20 lat jest w stanie permanentnej awarii, a mechanik mógłby rozpędzonej korupcji zamontować system ABS.

Ofiaruję ci wojnę

W powieści „Znikanie” Samir Tumi przedstawił historię 40-latką cierpiącego na szczególną chorobę. Syndrom ten objawia się u Algierczyków w wieku średnim, najczęściej wśród dzieci bohaterów wojny o niepodległość. Polega na znikaniu odbicia w lustrze. Bohater Tumiego podejmuje co prawda próby leczenia, ale popada w obłąd i zaczyna w wyobraźni przeżywać życie swojego słynnego ojca, komendanta Hassana. W jednej z ostatnich scen zjawia

ojca zwraca się do syna: „Mogę dać ci tylko wojnę”.

Warto czytać Tumiego, bo w przeciwieństwie do gwiazd literatury algierskiej, takich jak Yasmina Khadra i Buaem Sansal publikuje wyłącznie w wydawnictwie algierskim, Éditions Barzakh, niedużej, ale prestiżowej oficynie założonej przez Selmę Hellal i Sofiana Hadżdżadza. To oni jako pierwsi wydali głośną „Sprawę Meursaulta” Kamela Dauda, w której algierski pisarz postkolonialnie

zreinterpretował „Obcego” Camusa. Tumi nie musi więc się martwić presją ideologiczną i marketingową, z którą jego bardziej znani koledzy po piórze zmagają się we Francji. Bohater „Znikania” należy do pokolenia zmarnowanej młodości i skradzionej niepodległości, do generacji skazanej na życie w cieniu wielkich rodziców czerpiących profity z udziału w wojnie dekolonizacyjnej. Pokolenie wnuków, które wyszło właśnie na ulice, nie odrzuca jednak wielkiego narodowego mitu w całości. Demonstrujący skandują nazwiska poległych rewolucjonistów, przypominają o udziale kobiet w walce z francuską okupacją i tworzą murale z wizerunkami bohaterów.

– To jest bunt kolejnego pokolenia, tego, które przychodzi po moim. My zostaliśmy przygnieci wielką narodową opowieścią o rewolucji algierskiej, ale jeśli władza opierałaby swój mandat na wojnie o niepodległość i jednocześnie sprzątała procesom demokratycznym, nikomu nie sprawiałoby to problemu – mówi Samir Tumi.

W podobnym tonie wypowiada się Hamidu, doktorant z Mostaganem: – Moi dwaj dziadkowie walczyli w wojnie o niepodległość, dużo poświęcili, by Algieria była wolnym krajem. Jeśli mudżahedini widzieliby, co się dzieje dzisiaj w kraju, za który oddali życie, na pewno byłiby zawiedzeni.

Odprawić Butefa do Walhalli to odzyskać nie tylko przestrzeń oraz wizję przyszłości, ale i zawłaszczoną pamięć.

Jędrzej Pawlicki

Z Galicji



Jan Widacki

PiS od czasu do czasu zarzuca opozycji, że skarży na Polskę w Brukseli. Już samo takie ujęcie sprawy wskazuje jasno, że PiS uważa Unię Europejską za jakiś zewnętrzny podmiot, zapominając, że Polska jest tego podmiotu częścią. Pan prezydent uważa zaś Unię za „wymaginowaną wspólnotę”. Wychodzi na to, że opozycja skarży na Polskę jakimś nieistniejącemu realnie bytowi. PiS uważa, że polskie sprawy należy załatwiać w Polsce.

Pan premier natomiast, brzydząc się takim niepatriotycznym „donoszeniem”, sam, za oceanem (a więc już poza granicami tej wymaginowanej wspólnoty), publicznie Polskę szkaluje. Wstępując na Uniwersytecie Nowojorskim, stwierdził bowiem, że w wolnej Polsce wymiar sprawiedliwości jest nie dość, że skorumpowany, to jeszcze opanowany przez sędziów, którzy skażeni są komunizmem, orzekali w stanie wojennym, a tak w ogóle to nie różnią się od funkcjonariuszy reżimu Vichy i nigdy nie zostali

nych. A sędziowie z wydziałów karnych? Do roku 1981 orzekali przede wszystkim w sprawach przestępstw pospolitych, sądzili zabójców, gwałcicieli i złodziei. Sprawy polityczne po 1956 r. stanowiły mniej niż promil wszystkich spraw. Gdy wprowadzono stan wojenny, orzekali wedle prawa stanu wojennego. Zdecydowana większość, orzekając w sprawach opozycji demokratycznej, zachowywała się przyzwoicie. Mogą o tym zaświadczyć ci działacze opozycji, którzy byli wówczas sądzeni. Oczywiście byli wśród sędziów również tacy, którzy wykazywali się szczególną gorliwością. Stanowili jednak zdecydowaną mniejszość. Niektórym nie trzeba było nawet stanu wojennego. Niejaki sędzia Kryże jeszcze w 1980 r. skazał m.in. Bronisława Komorowskiego za „nielegalne” składanie 11 listopada kwiatów na Grobie Nieznanego Żołnierza. Nie przeszkadzało to jednak PiS i w latach 2005-2007 sędzia Kryże został zastępcą Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Głupie Polski szkalowanie

zweryfikowani. Taki stan polskiego sądownictwa uzasadnia zatem jego reformę, którą PiS właśnie przeprowadza, przeciwko czemu protestują ci sami sędziowie kolaboranci i postkomuna, która w Polsce jest silna, bo nigdy nie została rozliczona.

Mniej zorientowanym – a tych nie brakuje nawet wśród klasy politycznej – którym mylą się daty (nawet ekspremier Szydło ubiegająca się o mandat do Parlamentu Europejskiego nie wie, kiedy Polska stała się członkiem Unii), trzeba kilka faktów przypomnieć.

Po pierwsze, stan wojenny obowiązywał w Polsce od 13 grudnia 1981 r. do 22 lipca 1983 r., przy czym zawieszony został 31 grudnia 1982 r. Wprowadzono go zatem 38 lat temu. Jak wynika z danych Ministerstwa Sprawiedliwości, średnia wieku sędziego w Polsce wynosi 49 lat.

By zostać u nas sędzią, trzeba mieć ukończone 29 lat, czyli najmłodszy sędziowie, którzy mogli orzekać w stanie wojennym, skończyli już 67 lat lub dobiegają tego wieku. Jeśli w czasie stanu wojennego mieli ponad trzydziestkę, dawno są w stanie spoczynku. Warto przypomnieć, że sędziowie sądów powszechnych przechodzą w Polsce w stan spoczynku po ukończeniu 65. roku życia, chyba że na ich prośbę czas służby przedłuży im minister sprawiedliwości.

Nie wiem, czy Ministerstwo Sprawiedliwości dysponuje tu dokładnymi danymi i czy ktokolwiek w Polsce może podać precyzyjnie, ilu sędziów orzekających w latach 1981-1982 jest jeszcze w czynnej służbie i orzeka. W każdym razie stanowią oni znikomą procent orzekających sędziów, których w Polsce jest ok. 10 tys. Statystyczny sędzia dziś orzekający miał w chwili wprowadzania stanu wojennego 11 lat.

Po drugie, samo orzekanie w stanie wojennym o niczym jeszcze nie świadczy. Dwie trzecie sędziów orzekało w sprawach cywilnych, rodzinnych, z prawa pracy czy ubezpieczeń społecz-

nych. Pamiętać przy tym należy, że w latach 90. wszyscy sędziowie zostali poddani obowiązkowej lustracji. Ci, którym udowodniono związki z organami bezpieczeństwa PRL, odeszli z zawodu.

A zarzut korupcji? PiS rządzi już ponad trzy lata. Stworzyło nawet specjalny pion w prokuraturze, który ma ścigać korupcję wśród sędziów. Czy choć jednemu sędziemu udowodniono, że brał łapówki? Czy choć jeden sędzia został skazany za korupcję?

Pan premier twierdzi i opowiada za granicą, że wprowadzane przez PiS pseudoreformy wymiaru sprawiedliwości (które w Sejmie firmuje jako przewodniczący komisji sprawiedliwości prokurator stanu wojennego i członek władz PZPR w swojej prokuraturze, niejaki Piotrowicz) są konieczne z tego powodu, że wciąż orzekają sędziowie kolaboranci z okresu stanu wojennego. Aby przemieścić w stan spoczynku kilku (a niechby nawet kilkudziesięciu) sędziów, nawet gdyby było to celowe i sprawiedliwe (a nie jest!), trzeba było rozwalić Trybunał Konstytucyjny, upolitycznić Krajową Radę Sądownictwa, zdemolować Sąd Najwyższy? Ograniczyć niezawisłość sędziów i poddać ich władzy prokuratora generalnego-ministra sprawiedliwości (który uzyskał różne instrumenty nacisku na sądy)? Jaki jedno z drugim ma związek?

Pan premier, gdyby wierzył w to, co mówi, musiałby mieć kłopoty z prostą arytmetyką na poziomie szkoły podstawowej i kompletnie nie znać faktów, na temat których się wypowiada. To byłoby naprawdę kompromitujące. Ale pan premier chyba po latach odjął 1981, a 38 od 49 albo dodać 29 do 38. Kłamię zatem świadomie i beczelnie. Szkaluje nie tylko sędziów, którzy orzekają „w imieniu Rzeczypospolitej”, ale także Polskę.

Co więcej, podważa na całe lata zaufanie społeczne do sędziów i wymiaru sprawiedliwości. Tym szkodzi Polsce jeszcze bardziej. Mam nadzieję, że kiedyś za to odpowie. Jeśli nie za rok, to może za pięć lat. Oj, „dłużej klasztoru niż przeora”, panie premierze.



Mateusz Mazzini

Tristram Stuart (na zdjęciu), 42-letni brytyjski przedsiębiorca i działacz społeczny, wygląda jak modelowy lewicowy aktywista. Urodzony w Londynie, pochodzi z całkiem zamożnej rodziny i przeszedł przez kuźnie tamtejszych elit, zanim stał się ich pogromcą. Ukończył renomowaną, ale znaną ze snobizmu podopiecznych szkołę średnią Sevenoaks. Dyplom studiów uzyskał z kolei w Cambridge. Nawet jego publiczny wizerunek wskazuje, że coś mu z tego elitarnego wychowania i wykształcenia zostało. Choć na pierwszy rzut oka wydaje się luzakiem, wszystko, co na jego temat znajdziemy w internecie, jest bez wątpienia starannie wyselekcjonowane.

Biografia udostępniona na oficjalnej stronie internetowej zawiera jedynie kilka linijek i wzmianki o największych sukcesach medialnych. Profil na zawodowym portalu LinkedIn nie zdradza ani kierunku studiów w Cambridge, ani szczegółów drogi zawodowej. Podobnie mało da się wyciągnąć z konta na Twitterze czy poświęconej mu strony w Wikipedii. Choć zaangażowany był w wiele inicjatyw nie zawsze spektakularnie skutecznych, Tristram Stuart zrobił wszystko, by jego nazwisko stało się synonimem jednego bizne-

Drugie życie jedzenia

Browar rzemieślniczy do produkcji piwa wykorzystuje niezjedzony chleb

sowo-społecznego projektu – browaru rzemieślniczego Toast.

Nazwa ulokowanego w hrabstwie Yorkshire na północy Anglii producenta czterech rodzajów piw wykorzystuje grę słów w języku angielskim. Można ją bowiem rozumieć na dwa sposoby – jako toast, co w przypadku produktu alkoholowego nie jest specjalnie dziwne, oraz jako tost, czyli opiekany kawałek chleba. I właśnie ta druga interpretacja jest kluczowa, bo do produkcji piwa browar Stuarta wykorzystuje przede wszystkim niezjedzony chleb.

Liczby, które brytyjski aktywista upublicznił przy okazji popularyzowania swoich wyrobów, mogą zaszokować nawet najbardziej uświadomionego konsumenta produktów spożywczych. Przygoda Tristrama Stuarta z browarnictwem z odzysku zaczęła się bowiem, jak sam wspomina, w 2008 r., kiedy dowiedział się przez przypadek, że największy producent kanapek na Wyspach wyrzucają do śmieci 13 tys. kromek chleba dziennie. Innymi słowy, 17% każdego pojedynczego bochenka ląduje w koszu.

W kraju, w którym – jak pokazują wyniki badań przeprowadzonych w 2017 r. przez firmę doradcą Ginger Comms – 56% mieszkańców zjada co najmniej jedną kanapkę dziennie, to ilość niewyobrażalna. Jeśli dodamy do tego fakt, że przeciętny Brytyjczyk wydaje w swoim życiu na kanapki 48 339 funtów, czyli prawie ćwierć miliona złotych, łatwo zobaczyć biznesowy aspekt tej straty. A przede wszystkim niewykorzystany potencjał wyrzucanego pieczywa.

Stuart wydobywa go niemal do ostatniego okruszka. W 2015 r. założył Toast – browar produkujący piwo przy użyciu chleba niewykorzystanego przez innych przedsiębiorców. W tej chwili oferuje już cztery odmiany napoju, o różnym składzie, smaku i zawartości alkoholu. Kluczowym

komponentem pozostaje jednak pieczywo. Pracownicy browaru odbierają je już nie tylko od małych piekarni, ale też od wielkich producentów kanapek i paczkowanej żywności. Choć Toast za chleb nie płaci, interes opłaca się obu stronom. Zgodnie z brytyjskim prawem koncerny spożywcze za utylizację niewykorzystanego jedzenia, w tym chleba, muszą płacić karne podatki (co samo w sobie miało zapobiec rozrzutnej gospodarce żywnościowej, ale nie zdało egzaminu). Przekazując chleb do browaru

organizacji, że to wszystko są działania nastawione na efekt wizerunkowy. Sieć bowiem nie przygotowała do tej pory żadnych rozwiązań systemowych ani długofalowych strategii. W dodatku część lewicowych środowisk skrytykowała Stuarta za to, że obok niego w panelu doradczym ONZ zasiada m.in. Dave Lewis, prezes Tesco, czyli jednego z największych marnotrawców żywności na świecie. Dla niektórych aktywistów to dowód, że Feedback, Toast i całe ekoimperium 42-letniego Brytyjczyka

wyliczania i prezentowania dat ważności i przydatności do spożycia oraz zmiany w podejściu do pakowania żywności (np. poprzez „uczciwszy” stosunek rzeczywistej wagi produktu do rozmiaru opakowania). Dopiero na dalszych miejscach można znaleźć strategie znane z wielu krajów rozwiniętych – ulgi podatkowe, bonifikaty za współpracę z bankami żywności czy właśnie wtórne użycie wprowadzonych już do sprzedaży produktów spożywczych.

Wszystko to jednak wciąż rozwiązania teoretyczne, gdy mówimy o zwalczaniu kryzysu marnowania żywności na skalę światową. Największym bowiem problemem jest tu nierówny dostęp do jedzenia. Według różnych szacunków kraje rozwinięte produkują od dwóch do aż pięciu razy więcej, niż są w stanie same skonsumentować.

Przetransportowanie tej nadwyżki w rejony dotknięte głodem jest często niemożliwe z powodu potrzebnego czasu i reakcji żywności na warunki transportu, bardzo drogie i przede wszystkim nieekologiczne. Łatwo sobie wyobrazić zanieczyszczenia wyprodukowane przez statki, samoloty czy ciężarówki transportujące jedzenie. To klasyczny dylemat ekologii i aktywistów zaangażowanych w ochronę środowiska: czy ratowanie setek ludzkich żyć i wyeliminowanie wstydu związanego z marnowaniem ton żywności ma

Kraje rozwinięte produkują od dwóch do pięciu razy więcej jedzenia, niż są w stanie same skonsumentować.

Stuarta, unikają tej opłaty. A Toast otrzymuje za darmo surowiec, ważny ze względu na walory smakowe, ale przede wszystkim pod kątem PR i marketingu.

W samym 2017 r., kilkanaście miesięcy po uruchomieniu produkcji, Toast wypuścił na brytyjski rynek 56 tys. litrów piwa, używając w procesie produkcji ponad 6 ton pieczywa, które zostałoby po prostu zmarnowane. Licencję na produkcję piwa z recyklingowanego chleba kupiły już browary w USA, Afryce Południowej, Kanadzie i Australii. Lista sukcesów Toast jest jednak znacznie dłuższa. A od początku istnienia firma „uratowała przed straceniem” milion kromek. Używanie własnej, odmiennej od tradycyjnych, technologii warzenia piwa dało też redukcję emisji dwutlenku węgla równą dziewięciu lotom dookoła globu, ale Stuart najgłośniejszemu podkreśla, że 100% przychodów ze sprzedaży chlebowego piwa jest przeznaczane na cele charytatywne.

Głównym odbiorcą tych środków jest jednak, pośrednio, on sam. Toast przekazuje zyski sieci społecznej Feedback, założonej właśnie przez Tristrama Stuarta. Wspierana przez Komisję Europejską i UNDP, agendę Narodów Zjednoczonych ds. rozwoju, zajmuje się wdrażaniem programów społecznych mających rozdzielać niewykorzystaną żywność wśród ubogich.

I choć Feedback ma na koncie spektakularne sukcesy medialne, takie jak festiwale gotowania na świeżym powietrzu i rozdawanie żywności wśród osób społecznie wykluczonych, krytycy zarzucają or-

służy już interesom korporacji, a nie społeczeństw.

Bez względu na to jednak, czy Tristram Stuart i podobni mu działacze wzbudzają euforię czy niechęć, poruszany przez nich problem jest jednym z największych wyzwań naszych czasów. Toast podjął próbę rozwiązania go, zaczynając od końca, czyli powtórnie utylizując niewykorzystane, ale wyprodukowane już jedzenie. Zdaniem Jodi Helmer z amerykańskiej fundacji Narodowy Ruch Ochrony Zasobów (NRDC) to złe podejście. Według niej marnotrawienie żywności należy eliminować u źródła – ograniczając zarówno zbyt wysoką produkcję, jak i konsumpcję. W praktyce oznacza to bowiem

Brytyjskie koncerny spożywcze za utylizację niewykorzystanego jedzenia płacą karne podatki.

to samo – ludzie muszą po prostu kupować mniej jedzenia. Wówczas, jak pisze Helmer na portalu ekologicznym EcoWatch, z czasem producenci dostrzegą zmieniający się trend i spadnie ilość dostępnej na rynku przetworzonej żywności.

Jej podejście znajduje potwierdzenie w danych statystycznych. Przygotowany przez organizację ReFED model symulujący korzyści ekonomiczne, społeczne i środowiskowe z wprowadzania poszczególnych rozwiązań przeciwko marnowaniu jedzenia pokazuje jednoznacznie, że światowe gospodarki i społeczeństwa najwięcej mogą zyskać poprzez zwiększanie świadomości konsumentkiej, udoskonalenie systemu

większą wartość od globalnych wysiłków na rzecz redukcji emisji dwutlenku węgla? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Każda z analizowanych strategii rozdziału żywności ma jednak w centrum człowieka, który podejmuje świadome decyzje. I to może być punktem zaczepienia nadziei na rozwiązanie problemu nadprodukcji jedzenia. Właśnie pojedynczy człowiek ma największą moc sprawczą w tym systemie naczyń połączonej. Jak zawsze zatem lepsze zarządzanie jedzeniem należy zacząć od siebie. Im szybciej, tym lepiej – nasza planeta, podobnie jak produkty spożywcze, ma ograniczony okres przydatności. ■

Berling wymazywany z historii

Tomasz Wojciechowski

„Kiedyś, kiedy będą załatwiali moją sprawę historycznie, pamiętaj, że nie byłem świnia”. Te słowa wypowiedział ppłk Zygmunt Berling do Zdzisława Peszkowskiego, przyszłego księdza i kapelana Rodzin Katyńskich, a ówczesnego podchorążego w armii Andersa. Ks. Peszkowski przyznał potem: „Czułem, że jest on (Berling) częścią jakiegoś polskiego etosu rozdarcia”. Postać Berlinga do dziś budzi wiele kontrowersji. Z jednej strony, wiele osób, w tym jego byłych podwładnych, ceni go za to, że wyrwał z łagrów i mrozów Rosji radzieckiej wiele istnień ludzkich. Z drugiej, zarzuca mu się współpracę ze Stalinem, wykorzystanie sprawy Polski do własnej kariery wojskowo-politycznej. Obwiniano go o bycie agentem NKWD i propagowanie komunizmu. Stał się celem ataków przede wszystkim Instytutu Pamięci Narodowej, co skutkuje usunięciem pomników i zmianami nazw ulic.

A jaki był naprawdę? Czy był wyrachowanym karierowiczem? A może postacią tragiczną, rozdartą między polityką a tym, co ludzkie i żołnierskie? Wreszcie – czy był komunistą z przekonania, z wyboru czy z konieczności? A może nie był nim wcale?

Quo vadis, generale?

Berling na pewno był pragmatykiem, co nie wykluczało patriotyzmu. Zdawał sobie sprawę, że alianci są daleko. Pamiętał doskonale wrzesień 1939 r. i to, jak zachowali się wobec Polski. Sam przyznawał, że komunistą nie był i nie będzie, ale wiedział, że Rosja Radziecka jest potężna i to Stalin będzie rozdawał karty po zakończeniu wojny. W miarę upływu czasu sytuacja geopolityczna się zmieniała. Konflikt ZSRR z III Rzeszą otwierał przed Polakami znajdującymi się na terytorium Rosji nowe możliwości wyrwania się z łagrów i z niewoli, oca-

Gen. Berling zdawał sobie sprawę z tego, że to Stalin będzie rozdawał karty po zakończeniu wojny



lenia życia. Także wyzwolenia Polski pod polskim sztandarem, nawet jeśli trzeba by walczyć jako polskie wojsko pod nadzorem Armii Czerwonej. „Polska na lata będzie związana z Rosją, więc dla dobra Polski ta współpraca będzie konieczna”, twierdził Berling.

Czy to, że wybrał Rosję zamiast odległej Anglii i Francji, czyni go zdrajcą? Chciał armii polskiej formowanej w Rosji, ale miał inną wizję walki niż Anders. Kierował się nie uwielbieniem dla Stalina, ale myślą, by żołnierze 1. Armii Ludowego Wojska Polskiego mogli wkroczyć na ziemie Polski, manifestując tym samym obecność polskiego oręża. Rozumiał, że żołnierze Andersa, cała polska emigracja wojskowo-polityczna, będą z czasem balastem dla aliantów.

To, że Stalin wykorzystywał Berlinga i jego armię do swoich wyrachowanych rozgrywek, jest już inną kwestią.

Nie można oskarżać Berlinga o fascynację komunizmem. W lutym 1920 r. awansował do stopnia kapitana. Podczas wojny polsko-bolszewickiej wstąpił się jako dowódca V batalionu kieleckiego w obronie Lwowa, za co został uhonorowany Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari. To, że Berlingowi, mimo jego antysowieckiej przeszłości, pozwolono w Rosji na formowanie sił zbrojnych, trzeba uznać za paradoks historii. Łatwo dziś oceniać zachowania takich ludzi jak Berling, zapomina się bowiem, że był to czas, gdy ktoś potrzebny łatwo mógł się zamienić w kogoś skazanego na fizyczny niebyt. Można było np. polecieć do Moskwy i już nie wrócić.

Jeden warunek

Zygmunt Berling chciał żyć. Czy można mieć mu to za złe? Uniknął losu swoich kolegów i przeżył jako jeńiec w Starobielsku, podczas gdy inni spoczęli w masowej mogile w Katyniu. W październiku 1940 r., zaledwie osiem miesięcy przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckiej, bolszewicy sprowadzili do specjalnego obozu pod Moskwą,

a potem do samej Moskwy, paru polskich oficerów sztabowych, w tym płk. Berlinga, i zaproponowali im przygotowanie armii polskiej do walki przeciwko Niemcom. Berling stawiał jednak bardzo ostro jeden warunek: do tej armii będą mogli wejść wszyscy polscy szeregowi i oficerowie, niezależnie od ich poglądów politycznych. Rozmowa toczyła się z Ławrientijem Berią i jego zastępcą Wsiewołodem Mierkułowem. „Ależ naturalnie – odpowiedzieli. – Polacy wszystkich poglądów politycznych będą mieli prawo wstąpić do tej armii”. „A więc doskonale – odrzekł Berling. – Mamy świetne kadry dla armii w obozach Starobielska i Kozielska”. Wówczas

Mierkułowowi wyrwało się: „Nie, ci to nie. Zrobiliśmy z nimi wielką pomyłkę”. (*My sdietałi s nimi bolszuj oszybku*).

Berling mógł łatwo się domyślić, co oznaczała ta „wielka pomyłka”. I że jeśli nie będzie jak najgorliwiej eksploatował poparcia dla Stalina we wspólnej walce z Niemcami, on także stanie się „pomyłką”.

Berling, który mimo usilnych starań pozostał we wrześniu 1939 r. bez przydziału, nie był żołnierzem pokroju Michała Roli-Żymierskiego, późniejszego marszałka, który – posadzony o malwersację – został przed II wojną światową wydalony z wojska (w Moskwie określano go mianem złodzieja). Był również przeciwieństwem gen. Karola Świerczewskiego, który rozkazami wydawanymi w stanie upojenia alkoholowego spowodował ogromne straty w 2. Armii WP w bitwie pod Budziszynem w 1945 r.

Berling nie mógł się dogadać z Andersem ani jego oficerami. Obaj serdecznie się nienawidzili. Nazywał Andersa warchotem i przestępcą,

a ten rewanżował się epitetami zdradcy i dezertera (Berling odmówił ewakuacji z wojskiem Andersa do Iranu i pozostał w ZSRR). Co prawda, Berling został przez Andersa – wówczas dowódcę Polskich Sił Zbrojnych w Rosji – mianowany szefem sztabu 5. Dywizji Piechoty w stopniu podpułkownika, a następnie szefem bazy ewakuacyjno-zaopatrzeniowej w Krasnowodsku, ale obaj mieli inną wizję wykorzystania polskiego potencjału wojskowego stworzonego na Wschodzie.

Ks. Zdzisław Peszkowski: Czułem, że Berling jest częścią jakiegoś polskiego etosu rozdarcia.

Potencjał ten stanowili głównie ludzie, którzy chcieli wyrwać się z łagrow. Byłe gdzie, nawet na front. Anders po układzie Sikorski-Majski zamierzał wyprowadzić siły polskie z Rosji i wesprzeć aliantów. Berling natomiast tworzył dywizję piechoty i inne związki wojskowe, które miały walczyć razem z Armią Czerwoną. Droga jego żołnierzy do WP wiodła przez łagry,

więzienia. „Kierowało nami jedynie pragnienie wydostania się z tego przeklętego kraju. Wszystko jedno czy żywym, czy umarłym”, wspominała Irena Born, żołnierka 1. Armii pod dowództwem gen. Berlinga.

Jak gen. Berlinga wspominali inni jego byli podkomendni? Kazimierz Wyłomański, oficer 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, dowódca ochrony generała w latach 1943-1944: „W styczniu 1941 r. karę śmierci zamieniono mi na 10 lat obozu pra-

cy i wywieziono do łagru Uchta w Republice Komi. Co tam przeszedłem, tego nie potrafi wyobrazić sobie nikt, kto tego nie zaznał. Nie udało mi się dostać do Andersa. (...) Do Berlinga dotarłem. Po dwóch miesiącach sprawowania funkcji szefa kompanii zostałem przeniesiony do plutonu ochrony sztabu. (...) Już w Sielcach nad Oką wielu z nas zdawało sobie sprawę, że między Generałem a ludźmi nasyłanymi do Dywizji przez Alfreda Lampego i Wandę Wasilewską toczy się zażarta walka. Oni wszelkimi siłami starali się mu zaszkodzić, intrygowali, puszczali różne prowokacyjne plotki, starali się podważyć wszelkimi sposobami Jego autorytet. A On robił swoje i tworzył Polskie Wojsko”.

Berling niepotrzebny?

Ze słów Kazimierza Wyłomańskiego i innych żołnierzy rysuje się wspomnienie Berlinga jako patrioty, prawdziwego polskiego oficera, a nie domniemanego agenta NKWD. W wojsku Berlinga żołnierze śpiewali przedwojenne piosenki wojskowe, odprawiane były msze. Generał zatwierdził nawet wyrok skazujący oficera żywnościowego, Rosjanina, na karę śmierci za kradzież żywności na wielką skalę. „Mówił nam o Polsce wolnej, suwerennej, sprawiedliwej. Na pytania, kto będzie w tej Polsce rządził, odpowiadał niezmiennie, że o tym zadecyduje naród w wolnych wyborach”, opisywał Wyłomański. ▶

Płk Zygmunt Berling w trakcie szkolenia żołnierzy 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Obóz wizytują działacze ZPP z Wandą Wasilewską.



- Czy generał w to wierzył naiwnie, czy może przemawiało przez niego zamaskowane wyrachowanie?

Sam Berling przyznawał, że „gdyby Anders nie wyprowadził armii z Rosji, toby na pewno wiele spraw się skomplikowało. Ale mielibyśmy dwie armie, a nie jeden korpus. W kraju stworzylibyśmy jeden front. To by była siła, której nie można by było lekceważyć. Podzieleni jesteśmy słabsi (...). Z Rosją musimy się porozumieć. Albo to nam się uda, albo będziemy 17. republiką”.

Wiele osób ceniło Berlinga za to, że wyrwał z łagrów Rosji radzieckiej wiele istnień ludzkich.

Tragizm Berlinga polega też na tym, że przegrał z komunistami, członkami Związku Patriotów Polskich – Alfredem Lampem, a przede wszystkim Wandą Wasilewską, pupilką Stalina. We wspomnieniach pisał o Wasilewskiej i jej towarzyszach: „Oto renegatka, kryminalistka, półgłówka i nieokrzesany nieuk i cham tworzą parawan, za którym elita wybranego narodu: Berman, Zambrowski, Minc i Szyr... Oni wiedzieli, jak przystąpić do dzieła. Nie zapomnieli dewizy Lampego, że masa to bydlę, które musi być prowadzone na dobrym łańcuchu”. Wasilewska nie była Berlingowi dłużna, miała o nim równie negatywne zdanie i starała się go odsunąć od nadzoru nad polską armią, widząc, że generał nie tworzy ideologicznie pewnego wojska. Stanowił zagrożenie, co spotęgowała jeszcze jego depesza do Stalina, nawołująca do odsunięcia Wasilewskiej i Bieruta od władzy.

Cytowany już wcześniej był szef ochrony generała twierdził, że ponad wszelką wątpliwość podjęto przynajmniej jedną próbę zamachu na Berlinga. „Czekaliśmy bardzo długo, a douglasa Generała nie było widać. W końcu Generał przyleciał, ale nie douglasem, a kukuruźnikiem – relacjonował Wyłomański. – Okazało się, że douglas Generała został zaatakowany i ostrzelany przez niezidentyfikowany samolot myśliwski. Douglas zapalił się i spłonął doszczętnie, a Generał i jego adiutant ppłk Władysław Szpac ledwie zdążyli wyskoczyć. Obecni na lotnisku Rosjanie twierdzili, że douglasa ostrzelał messerschmitt. Generał wyraźnie powątpiewał i wy-

dał kategoryczny zakaz informowania o incydencie kogokolwiek, mówiąc do nas: »musimy taką wersję przyjąć«. Wtedy wydawało mi się, że to nie był żaden messerschmitt, że to po prostu był zamach na Generała. Obecnie jestem pewny, że była to próba zgładzenia generała Berlinga”.

Może Berling był na tyle naiwny, by wierzyć, że skoro Stalin dał zgodę na polską dywizję, potem korpus, i wybrał go na dowódcę, wiedząc, kim był i do czego dąży, to godzi się na niepodległą Polskę. W założeniach

Berlinga Polska nie była wrogiem ZSRR, chociaż nie powinna też być 17. republiką. Tak myślał i wierzył, że wygranie wojny to wspólny interes obu krajów.

Polska dywizja przeszła krwawy chrzest bojowy pod Lenino. Czy odpowiada za to Berling? Polscy żołnierze, mimo że stanowili samodzielną siłę bojową, podlegali dowództwu radzieckiemu. To, że ostatecznie nie wykrwawiono ich, wysyłając dywizję po dywizji na front, jest zasługą Berlinga. Dla Stalina, Berii czy Mierkułowa 30% strat było „czymś normalnym”.

Kozioł ofiarny

Na temat gen. Berlinga funkcjonuje mit, że chciał na własną rękę pomóc powstańcom warszawskim, za co został ukarany i odsunięty od dowodzenia polskimi jednostkami. Czy to

Był szef ochrony generała twierdził, że podjęto przynajmniej jedną próbę zamachu na Berlinga.

prawda? Absolutnie nie. W Armii Czerwonej, jak w każdym innym wojsku, oczekiwano posłuszeństwa i wypełniania rozkazów. Berling na pewno chciał pomóc powstańcom, ale nie pozwoliłby sobie na taką samodzielną decyzję, gdyż groziłoby to nawet w wypadku sukcesu odebraniem dowództwa albo czymś jeszcze gorszym. O co więc chodziło? Chciano się pozbyć Berlinga i zrobiono z niego kozła ofiarnego, tak jak z gen. Sosabowskiego po fiasku operacji Market-Garden.

Udział podkomendnych Berlinga w desancie na lewy brzeg Wisły był

realizacją politycznych decyzji Stalina. To Konstanty Rokossowski jako dowódca frontu wyznaczył do takich zadań polskie jednostki i nakazał Berlingowi przygotowania „do forsowania rzeki Wisły w celu uchwycenia przyczółka na jej brzegu zachodnim w rejonie Warszawy”. Stalin najpewniej chciał propagandowo pokazać, że plotki o beczynności Armii Czerwonej, która zamiast pomóc powstańcom w Warszawie, tylko stoi i czeka na wykrwawienie się AK, to bzdura. Armia Czerwona przecież niesie wyzwolenie.

Cele tej warszawskiej operacji były ograniczone i Berling nie mógłby ich zrealizować. A nawet gdyby, i tak nie zmieniłoby to już losu Warszawy. Za tę operację nie zebrał pozytywnych ocen. Członek Rady Wojennej 1. Frontu Białoruskiego gen. Konstantin Tielegin donosił w obszernym raporcie na temat operacji, że udzielił Berlingowi upomnienia i to „nie pierwszy już przypadek karygodnego lekceważenia losu własnych żołnierzy, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji”.

Na długo przed sierpniem 1944 r. Stalinowi zaczęły przeszkadzać ambicje osobiste Berlinga, który widział siebie w roli przyszłego wodza Polski. Według Stalina swoje zadanie wypełnił w 1943 r. i był już niepotrzebny. To dlatego na czele wojska i resortu obrony PKWN postawiono Żymierskiego. Berling został zaledwie jego zastępcą.

Mało tego, Berling przeszkadzał również Bierutowi, więc pozbyto się go, wysyłając do Moskwy. Formalnie na studia, ale oznaczało to zepchnięcie w polityczny i decyzyjny niebyt.

Można powiedzieć, że miał szczęście, przeżył i w spokoju dożył starości. Być może zawdzięczał to swojej popularności – kto wie, jakie reakcje spowodowałaby „nagła i tragiczna” śmierć generała w okresie kształtowania się ustroju stalinowskiego w Polsce. Nie była to jednak Polska z jego wizji.

O tym wszystkim trzeba pamiętać i bronić Berlinga przed pomówieniami, wręcz kłamstwami. Przed eliminowaniem jego i jego żołnierzy z historii Polski.

Tomasz Wojciechowski

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Tak to się kończy, kiedy przez kilka lat nikt uważnie nie przeczyta grubej książki polityka uchodzącego za ważne, na dodatek mającego tytuły naukowe, i to – jak częste ostatnio – Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chodzi o Krzysztofa Szczerskiego, profesora nauk społecznych (z nadania prezydenta Andrzeja Dudy, którego to prezydenta jest szefem gabinetu, przymierzany zaś był kilkakrotnie do stanowiska ministra spraw zagranicznych), a właściwie o jego *opus magnum*, czyli dzieło o skromnie zarysowanej roli Polski w Europie i świecie: „Utopia europejska. Kryzys integracji i polska inicjatywa naprawy”, wydane w 2018 r. przez Białego Kruka. Obecnie wydawnictwo to decyzyjną ministra Jarosława Gowina wpisane jest na listę tych, które publikują „recenzowane monografie naukowe”.

Nikt wcześniej nie doczytał, jak ta Polska Europę zamierza ratować, błąd naprawił autor „Newsweeka” Artur Nowak i trafił na niezwykle widzę profesora ministra, w której ów ujrzął potrzebę wyrażoną słowami: „Dlatego chciałbym zaproponować podjęcie prac nad przygotowaniem swego rodzaju »Paszportu

„No, że recepta jest, to widzę, ale bez stempla parafii, dziwne. Najpierw modlitwy udokumentowane, a potem w ostateczności farmakologia, jak proboszcz dozwoli”.

„No i co z tego, że świadectwo maturalne z krzyżykiem biało-żółtym, papieskim, kiedy z religii nieklasyfikowany uczeń? Na studia bez wiary? Grzech puszczać!”.

„Kajaczek 10 zł za godzinę, ale chwila, moment! No nie mogę, nie mogę niestety, bez katolickiej karty pływackiej. A, jest, dobrze, to wszystko w porządku, kapoka nie daję, Bóg się i Maryja zaopiekują na wodzie”.

„Są krówki, ale tylko na katolicką kartę konsumenta, boć to stworzenia Boże”.

„Nie ubezpieczamy aut bez katolickiego dowodu rejestracyjnego, nie ma takiej możliwości, jak św. Krzysztof (nie, nie Szczerski, ten dawny olbrzym, blisko czterometrowy) nie pomoże na drodze, to co dopiero my z BZU (Bożego Zakładu Ubezpieczeniowego)! Proszę się ochrzcić, komunია, bierzmowanie, i przerejestrować auto. Dobrze, że choć na prąd to auto,

Katolickie odciski palców

katolickiego”. Miałby on służyć temu, „by Polacy emigrujący z Ojczyzny do zateizowanych krajów zachodnioeuropejskich nie ulegli tamtejszym lewicującym modom intelektualnym, ale pozostali wierni Bogu i Polsce”. Taki Polak za granicą, ale z paszportem katolickim, będzie niósł „ze sobą światło wiary dla siebie, dla swojej przyszłej rodziny i dla otaczających go ludzi”. I modlitwy miałyby być jeszcze w środku, i lista polskich (katolickich) „ośrodków i wspólnot katolickich oraz info o duszpasterstwach czy o polskich misjach działających w zachodniej Europie”.

Tak zaopatrzonego Polak mógłby całkiem uratować ten zlaicyzowany Zachód, który ostatnio płonął w postaci katedry Notre-Dame, gdyż raport fachowców o tym, że grozi jej pożar dokładnie w tym miejscu, gdzie wybuchł, zatajano, żeby nie podpalili jej terroryści, więc spłonęła czystym ogniem francuskim z francuskiego prądu po francuskim zwarcu.

Myślę jednak, że paszport to mało. Bo co z Polakami w kraju? Mają być zagubieni? Pozbawieni tego, czym obdarzeni zostaną ci, którym dana jest łaska wyjazdu z ojczyzny (chyba raczej próba wiary). To musi iść szerzej. Wyobrażam sobie te dialogi...

„Ooo, panie kierowco, ciężka nóżka dzisiaj, dokumenty poproszę, sierż. Krzyżykowski, Wydział Ruchu Drogowego Diecezji Warszawa-Praga. A co to? Prawo jazdy bezwyznaniowe? Do spowiedzi kierowca nie chodzi, pokut nie odprawia, to i potem grzeszy prędkością. Nieladnie, będzie mandat 200 zł i datek dobrowolny 300 na diecezję”.

„Ależ jaki meldunek? U jakiej żony? Zaświadczenie o ślubie sakramentalnym jest? Nie ma? No to i podstaw do zameldowania brak. W grzechu żyć nie będziecie!”.

bo dzięki Elektrowni Maryja jedzie się bezemisynje. Ale tylko katolickie dowody. Niech mi pan wierzy, jako i ja wierzę”.

„To rozumiem, wszystko katolickie: i paszport, i prawo jazdy, i ubezpieczenie, i waluta, a, bo to ksiądz, rozumiem. I potomstwo? Ach nie, dzieciaki siostry, rozumiem. I wszyscy by tak nie mogli? Zwyczajnie, po naszymu, po katolicku. Skąd ksiądz? A, z Prudnika! Ze świętego miasta naszych tradycji tradycyjnych i zakorzenionych w korzeniach. No to jeszcze dodatkowo zrozumiałe, po tych nagonkach sprzed lat, pamięta ksiądz, to tak niedawno było. Czego się czepiali? No wiem kto, wiem dobrze... Aleśmy się nie dali, to pieczęć daję i z Bogiem, w imię Boże, przebóg szczęśliwego powrotu STAMTĄD. Tu, do nas, bo tam wciąż jak nie u nas, dziwadła, zboczeńcy, heretyki, najgorsze to te ateisty, żadnych wido-ków na zbawienie”.

„Nie, nie ma zwiedzania bez dowodu osobistego katolickiego, toć to świątynia Boża, jaka architektura?! Świąte ściany, święte mury, święte obrazy. Było wierzyć, a tu w systemie mi pokazuje, że się apostazjować zachciało parę lat wcześniej, to i wara od naszej kultury! Bo wezwę patrol i będzie grzywna albo i coś więcej! Do Paryża se jedź oglądać”.

„Posiedzenie Senatu Katolickiego Uniwersytetu Warszawskiego otworzy modlitwą Jego Eminencja Arcybiskup Rektor. Witamy też profesorów Katolickiej Akademii Nauk Teologicznych, połączonych wydziałów teologii i jej służki filozofii... Amen”.

Wszystkie zmiany ustawowe, w myśl których wprowadzono nowe dokumenty i reguły (katolickie), noszą wspólne miano Aktów Szczerskiego.

Trzy kadencje w europarlamencie

Byłem i jestem za zrównoważonym rozwojem, za nowoczesnym przemysłem i za stopniowym przechodzeniem gospodarki energetycznej na OZE

Adam Gierek

Dlaczego Unia?

Nie wdając się w omawianie skomplikowanego stanu politycznego Europy po I wojnie światowej, gdzie na niewielkiej przestrzeni istniało kilkadziesiąt państw o zróżnicowanym poziomie rozwoju, rządzonych autorytarnie, oraz kilka dominujących mocarstw, należy stwierdzić, że stanowiło to doskonały grunt dla rozwoju nacjonalizmów. I konfliktogenny potencjał wybuchowy, który mógł w każdej chwili, pod byle jakim pozorem, eksplodować agresją. Tak też się stało. Oczywiście w podtekście większości tych sporów były kwestie bytowe. Jedne państwa dysponowały wtedy surowcami, drugie – techniką, jeszcze inne – nadmiarem ludzi. Nie będę szczegółowo interpretować historycznych przyczyn wybuchu II wojny światowej. Faktem jest, że po jej zakończeniu przywódca Francji, chcąc uniknąć powtórki z historii, zaczęli wciągać Niemcy we wspólną strefę gospodarczą, która później rozrosła się o nowe kraje, tworząc Unię Europejską. 1 maja 2004 r. Polska stała się kolejnym członkiem Unii, licząc obecnie – po akcesji Bułgarii, Rumunii i Chorwacji i wciąż jeszcze z Wielką Brytanią – 28 państw. Razem tworzą one jednolity rynek europejski chroniony wspólnymi granicami celnymi przed krajami trzecimi. Rynek ten cechują cztery swobody: przepływu osób, przepływu towarów, świadczenia usług oraz przepływu kapitału, a także niejako piąta – przepływu szeroko rozumianej informacji. Taki stan rzeczy uruchamia wielkie rezerwy dla wspólnego, dynamicznego rozwoju tych obszarów. Akcesja danego państwa do Unii musi się wiązać z rezygnacją tego kraju z części jego suwerenności na rzecz Wspólnoty. Pozwala to w drodze demokratycznych ustaleń uzyskać we-

wewnętrzny (unijny) konsensus w wielu kwestiach będących wcześniej, a nawet po akcesji, w wyłącznej kompetencji państw wchodzących w skład Wspólnoty.

Harmonijne funkcjonowanie wspólnego rynku wymaga spójnych norm oraz zsynchronizowanego prawa unijnego. Dotyczy to nie tylko prawa gospodarczego, ale i wielu jego gałęzi, np. prawa pracy czy prawa karnego, bo przecież ludzie na rynku pracy mogą swobodnie się przemieszczać.

Proces opracowywania jednolitych norm prawnych dotyczących funkcjonowania wspólnego rynku zwiększa integrację europejską, która powoli prowadzi również do realnej integracji społecznej. Zachodzi ona

Moja działalność na forum Parlamentu Europejskiego rozpoczęła się w 2004 r.

jednak niezwykle wolno. Mamy przecież do czynienia z państwami członkowskimi różniącymi się poziomem rozwoju społecznego. A rozwiązywanie podstawowych problemów społecznych pozostawione zostało państwom członkowskim. Fundusze spójności mają na celu załagodzenie tych różnic, ale to wymaga czasu. Procesy integracyjne głównie z tego powodu mogą więc być opóźniane lub nawet okresowo wyhamowywane. Pozostają one jednak podstawowym sposobem dalszego, zrównoważonego i pokojowego rozwoju Europy.

Praca w komisjach Parlamentu Europejskiego

Moja działalność na forum Parlamentu Europejskiego rozpoczęła się w 2004 r. Ze względu na przygotowanie zawodowe (jestem profesorem nauk technicznych) przez całe trzy kadencje byłem pełnym członkiem parlamentarnej Komisji ds. Przemysłu, Badań Naukowych i Energii

(ITRE) oraz zastępcą członka Komisji ds. Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności (ENVI).

Prawo unijne (regulacje w formie dyrektyw, decyzji i rozporządzeń) przygotowywane jest najpierw w formie wniosków przez Komisję Europejską, następnie wnioski te są przysyłane do kompetentnych komisji europarlamentu. Tam wyznaczani są posłowie sprawozdawcy i ich zastępcy (tzw. kontrsprawozdawcy lub inaczej sprawozdawcy cienie) w poszczególnych grupach politycznych. Sprawozdawcy przygotowują własne projekty raportów, a kontrsprawozdawcy po ich przedstawieniu opracowują swoje projekty opinii do projektów raportów. Posłowie zasiadający w poszczególnych komisjach, a także posłowie zastępcy, mogą złożyć do nich swoje poprawki. Te z kolei, po przetłumaczeniu na 24 oficjalne języki, są przyjmowane (lub odrzucane) w głosowaniach na posiedzeniach merytorycznych komisji.

W pierwszej mojej kadencji w europarlamencie (szósta kadencja PE, lata 2004-2009) walczyłem się do odrzucenia w II czytaniu rezolucji legislacyjnej PE w sprawie wspólnego stanowiska Rady mającego na celu przyjęcie dyrektywy PE i Rady dotyczącej zdolności patentowej wynalazków dokonywanych za pomocą komputera. Jej przyjęcie oznaczałoby, że prawa autorskie, tj. opracowywanie programów komputerowych, a nawet wzorów matematycznych oraz algorytmów, zyskałyby status prawa patentowego w sensie gospodarczym. Rezolucja ta na wniosek posła Michela Rocardia (byłego premiera Francji) została zgodnie z moim stanowiskiem odrzucona. W swojej działalności w tym okresie koncentrowałem się głównie na problematyce badawczej oraz kształtowaniu 6. (2004-2007) i 7. (2007-2013) Programu Ramowego, do których



złożyłem stosowne poprawki, mające na celu zwiększenie udziału w tych programach naszych naukowców. Przeprowadziłem analizę¹ przyczyn zbyt niskiej efektywności naszych uczonych w pozyskiwaniu środków w tych Programach Ramowych. Byłem także sprawozdawcą unijnego Funduszu Badawczego Węgla i Stali² oraz raportu w sprawie strategii innowacyjnej dla UE³.

W siódmej kadencji PE (2009-2014) w ramach tejże komisji ITRE pracowałem w obszarze własności intelektualnej (patent europejski⁴ i normalizacja europejska⁵). Byłem kontrsprawozdawcą dwóch opinii komisji ITRE dla Komisji Prawnej (JURI) w sprawie utworzenia systemu jednolitej ochrony patentowej oraz w sprawie rozstrzygnięcia sporów patentowych. Prace nad tymi projektami odbywały się w czasie polskiej prezydencji, a przyjęte w grudniu 2012 r. prawo uznane zostało za jej sukces. Pragnę jednak wyjaśnić, na czym polegał ten „polski sukces”. Otóż międzynarodową umo-

wę o jednolitym systemie ochrony patentowej oraz o Jednolitym Sądzie Patentowym podpisały 24 państwa członkowskie UE. Polska wraz z Hiszpanią i Bułgarią ostatecznie nie zgodziły się na podpisanie tej umowy. Liczne bowiem wady systemu jednolitej ochrony patentowej wywołały głęboki niepokój nie tylko polskich eurodeputowanych i polityków w kraju, lecz także naszych przedsiębiorców, rzeczników patentowych i dziennikarzy. Merytoryczne argumenty wskazywane w licznych publikacjach, interpelacjach i wystąpieniach zostały w porę dostrzeżone i wysłuchane przez polski rząd i przyczyniły się do podjęcia optymalnej dla Polski decyzji w tej sprawie.

W trakcie tej samej kadencji PE byłem także współautorem rozporządzenia w sprawie wspomnianej już normalizacji europejskiej.

Europejskie ambicje klimatyczne

Podczas mojego pierwszego mandatu w PE prowadzone były intensywne dyskusje o zachodzących w świecie zmianach klimatu. Powstała nawet Podkomisja ds. Zmian Klimatu, do której przystąpiłem, gdyż zrozumiałem, że przyszłe reformy prawa mogą mieć istotny wpływ na funkcjonowanie naszej gospodarki bazującej na węglu. A przecież Polska w 2007 r. podpisała cel polityczny w tej sprawie, tj. 3 x 20.

Przez trzy kadencje działałem w Komisji ds. Przemysłu, Badań Naukowych i Energii oraz w Komisji ds. Ochrony Środowiska Naturalnego, Zdrowia Publicznego i Bezpieczeństwa Żywności.

Oznaczało to, że będą przygotowywane nowe przepisy pozwalające osiągnąć te trzy cele, tj. ograniczenie do 2020 r. emisji dwutlenku węgla o 20%, zwiększenie udziału OZE (odnawialnych źródeł energii) do 20% i – co szczególnie zwracało moją uwagę jako inżyniera – zwiększenie efektywności energetycznej w UE o 20%, co stało się później elementem mojego merytorycznego sporu z KE.

W kolejnej kadencji w ramach tej samej komisji ITRE nastąpiło, jak przewidywałem, przyspieszenie prac nad regulacjami dotyczącymi wdrożenia wspomnianego celu po-

litycznego. Przyspieszenie to było wynikiem nacisków politycznych ze strony m.in. kanclerz Niemiec Angeli Merkel⁶. Jeszcze w grudniu 2007 r. odbyła się XIII Konferencja Narodów Zjednoczonych ws. zmian klimatu (COP 13) na Bali, po której KE przystąpiła do intensywnego wprowadzania narzędzi prawnych służących realizacji wymienionego celu 3 x 20. Opracowany został Pakiet Klimatyczno-Energetyczny składający się z sześciu regulacji prawnych. Były to: dyrektywa EU ETS⁷, dyrektywa non-ETS⁸, dyrektywa CCS⁹ i dyrektywa OZE¹⁰ oraz rozporządzenie PE i Rady określające normy emisji dla nowych samochodów osobowych¹¹, a także dyrektywa w sprawie jakości ekologicznej paliw samochodowych¹². W grudniu 2008 r. rząd premiera Tuska podpisał ustalenia wspomnianego pakietu, nad którym rozpoczęły się dalsze, uściślające prace legislacyjne. Wyraziłem wówczas opinię, że rząd RP powinien być albo zawetować ten pakiet, albo go osłabić stosownymi derogacjami.

W trzeciej mojej kadencji (2014-2019) skoncentrowałem się wyłącznie na problemach energetyki. Byłem sprawozdawcą rezolucji z inicjatywy własnej PE w sprawie strategii UE w zakresie ogrzewania i chłodzenia¹³. Uzyskała ona bardzo duże poparcie w głosowaniu plenarnym (550 za przy 66 głosach przeciw i 87 wstrzymujących się).

Byłem także autorem projektu zmiany dyrektywy w sprawie efektywności energetycznej¹⁴, nad którym pracowałem ponad rok i który stanowił element mojego merytorycznego sporu z Komisją Europejską oraz z moją grupą polityczną S&D. Przez moment zastanawiałem się nawet nad opuszczeniem z tego powodu tej frakcji. Sprawy te podnosiłem już wcześniej na łamach PRZEGLĄDU¹⁵, ale pozwolę sobie przypomnieć, w czym rzecz. Otóż KE w swym wniosku dotyczącym tej sprawy błędnie przyjęła, że w latach 2020-2030 nastąpi stopniowe coroczne ograniczanie użytkowa-

nia końcowej energii o określony procent (1,5%/rok) w państwach członkowskich, a suma tych kwot procentowych złoży się na dodatkowe 10% efektywności energetycznej. Nastąpiło pomylenie (utożsamienie)

dy, gdy zapowiadane, ale niepodjęte problemy reindustrializacji Unii staną się celem politycznym państw członkowskich. Na zakończenie tego wątku pragnę dodać, że spotkałem się później z zastępcą przewodniczącego

działalność komisji parlamentarnych, do których należałem od początku, od 2004 r. UE kształtowała swą politykę pod wpływem takich przywódców państw członkowskich jak Angela Merkel czy Emmanuel Macron.

Przeprowadziłem analizę przyczyn zbyt niskiej efektywności naszych uczonych w pozyskiwaniu środków w Programach Ramowych Unii.

oszczędności z efektywnością. Jest to błąd merytoryczny, który wynika z braku właściwej wiedzy technicznej tych, którzy przygotowywali wniosek KE, a więc z braku lepszego zrozumienia definicji efektywności energetycznej, którą zacytuję, opierając się na Dyrektywie Parlamentu Europejskiego i Rady nr 2006/32/WE: „Efektywność energetyczna to stosunek uzyskanych wyników, usług, towarów lub energii do wkładu energii; zależność między energią uzyskaną a doprowadzoną”.

KE chciała więc, by w stosunku do roku odniesienia, tj. do roku 2005, oszczędności w zużyciu energii pierwotnej wyniosły łącznie 30%. Nazwano je błędnie wzrostem efektywności energetycznej o 30%. PE niestety przegłosował błędne regulacje w tej sprawie włączone do pakietu „Czysta energia dla wszystkich Europejczyków”. Postawie nie muszą znać się na technice i często głosują pod wpływem lobbystów, a w tym przypadku tych, którzy uznali, że sprawozdawca, czyli ja, jako przedstawiciel kraju o gospodarce opartej na węglu jest niewiarygodny w sprawach energetycznych. Myślę, że moja praca nie pójdzie na marne, a propozycje, które zostały zapisane w dokumentach, prędzej czy później wrócą na forum PE, chociażby wte-

KE ds. Unii Energetycznej, by mu wyjaśnić błąd merytoryczny popełniony przez KE, i Maroš Šefčovič zgodził się z mną.

Parlament Europejski wobec wyzwań globalnych

Za najważniejsze wyzwanie globalne KE uznała walkę ze zmianami klimatycznymi oraz kwestię ochrony środowiska. Polityka klimatyczno-energetyczna zdominowała więc

Politykę klimatyczną można łączyć z wieloma dziedzinami, np. z rolnictwem i leśnictwem, ale skojarzono ją dość jednostronnie z energety-

ką, która według IPCC¹⁶ posadzana jest o największe emisje dwutlenku węgla do atmosfery. O tym, jak delikatna i drażliwa jest to polityka, przekonał się jeden z jej apologetów – prezydent Francji, gdyż to z jej powodu (wzrost cen paliw) ma teraz u siebie niespotykaną eskalację demonstracji żółtych kamizelek.

Również kanclerz Merkel, była minister ds. ekologii w Niemczech, nieco obniżyła cele emisyjne dla Niemiec po wprowadzeniu przez sie-



¹ „Europejska Przestrzeń Badawcza – realny udział Polski” podczas 101. sesji Zgromadzenia Ogólnego Oddziału PAN w Katowicach, 19 kwietnia 2013 r.

² Sprawozdanie w sprawie wniosku dotyczącego decyzji Parlamentu Europejskiego i Rady w sprawie wieloletnich wytycznych technicznych dotyczących programu badawczego Funduszu Badawczego Węgla i Stali (COM(2007)0393 – C6-0248/2007 – 2007/0135(CNS)).

³ Sprawozdanie w sprawie wykorzystania wiedzy w praktyce: szeroko zakrojona strategia innowacyjna dla UE (2006/2274(INI)) – A6-0159/2007.

⁴ Projekt zalecenia w sprawie wniosku dotyczącego decyzji Rady upoważniającej do podjęcia wzmocnionej współpracy w dziedzinie tworzenia jednolitego systemu ochrony patentowej (COM(2010)0790 – C7-xxxxx – 2010/0384(NLE)) oraz rezolucja w sprawie sądowiczego systemu rozstrzygania sporów patentowych (2011/2176(INI)).

⁵ Opinia Komisji Przemysłu, Badań Naukowych i Energii dla Komisji Rynku Wewnętrznego i Ochrony Konsumentów w sprawie wniosku dotyczącego rozporządzenia Par-

lamentu Europejskiego i Rady w sprawie normalizacji europejskiej oraz zmiany dyrektyw Rady 89/686/EWG i 93/15/EWG oraz dyrektyw 94/9/WE, 94/25/WE, 95/16/WE, 97/23/WE, 98/34/WE, 2004/22/WE, 2007/23/WE, 2009/105/WE i 2009/23/WE Parlamentu Europejskiego i Rady (COM(2011)0315 – C7-0150/2011 – 2011/0150(COD)).

⁶ Wystąpienie podczas obejmowania prezydencji przez Niemcy, Strasburg, 15-18 stycznia 2007 r.

⁷ Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady 2009/29/WE z 23 kwietnia 2009 r. zmieniająca dyrektywę 2003/87/WE w celu usprawnienia i rozszerzenia wspólnotowego systemu handlu uprawnieniami do emisji gazów cieplarnianych.

⁸ Decyzja Parlamentu Europejskiego i Rady Nr 2009/406/WE z 23 kwietnia 2009 r. w sprawie wysiłków podjętych przez państwa członkowskie, zmierzających do zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych w celu realizacji do roku 2020 zobowiązań Wspólnoty dotyczących redukcji emisji gazów cieplarnianych.

bie polityki Energiewende – polityki odejścia od energii jądrowej po awarii w Fukushima.

Polska także stopniowo powinna odchodzić w energetyce od węgla, ale podkreślam – stopniowo; nie od razu, pod dyktando zagorzałych obrońców klimatu. Do tego potrzebny jest „prześciowy pomost”, który proponowałem w dyrektywie efektywnościowej, czyli lepsze wykorzystanie nośników nieodnawialnej energii. A w tym możliwości Polski są przecież ogromne, szczególnie w obszarze kogeneracji, tj. równoczesnej produkcji energii ciepłej i elektrycznej. Przecież chodzi zarówno o ekologię, jak i o bezpieczeństwo energetyczne naszego kraju. O tym, jak ważne jest bezpieczeństwo energetyczne, ale i efektywność energetyczna, świadczy determinacja Niemców w walce o rurociąg Nord Stream 2.

Sądzę, że o ile dotychczasowe prace komisji ITRE zdominowały wymienione cele polityczne, o tyle w nadchodzącej kadencji komisja ta zajmie się w większym stopniu kwestiami z zakresu reindustrializacji. Wszystko jednak zależeć będzie od sposobu kształtowania polityki unijnej przez KE, od tego, czy będzie ona uwzględniała interesy wszystkich, bardziej federalistycznie, czy też bardziej centralistycznie, z naciskiem na interesy najsilniejszych państw członkowskich UE.

Dotychczasowa polityka klimatyczna KE, choć podjęta w szczytnym celu, jest prowadzona chaotycznie. Steruje się nią centralistycznie, tak by nie zaszkodzić najsilniejszym gospodarkom. KE w porozumieniu z władzami PE przekazywała kluczowe wnioski dotyczące np. pakietu



cieplarnianych. Na kryzys ten nałożą się również inne, jeszcze większe – moim zdaniem – kryzysy: demograficzny, żywnościowy (patrz: prognozy Malthusa jeszcze z XVIII w.), finansowy oraz ekologiczny (zaśmiecanie świata). Maksim tych oddziaływań nałożą się na siebie mniej więcej w drugiej połowie obecnego wieku. Jak wtedy zareaguje świat? Czy kres tym kryzysom położy jakaś światowa rewolucja? Wątpię... Czy nam w Polsce potrzebna jest np. rewolucja energetyczna? Nie sądzę... Świat materialny źle znosi wszelkie rewolucyjne destrukcje. Dlatego niech to będzie zatem jedynie rewolucja w głowach decydentów, która zmusi ich do stosownych działań. Powinniśmy bowiem ewolucyjnie kształtować nowy typ konsumpcji – konsumpcji oszczędnej dla środowiska.

I na zakończenie: byłem i jestem za zrównoważonym rozwojem, za nowoczesnym, o wysokiej

W trzeciej kadencji skoncentrowałem się na problemach energetyki. Byłem sprawozdawcą rezolucji PE w sprawie strategii UE w zakresie ogrzewania i chłodzenia.

klimatyczno-energetycznego do komisji ENVI (czy celowo?), a nie do właściwej komisji ITRE, która przygotowywała jedynie opinie, mimo że ostateczne decyzje musiał podejmować przemysł. Prowadziło to wielokrotnie do konfliktu kompetencyjnego pomiędzy tymi komisjami i do konfliktu interesów.

Niewątpliwie kryzys klimatyczny stanowi poważne wyzwanie globalne, i to nie tylko dla Europy, która emituje zaledwie ok. 8% gazów

efektywności energetycznej, prześlę, za stopniowym przechodem gospodarki energetycznej na OZE, co spowoduje dalszy wzrost efektywności energetycznej, za cyfryzacją itp., itd. I w takim duchu, w co nie wątpię, będzie dalej się rozwijać Unia Europejska, w tym oczywiście Polska.

Adam Gierek jest profesorem nauk technicznych, posłem Unii Pracy do Parlamentu Europejskiego, należy do Grupy S&D

⁹ Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady 2009/31/WE z 23 kwietnia 2009 r. w sprawie geologicznego składowania dwutlenku węgla oraz zmieniająca dyrektywę Rady 85/337/EWG, Euratom, dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2000/60/WE, 2001/80/WE, 2004/35/WE, 2006/12/WE, 2008/1/WE i rozporządzenie (WE) nr 1013/2006.

¹⁰ Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady 2009/28/WE z 21 kwietnia 2009 r. w sprawie promowania stosowania energii ze źródeł odnawialnych zmieniająca i w następstwie uchylająca dyrektywę 2001/77/WE oraz 2003/30/WE.

¹¹ Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady Nr 443/2009/WE z 23 kwietnia 2009 r. określające normy emisji dla nowych samochodów osobowych w ramach zintegrowanego podejścia Wspólnoty na rzecz zmniejszenia emisji dwutlenku węgla z lekkich pojazdów dostawczych.

¹² Dyrektywa Parlamentu Europejskiego i Rady 2009/30/WE z 23 kwietnia 2009 r. zmieniająca dyrektywę 98/70/WE odnoszącą się do specyfikacji benzyny i olejów napędowych oraz wprowadzającą mechanizm monitorowania i ograniczania emisji

gazów cieplarnianych oraz zmieniająca dyrektywę Rady 1999/32/WE odnoszącą się do specyfikacji paliw wykorzystywanych przez statki żegluga śródlądowej i uchylająca dyrektywę 93/12/EWG.

¹³ Sprawozdanie w sprawie strategii UE w zakresie ogrzewania i chłodzenia (2016/2058(INI)).

¹⁴ Projekt sprawozdania w sprawie wniosku dotyczącego dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady zmieniającej dyrektywę 2012/27/UE w sprawie efektywności energetycznej (COM(2016)0761 – C8-0498/2016 – 2016/0376(COD)).

¹⁵ PRZEGŁĄD nr 8/2018 19-25.02.2018 „Antywęglowa fobia Unii” oraz nr 3/2018 15-21.01.2018 „Meandry unijnej polityki energetycznej”.

¹⁶ Międzyrządowy Zespół ds. Zmian Klimatu z siedzibą w Genewie – naukowe i międzyrządowe ciało doradcze utworzone w 1988 r. na wniosek członków ONZ przez Światową Organizację Meteorologiczną (WMO) oraz Program Środowiskowy ONZ (UNEP). Celem IPCC jest dostarczenie obiektywnej, naukowej informacji na temat zmiany klimatu.


JAN TOMASZ ADAMUS

– dyrygent, klawesynista, organista,
dyrektor Capelli Cracoviensis

Barok w barze

Jesteśmy otoczeni wykształconymi ludźmi, którzy cierpią na brak jakiejkolwiek orientacji w sztuce

Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Co jakiś czas projekty Capelli Cracoviensis, wydawałoby się tradycyjnego zespołu, zaskakują nas.

Teraz zagrać wszystkie symfonie Haydna, a ponieważ jest ich ponad setka, projekt ma trwać aż do 2023 r. Kto potrafi przewidzieć, co będzie za kilka lat?

– Staramy się realizować przedsięwzięcia znaczące i myśleć perspektywnie. Komplet symfonii Haydna to przygoda, kręgosłup repertuarowy na kilka lat, swego rodzaju wyzwanie wiary w siłę i wartość artystycznego dziedzictwa Europy.

Będzie nagranie kompletu symfonii?

– Nagrywamy wszystkie koncerty i jest spora szansa na komplet winyli.

Czy to aby nie jest sprytny sposób na decyzje władz, które niekiedy przerywają żywot dyrekcji w środku kadencji?

– Kwestia kadencji dyrekcji jest bez znaczenia. Istotne projekty zwykle są kontynuowane przez następców.

Nie myślimy ani krótkoterminowo, ani w stylu „po nas choćby potop”. Wszyscy w skali kraju musimy się nauczyć planowania z dużym wyprzedzeniem, bo inaczej nie można funkcjonować na międzynarodowej scenie muzyki klasycznej. Konieczne jest stworzenie długofalowych systemów finansowania kultury preferujących przedsięwzięcia znaczące i trwałe. Finansowanie kultury nie ma poparcia społecznego, ponieważ efekty tego finansowania są w naszym kraju niezwykle rozdrobnione i nietrwałe, a przez to trudne do zauważenia przez szerokiego odbiorcę. **Zagrać wszystko – to chwytliwe hasło. Wcześniejszy projekt obejmował wszystkie symfonie Beethovena. Jak pan ocenia efekty projektu? Czy każdy kulturalny człowiek powinien te symfonie znać?**

– Nie powinniśmy mieć wątpliwości co do tego, czy należy znać symfonie Beethovena, twórczość Egon Schielego, Marcela Prousta, Rainera Marii Rilkego itp. Nie godzę się na akceptację barbarzyństwa,

na brak wrażliwości, na powierzchowność. Sztuka jest rzeczywistą treścią życia. Bez rozumienia pojęcia abstrakcji, bez dobrego smaku i poczucia humoru trudno żyć. Edukacja bez wrażliwości jest zaledwie rodzajem pedanterii.

Jeszcze na długo przed Rokiem Moniuszkowskim zagraliście „Halke” na instrumentach historycznych. Dlaczego o niedawnym wykonaniu pod dyrekcją Fabia Biondiego tyle się mówi, a o Capelli Cracoviensis zapominamy?

– Z jednej strony, zależy gdzie ucho przyłożyć, z drugiej, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju, a jest coś takiego jak zrównoważony rozwój – to miło, że Fabio Biondi zagrał „Halke”, ale właściwa kolejność jest inna. W momencie gdy granie w Polsce „Halki” na instrumentach historycznych staje się bez problemu osiągalne, przychodzi czas na urozmaicenie, spojrzenie na to dzieło z innej perspektywy. Poza tym koncerty znaczących artystów w Polsce powinny mieć miejsce, żeby nasza scena koncertowa nie była odcięta od świata. Takie zdarzenia są też w oczywisty sposób mobilizujące.

Teraz proponujecie jeszcze projekty edukacyjne. Czy dokonają przełomu w naszym mało umuzyczonym społeczeństwie? Czy na coś takiego łatwiej zdobyć środki?

– Edukacja rozumiana także jako ogólne oddziaływanie to codzienny obowiązek każdego z nas. Wszyscy powinniśmy walczyć z ignorancją, ksenofobią, stereotypami, brakiem wrażliwości i postaw obywatelskich. Trudno mówić o przełomie, ponieważ to raczej pole mrówczej, codziennej pracy na rzecz otwierania umysłów. Otwarte umysły są podatne na inspirację, która rodzi innowację, a ta owocuje dobrobytem.

Powiedział pan w jednym z wywiadów, że konserwatyzm to lekkie upośledzenie umysłowe. Proszę o przykłady.

– Można tak powiedzieć przy założeniu, że rozwój i postęp to oczywiste pragnienie każdego człowieka. Niestety, bywa inaczej. Dlatego wycofuję się z tego stwierdzenia, dodając, że bardzo wielu konserwatystów to osoby wybitnie inteligentne, ale często skrajnie cyniczne.

Co pana zainteresowało, a może zachwyciło w pianistcie Marcinie Maseckim, który m.in. grał na peronie PKP w Świdnicy, a teraz dyryguje symfonią Haydna?

– To nadzwyczajny artysta. Nie każdy to dostrzega, ponieważ Marcin nie jest odłan z brązu, nie ma siwej głowy ani innych atrybutów artysty ze świata muzyki klasycznej. Gra lekko, komunikatywnie, z prostotą, która jest największym kunsztem. Jego koncerty fortepianowe Mozarta z Capellą Cracoviensis biją na głowę wszystko, co dotychczas zrobiono w tej konkurencji.

Kto wpadł na pomysł, by robić festiwal Bacha w Świdnicy i wykorzystywać jako miejsca koncertów nie tylko słynne Kościoły Pokoju, ale np. stary młyn?

– Festiwal Bachowski w Świdnicy to mój pomysł. Pochodzę z Jedliny-Zdroju koło Wałbrzycha. Dolny Śląsk to mój krajobraz kulturowy. Znam tam każdy kamień i uważam, że potencjał tego regionu jest wykorzystywany w bardzo niewielkim stopniu.

Rzeczywiście uczeń Bacha był tutaj kantorem?

– W Świdnicy faktycznie kantorem-organistą był uczeń Bacha, Christian Gottlob Wecker – są na to dowody, m.in. w „Bach-Dokumente” można przeczytać listy Bacha do Weckera.

Czy o Bachu, który starał się o posadę u króla Sasa, można powiedzieć, że był kompozytorem polskim?

– Narodowość Bacha, ale i Chagalla, Michała Anioła itd. jest bez znaczenia. To najwyższej ciekawostka, a przynajmniej tak powinniśmy na tę kwestię patrzeć. Bach w pewnym momencie był jedynie poddanym tego samego władcy, którego mieli Polacy. Ale może na tym polega zjawisko łączności kulturowej? Warto przypominać Josepha Rotha: narodowa i językowa jednorodność może być szansą; narodowa i językowa różnorodność zawsze jest szansą.

Każdy zespół artystyczny jest lub powinien być konkurencją dla innego zespołu.

Festiwal Bachowski w Świdnicy od wielu lat nie ma żadnych problemów z publicznością. Głód sztuki poza największymi ośrodkami miejskimi jest bardzo silny.

A opera wystawiona w barze mlecznym to nobilitacja dla baru czy ujma dla Monteverdiego?

– To ekscytująca przygoda, niezapomniane przeżycie, dowód żywotności dzieła XVII-wiecznego mistrza. Monteverdi pisał muzykę niezwykle piękną, ale też w jakiś sposób nadzwyczaj naturalną – taką do nucenia, taką jak ludzki oddech. Można ją zabrać ze sobą wszędzie. Tak się złożyło, że dzięki wyjątkowej wyobraźni reżysera Cezarego Tomaszewskiego zabraliśmy ją do baru mlecznego, podobnie jak później pieśni Mendelssohna zabraliśmy do lasu („Naturzyści”). Zamierzamy wznowić oba spektakle, ponieważ publiczność bardzo o nie pyta.

Wspominał pan kiedyś, że orkiestra i chór Capella Cracoviensis są rodzajem konkurencji dla filharmonii.

– Każdy zespół artystyczny jest lub przynajmniej powinien być konkurencją dla innego zespołu – oczywiście tylko w pozytywnym sensie – ponieważ konkurencja stymuluje rozwój. Porównywanie CC i Filharmonii Krakowskiej jest o tyle trudne, że mamy różne priorytety. CC chce się rozwijać i oddziaływać na krajo-braz kulturowy, filharmonia preferuje raczej kierunek zachowawczy.

Jak udało się załagodzić tarcia w zespole, który chciał pańskiego odejścia i wypowiadał się nieciekawie o pańskich kompetencjach?

– Być może na pewnym etapie moje kompetencje zostały źle ocenione. Moje metody działania to sfera imponderabiliów, ale także cenny towar i temat na dłuższą rozmowę.

Czy w Capelli Cracoviensis są związki zawodowe? Był pan zdania, że wśród muzyków nie ma miejsca dla związkowców.

– W CC nie ma związków zawodowych. Ale nie ma też klasycznego gabinetu dyrektora, do którego wchodzi się przez sekretariat. A właściwie wcale nie ma gabinetu dyrektora. Jesteśmy zespołem artystycznym wspieranym przez sprawne biuro. Bardzo staramy się nie dopuścić do tego, by zaistniały u nas mechanizmy charakteryzujące tłum. Bronimy się przed rutyną, gramy niezwykle zróżnicowany repertuar, od polifonii renesansowej, przez operę, kameralistykę, po XIX-wieczną symfonię plus okazjonalne wycieczki do Gustawa Mahlera, Karola Szymanowskiego, Arvo Pärt. Nagrywamy płyty od efemerycznych krótkich serii własnych po wytwórnię Decca.

Opera Bałtycka, Teatr Wielki w Łodzi, Opera Wrocławska mają trudno, ale jakoś żyją ze związkami.

– Temat zmiany dyrektorów w instytucjach kultury robi się coraz trudniejszy, ponieważ powszechna edukacja w zakresie sztuki jest na poziomie zerowym. Jesteśmy otoczeni wykształconymi ludźmi, którzy cierpią na brak jakiegokolwiek orientacji w sztuce. Plagą stały się nominacje dyrektorów nierozumiejących materii, którą się zajmują. Cel sztuki jest inny niż cel fabryki mebli. Bankier powinien osiągać wyniki finansowe, artysta powinien osiągać wyniki arty- ▶

Jan Tomasz Adamus – specjalizuje się w wykonawstwie muzyki klasycznej od polifonii renesansowej po romantyczną symfonię oraz operę. Studiował w Krakowie i w Amsterdamie, był wieloletnim wykładowcą Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Od 2008 r. jest dyrektorem naczelnym i artystycznym Capelli Cracoviensis – chóru kameralnego i orkiestry grającej na instrumentach historycznych. Od 2000 r. jest dyrektorem artystycznym Festiwalu Bachowskiego w Świdnicy.

Mieczysław Wojtczak

Przeminęło... jednak pozostało Od zakazanych piosenek do moralnego niepokoju. Nasze kino w latach 1944-1970

Wydawnictwo Studio Emka,
Warszawa 2019

Mieczysław Wojtczak jest niespo-
żyty w dokumentowaniu powojen-
nego polskiego filmu.



Tym razem spod jego
pióra wyszły dwa tomy. Mnogość dat, opisów
sytuacji, rozmów, w tym
prywatnych, może spra-
wiać wrażenie przełado-
wania szczegółami. Ale
czy należy to traktować
jako zarzut? Bo na kim,
jak nie na Wojtczaku, cią-
ży obowiązek zapisania
i opisanie tego, co było
w czasach PRL? Ta publi-
kacja to znacznie więcej
niż chronologiczna, kro-
nikarska prezentacja do-
robku kinematografii do
epoki Gierka. To lektura
obowiązkowa nie tylko

dla kulturoznawców czy studentów
szkół filmowych, lecz także wszyst-
kich tych, którzy pamiętają, widzieli
wielkie dzieła, ale i gnioty zarejestro-
wane na taśmie filmowej. Oraz dla
tych, którzy chcą wiedzieć więcej.

Longin Pastusiak

Donald Trump Pierwszy taki prezydent Stanów Zjednoczonych Bellona, Warszawa 2019

Setną książką w dorobku może się
pochwalić prof. Longin Pastusiak. Tym
razem poświęcił się opisaniu chyba



najbardziej niekonwen-
cjonalnego prezydenta
USA – Donalda Trumpa.
Zachowaniem, postawą
życiową i podejmowanymi
decyzjami prezydent
budzi powszechne zain-
teresowanie, wywołuje
wiele rozbieżnych opi-
nii, nie tylko w Stanach

Zjednoczonych. Pastusiak pokazuje
złożoność osobowości Trumpa, jego
ekstrawagancję, snobizm i chęć bycia
znanym, a nie tylko bogatym. Oczy-
wiście są wątki polskie, choć ich nie-
wiele, co odzwierciedla rolę, jaką nasz
kraj odgrywa w działaniach Trumpa
i jego administracji.

► styczne. Jak mówi Owidiusz, „ocze-
kiwać złota od poetów to zbrodnia”.
**Jak zmienia się podejście do
muzyki dawnej i wykonawstwa
historycznego? W końcu nawet
muzykę XXI w. będzie się grać na
instrumentach historycznych, bo to
moda? Czy muzykom klasycznym
trudno się przestawić z instrumen-
tów „normalnych” na stare?**

– Instrument muzyczny to narzę-
dzie do wykonywania muzyki. Do
danej pracy dobrze jest używać od-
powiednich narzędzi. To zwyczajna
zdobycz kultury. Są artyści, którzy
rzucają współczesny instrument dla
historycznego, inni z powodzeniem
grają zarówno na współczesnym, jak
i na historycznym. Poza tym niektóre
instrumenty nie mają współ-
czesnych odpowiedników,
np. viola da gamba – wtedy
mamy do czynienia z wąską specjali-
zacją. Ale i tu bywają wyjątki, ponie-
waż na gambie gra wielu wioloncze-
listów. Również w tej sprawie bardzo
pomaga otwartość umysłu.

A może cała nadzieja w jazzie?

– Co do jazzu – trudno oczywiście
przepowiadać przyszłość, ale moim
zdaniem bardzo interesującym zjawis-
kiem jest proces zbliżenia pomiędzy
różnymi dziedzinami sztuki. Jazz za-
raża muzykę barokową improwiza-
cją. Muzyka barokowa w swoich cza-
sach była w warstwie improwizacji
znacznie bogatsza niż wykonywana

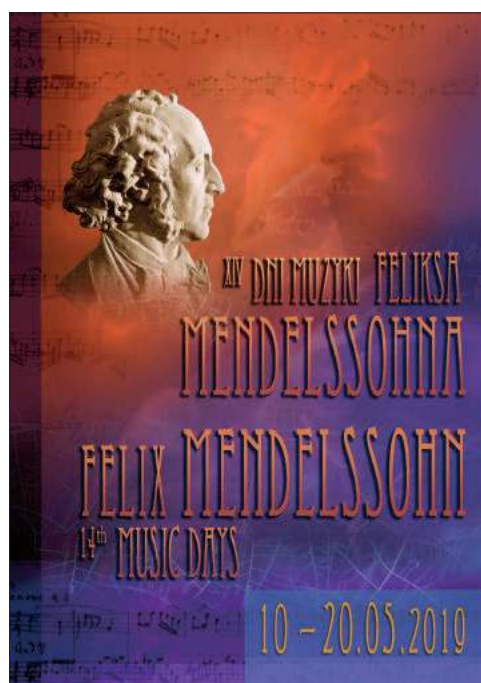
współcześnie. Transfery artystów po-
między dziedzinami sztuki dają świe-
żość spojrzenia. Natomiast brnięcie
w zbyt wąską specjalizację często
przyspiesza przeróżne wynaturzenia.
**Wspomniał pan, że m.in. bez humo-
ru trudno żyć. Czy na koncertach
częściej powinno się śmiać, niż
płakać?**

– Niestety, zalewają nas tandeta,
brzydota i prostactwo. Wulgarne even-
ty są jak pornografia – najpierw ekscy-
tacja, potem ruina emocjonalna. Jeśli
pyta pan o klasykę, też bywa różnie.
Filharmonie prawie nie grają klasyki.
Najczęściej tandetne gale operetko-
we, muzykę filmową i ewentualnie raz
w miesiącu jakiś klasyczny program
zamaskowany tytułem w rodzaju „kla-

Sztuka jest rzeczywistą treścią życia.

syka na wesoło”. Poza tym filharmonie
głównie wynajmują sale na konferen-
cje i eventy. W praktyce oznacza to tyle,
że tysiące artystów studiuje w akade-
miach muzycznych po to, żeby później
ich talent wpadł w ręce ludzi pozba-
wionych gustu. Zamiast grać muzykę,
której wszyscy pragną, są zmuszani
przez zagubionych dyrektorów do
frustrującego grania tandety. Ludzie
w mniejszych miastach nie mogą pójść
na normalny koncert. Wbrew pozorom
wszyscy wolimy to, co nas wzrusza, niż
to, co nas zadziwia.

Bronisław Tumitowicz



Tak, ale



Agnieszka Wolny-Hamkała

Co leży u podłoża konfliktu, który wprawił w konsternację świat teatralny po ostatniej premierze w Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu? Lęk przed zamknięciem wydziału lalkarskiego i od lat narastający spór pomiędzy wyznawcami tradycyjnego teatru lalkowego a rewolucjonistami, którzy wyprowadzają aktora zza parawanu, wprowadzają do spektaklu wideo i poszerzają rozumienie lalki, animując elementy scenografii i kostiumu.

Różnice między konserwatywnym a progresywnym podejściem do spektakli lalkowych widać właściwie już po plakatach. Część jest infantylna, przesadnie kolorowa, typografia przypomina plastelinę. Cała oprawa kojarzy się z „książeczkami” dla dzieci, które można kupić w supermarkecie. A plakat to przecież pierwszy znak, sygnał tego, czego możemy się spodziewać po inscenizacji, jaka estetyka liczy się dla reżysera, w jaki sposób dobiera on współpracowników. W obszarze książek dla dzieci tę rewolucję estetyczną przeprowadzili w latach 90. mali, ambitni wydawcy. W teatrze dramatycznym trwa pluralizm, ale tam nikt nie protestuje, oglądając spektakle abstrakcyjne, performatywne czy

Sprawa z wydziałem lalkarskim jest delikatna, bo dotyczy nie tylko wartości, ale po prostu życia wielu młodych artystów, którzy co roku zaczynają się kształcić w akademii, co roku też część studentów ją kończy i wchodzi na tzw. rynek, żeby walczyć o swoje na castingach, w konkursach, w teatrach instytucjonalnych (to marzenie spełnią nieliczni wybrani) i offowych. A te niezależne zazwyczaj próbują przetrwać, realizując projekty od grantu do grantu. Podczas castingów zdarza się absolwentom ukrywać informację o ukończonej szkole. W okienku dotyczącym wykształcenia zamiast AST piszą Akademia Teatralna.

I teraz rzecz może najsmutniejsza: niewielu aktorów od początku marzy o lalkach i właśnie w nich widzi szansę na rozwój, karierę i robienie sztuki na wysokim poziomie. Większość zwyczajnie nie dostała się na wydział aktorstwa dramatycznego. Owszem, część rozkochuje się w lalkach, rozumie i ceni specyfikę i niepowtarzalność tego teatru o ogromnym potencjale plastycznym, operującego skrótem, dającego dodatkowe możliwości. Jak wspomniały (i nowoczesny!) może być teatr dla dzieci, wie każdy, kto oglądał np. „Piekło-Niebo” Jakuba Krofty,

Sprawa lalek

– proszę wybaczyć – postdramatyczne. Zespoły przyzwyczyły publiczność do innego rodzaju odbioru. Niekonieczna jest historia, spektakl nie musi być „ładny” ani nawet zrozumiały. Może być innego rodzaju przeżyciem. Różne pomysły na teatr nie są jednak antagonistyczne. Malarstwo abstrakcyjne nie zdominowało figuratywnego, a instalacje plastyczne i wideo-art nie zniszczyły malarstwa. Dlatego lęk przed rewolucją w teatrze lalkowym wydaje się bezzasadny. Ale jest silny, co pokazała sprawa najnowszego spektaklu Martyny Majewskiej „Słaby rok”.

Majewska została zaproszona przez studentów AST do przygotowania dyplomu. Wyreżyserowała bardzo ciekawy spektakl o aspiracjach studentów AST, o ich marzeniach i lękach dotyczących przyszłości. Dowcipny, ostry, spójny estetycznie. Podczas inscenizacji jedna z aktorek, animując lalkę, czyta rodzaj manifestu: „To wszystko robi za mnie Matylda, która mnie prowadzi. I to jest właśnie tajemnica lalek. Dzięki niej mogę powiedzieć więcej, niż chcecie usłyszeć. Mogę powiedzieć to, co już dawno powinno paść z tej sceny. Lalki się zmieniają, lalki już nie są lalkami, które sobie wyobrażacie. Przekraczają wyobraźnię, już dawno nie mają kija w dupie. Są obiektami, są obrazem i ruchem, kompozycją. Są celnym skrótem, powoływaniem bytów. Jesteśmy nadmiarem; węzłem, który polyka własny ogon. Białymi demonami bez oczu i ust. Już nie chowamy się w czerni. Jesteśmy LOVE & HATE. Złamanymi marzeniami i wstydliwą fascynacją. Zapiędalaniem za parawanem i przepoconą maską. Upokorzeniem dla efektu”.

Spektakl okazał się ogromnie kontrowersyjny dla niektórych wykładowców AST, a ostatecznie został uznany za zbyt mało lalkowy. Z tego powodu rektor Dorota Segda nie zdecydowała się na pokazanie go podczas łódzkiego festiwalu teatralnego. Realizatorzy „Słabego roku” zaprotestowali, rozpętała się burza.

„Plamę” Martyny Majewskiej, „W środku słońca gromadzi się popiół” Agaty Kucińskiej czy „Wodną opowieść” Roberta Drobniucha. Krofta, który jest w tej chwili dyrektorem Wrocławskiego Teatru Lalek, podkreśla, że rewolucja w teatrze lalkowym w Czechach odbyła się już w latach 90.

Ściśle określone gatunki to *de facto* scenariusze odbioru dzieł sztuki. Czytelnicy np. chętniej wybierają kryminały i romanse niż książki z pogranicza gatunków. Dysponują bowiem konkretną kompetencją kulturową, nabytą w toku wielu lektur i dyskusji. Pisząc o Tadeuszu Różewiczu, krytyk Andrzej Skrendo podkreślał, że ktoś, kto nie stosuje reguł gatunkowych, utrudnia odbiór swojego dzieła. Nawet krytycy i akademicy okazują się strażnikami gatunków, przywołując do porządku bardziej niesfornych autorów, reżyserów czy artystów wizualnych. Przekraczanie gatunków wzbudza niepokój, pojawia się niepewność co do własnych ocen i rozstrzygnięć. W znakomitym esej „Filozofia horroru” Noël Carroll, opisując rodzaje lęków, zaznacza, że przerażenie wzbudza niekompletność, wyjście poza strukturę/formę, pośredniość lub sprzeczność kategorialna. Pogwałcenie kulturowych schematów kategorialnych wiąże się z przekroczeniem i „nieczystością”. Tylko że teatr powinien być miejscem, gdzie dokonuje się takich przekroczeń. Artyści robią to dla nas, za nas. To sfera totalnej wolności, która dotyczy także stylów, gatunków, tradycji, tekstów – wszystkiego, co ma do dyspozycji kultura. Wierzę, że teatr lalkowy jest potrzebny i wyjątkowy, ale nie może się zamykać na nowe technologie, granie w planie aktorskim, różnego rodzaju rozszerzenia. Inaczej stanie się brzydszą siostrą teatru dramatycznego, który rzeczywiście będzie ludzi obchodził, o który będą się kłócili i artyści, i publiczność, i władza.

KURTYNA W GÓRĘ

MIEDZY OKŁADKAMI

ŚWIAT ŻEBRAKÓW I SPELUNEK

W łódzkim Teatrze im. Jaracza wydarzenie artystyczne. Operetkę albo musical ze słowem opera w tytule przygotowali aktorzy dramatyczni. Okazuje się, że są perfekcyjni, zarówno gdy mówią, jak i wtedy, gdy śpiewają. I nie potrzeba im nawet mikrofonów. Arcydzieło Brechta i Weilla przygotowano solidnie, zatrudniono kilkunastoosobową orkiestrę, do tego dołożono klimatyczną scenografię, kojarzącą się z komiksem kostiumy i nawet filmy animowane dopasowane do rytmu muzyki. Kilka songów z „Opery za trzy grosze” to już dziś światowe przeboje, zostają w uchu długo po spektaklu, a pytanie, czy zamordowanie człowieka jest dużo gorsze od kupienia człowieka, nadal wydaje się aktualne.

Bronisław Tumilowicz



Bertolt Brecht i Kurt Weill,
„Opera za trzy grosze”,
tłumaczenie Roman Kotakowski,
reżyseria Wojciech Kościelniak,
Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi,
premiera 12 kwietnia 2019

NA POWAŻNIE

ŚMIERĆ NA REJACH

Świetna współczesna muzyka i doskonały wykonawca roli tytułowej. Michał Partyka jako Billy Budd, niepokorny marynarz okrętu wojennego marynarki brytyjskiej, który musi zginąć, aby surowej sprawiedliwości stało się zadość, stworzył przejmującą, krwistą postać. Pozostali wykonawcy stanowią istotne tło dla rozgrywającej się na naszych oczach tragedii. Nie wiadomo tylko, po co norweska reżyserka przeniosła akcję z XVIII-wiecznego żaglowca do nowoczesnej łodzi podwodnej, a marynarze mimo to ciągną liny i wspinają się na reje. Kult morskiego analfabetyzmu?

Bronisław Tumilowicz



Benjamin Britten, „Billy Budd”, dyrygent Michał Klauza, reżyseria Annilese Miskimmon,
Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 12 kwietnia 2019

Ilaria Tuti

Kwiaty nad piekłem

tłum. Lucyna Rodziewicz-Doktór
Sonia Draga, Katowice 2019

Góry są bardzo wygodnym miejscem akcji. Groźna, choć piękna przyroda zamyka ludzi w małych skupiskach. Takie społeczności nie lubią obcych, nie zdradzają im swoich tajemnic. Paradoksalnie, choć surowe otoczenie hartuje, są bardziej narażone na skrzywdzenie. Zło od lat nawarstwia się w ciszy, ofiary nie mają u kogo szukać pomocy, najwyżej wspierają się wzajemnie jak dzieci z miasteczka we włoskich Alpach. Ktoś jednak wie, co się dzieje z tą czwórką, a w miasteczku robi się niebezpiecznie.

Ilaria Tuti na pierwszym planie stawia współczucie, skłania do myślenia przede wszystkim o ofiarach. Jej bohaterka, komisarz Teresa Battaglia, kieruje się empatią, choć na pierwszy rzut oka nikt by jej o to nie podejrzewał. Zgryźliwa, z upodobaniem musztruje nowego podwładnego. Uczy go jednak, że prawdziwe zło jest tam, gdzie przestaje się widzieć czyjeś człowieczeństwo.

Aleksandra Pańko



ZASŁUCHAJ SIĘ

Ewelina Jurga,
Maksymilian Święch

Giulio Caccini. Le nuove musiche

Chordis

„Le nuove musiche” Giulia Cacciniego to zbiór arii i madrygałów wydanych we Florencji w 1602 r. Ten muzyczny symbol przełomu renesansu i baroku miał kluczowe znaczenie dla powstania wielu form i gatunków wokalo-instrumentalnych, m.in. opery. Był to nie tylko rewolucyjny zbiór prezentujący nowy styl w muzyce, ale także traktat objaśniający, jak te kompozycje wykonywać. Sopranistka Ewelina Jurga i klawesynista Maksymilian Święch jako pierwsi Polacy podjęli się nagrania i wydania albumu, który wypełniony jest muzyką z tego historycznego zbioru, a zrobili to odważnie i pięknie.

Beata Dżon-Ozimek



NA EKRANACH

NIEDOBRANI

reż. Jonathan Levine, prod. USA,
w kinach od 10 maja

Co łączy Charlize Theron i Setha Rogena poza tym, że są świetnymi aktorami, cenią inteligentne poczucie humoru i mają własne zdanie? Oboje są zażenowani tym, że w 2019 r. Ameryka wciąż nie doczekała się ko-

biety na stanowisku prezydenta. Rozeźliło ich to do tego stopnia, że takową postać powołali do życia. Bohaterami filmu są Charlotte Field, prymuska, która od najmłodszych lat walczyła z ociepleniem klimatu, i Fred Flarsky, reportażysta, który dla dobrego materiału nie zawaha się nawet wytatuować swastyki. Drogą tych dwojga spotykają się, gdy Charlotte obejmuje urząd, a zwolniony z pracy w czasie kryzysu mediów Fred zaczyna pełnić funkcję jej rzecznika. Gdy wycieka ich wspólna sekstaśma, spece od wizerunku dostają kociokwiku, a poziom humoru sięga szczytów i winduje film do rangi komedii roku. Żarty są ostre i nie ograniczają się do jednego aspektu. Raz twórcy



obsmiewają relacje damsko-męskie, a raz dają prztyczka w nos mediom i politykom. Zadbali jednak, by nie był to jedynie popis gagów, tylko angażująca historia z pełnokrwistymi bohaterami, którzy muszą odpowiedzieć sobie na pytanie, czemu poświęcili własne ideały.

Artur Zaborski



ZAJRZYJ TU

MALARZ. MENTOR. MAG

Otto Mueller a środowisko artystyczne Wrocławia

O Ottonie Muellerze legendy krążyły już za jego życia. Za sprawą charyzmatycznej osobowości i niekonwencjonalnego sposobu bycia stał się ikoną bohemy. Na wystawie znajdujemy przykłady jego wczesnej twórczości z okresu grupy Brücke oraz malarstwo i grafiki odzwierciedlające dwa główne motywy w jego sztuce: akty na tle pejzażu oraz „obrazy cygańskie”. Mueller fascynował oryginalną twórczością, inspirowaną sztuką egipską i folklorem cygańskim, bliskich mu artystów i studentów Akademii Sztuki i Rzemiosła Artystycznego we Wrocławiu, która w latach 20. skupiała grono wybitnych pedagogów, m.in. wywodzących się z Bauhausu. Pluralizm stylistyczny i zamiłowanie do eksperymentu uczyniły z niej jedną z najbardziej postępowych uczelni w Europie.



**MUZEUM NARODOWE
WE WROCŁAWIU, DO 30 CZERWCA**



WAJDA

Multimedialna wystawa poświęcona życiu i twórczości Andrzeja Wajdy ukazuje wielkiego inscenizatora, mistrza dramaturgii i twórcę niezapomnianych obrazów. Na ekspozycję składają się pozostawione przez Wajdę scenariusze, szkice, rysunki i zapiski robione podczas procesu twórczego, rekwizyty i kostiumy, projekty scenografii i dokumenty produkcyjne. To wszystko pozwala odtworzyć proces realizacji filmów i poznać mechanizmy ich powstawania oraz konteksty: instytucjonalne, produkcyjne, cenzorskie, organizacyjne i związane z zarządzaniem talentami współpracowników, jak również autorskie.

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE, DO 8 WRZEŚNIA

BEATA CZAPSKA
W obliczu kamienia

Rzeźbiarka Beata Czapka mieszka na stałe w Paryżu, ale większość prac wykonuje w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, gdzie znalazła sprzyjające warunki. Rzeźbiarka wykorzystuje różnorodne materiały: marmur, granit, alabaster, bazalt oraz serpentynit.



Temat najnowszej wystawy to fauna i flora, nic więc dziwnego, że można ją oglądać w stołecznym Muzeum Ziemi.

**WARSZAWA,
MUZEUM ZIEMI PAN,
DO 16 MAJA**

Kolumny przygotowała
Agata Gogolkiewicz



KRĄG ROZPUSTY

Frédéric Martel

W Watykanie nazywa się go Platinette i wszyscy podziwiają jego brawurę! – mówi mi Francesco Lepore. To przezwisko pochodzi od słynnej *drag queen* z włoskiej telewizji, lubującej się w platynowoblond perukach. (...) Pewien wpływowy dyplomata mówi mi o innym kardynale, który ma przezwisko La Mongolfiera. Skąd się wzięło? Podobno miał „imponujący wygląd, dużo pustki i mały udźwig”, wyjaśnia mój informator, kładąc nacisk na zarozumiałość i wyniosłość tej osoby (...).

Kardynałowie Platinette i La Mongolfiera mieli godzinę sławy w epoce Jana Pawła II, obydwoj pozostawali z nim zresztą w bliskich kontaktach. Stanowią część tego, co można by nazwać pierwszym kręgiem rozpusty wokół ojca świętego. Istnieją też inne kręgi wyuzdania skupiające praktykujących homoseksualistów, stojących jednak niżej w hierarchii. Wśród osób pozostających w bliskich kontaktach z Janem Pawłem II heteroseksualni hierarchowie są rzadkością, a jeszcze większą rzadkością jest wierność ślubowi czystości.

W Watykanie wśród duchownych w bliskim otoczeniu Jana Pawła II wierność ślubom czystości była rzadkością

Tu przed dalszymi rozważaniami potrzebne jest jeszcze wyjaśnienie dotyczące ułomności kardynałskich, które ujawnię. (...) W moich oczach ci kardynałowie, ci biskupi, ci księża mają oczywiste prawo, aby mieć kochanków i pogłębiać swoje skłonności, nabyte lub wrodzone. (...) Jeśli zaś chodzi o prostytucję tak częstą w tej grupie, to we Włoszech jest ona legalna i wydaje się, że nieźle tolerowana przez prawo kanoniczne stosowane w eksterytorialnej stolicy apostolskiej. Można kwestionować jedynie ich niezgłębianą hipokryzję (...).

Chciałbym rozszyfrować ten równoległy świat i dokonać jego przeglądu w czasach Jana Pawła II. Do La Mongolfieri i Platinette jeszcze wróć, muszę jednak zacząć od postaci Paula Marcinkusa, człowieka od finansów, tajnych misji

i jednego z tych, którzy zarządzali Państwem Watykańskim w imieniu ojca świętego.

Mieszanka dyplomaty, ochroniarza, anglojęzycznego tłumacza, gracza w golfa, kuriera tajnych funduszy, spryciarza. Kiedy Karol Wojtyła zostaje Janem Pawłem II, amerykański arcybiskup Marcinkus ma już w Watykanie swoją długą historię. Marcinkus był jednym z tłumaczy Jana XXIII, potem bliskim człowiekiem Pawła VI (którego życie miał chronić podczas zamachu), zajmował też wiele stanowisk w nuncjaturach apostolskich. Potem zaczął spektakularną drogę na watykańskie szczyty.

Z jakichś tajemniczych powodów Marcinkus już od początków pontyfikatu staje się jednym z faworytów Jana Pawła II. Według wielu źródeł papież czuł szczere przywiązanie do tej kontrowersyjnej postaci. Marcinkus wkrótce staje więc na czele słynnego Banku Watykańskiego, który pod jego kierownictwem zostaje wpłany w niezliczone intrygi finansowe i kilka spektakularnych skandali. Włoskie organy sprawiedliwości oskarżały praelata o korupcję, ale on cały czas cieszył się immunitetem dyplomatycznym Watykanu. Podejrzewa się go nawet o podżega-

nie do zabójstw, w tym papieża Jana Pawła I, zmarłego w tajemniczych okolicznościach po zaledwie miesiącu pontyfikatu. Jednak pogłoski te nigdy nie zostały potwierdzone.

Homoseksualność Marcinkusa jest natomiast potwierdzona zupełnie wystarczająco. Około 10 prałatów z kurii, którzy bywali u Amerykanina, potwierdza, że był zapalonym łowcą przygód.

– Marcinkus był homoseksualistą, miał słabość do członków gwardii szwajcarskiej. (...) Pamiętam, że kiedyś spotykał się z pewnym gwardzi-
stą i trwało to jakiś czas – potwierdza jedno z moich źródeł, osoba świecka pozostająca w bliskich stosunkach z arcybiskupem, wtedy i dziś pracująca w Watykanie.

Znany jest również związek Marcinkusa z pewnym szwajcarskim księdzem, który potwierdził to mojemu informatorowi. I nawet wtedy, kiedy był w areszcie domowym w Watykanie (z powodu oskarżeń ze strony włoskiego wymiaru sprawiedliwości), wciąż bezwstydnie podrywał. Potem na emeryturze wyjechał do Stanów Zjednoczonych, zabierając ze sobą swoje tajemnice. Zmarł w 2006 r. w Sun City, w luksusowym domu dla emerytów w Arizonie (...).

Oprócz kontrowersyjnego Marcinkusa w otoczeniu Jana Pawła II, wśród sekretarzy i urzędników, są jeszcze inni czynni homoseksualiści. Przede wszystkim irlandzki ksiądz John Magee, który był jednym z osobistych sekretarzy Pawła VI, potem krótko sekretarzem osobistym Jana Pawła I i pozostał przy Janie Pawle II. Gdy został biskupem diecezji Cloyne w Irlandii, uwikłał się w afery dotyczące molestowania seksualnego, które wstrząsnęły krajem. (...)

Inny pomocnik papieża, aktywnie praktykujący homoseksualista, to ksiądz, który na zmianę defrauduje pieniądze i bafamuci chłopców (pełnoletnich, o ile mi wiadomo). On też pali się do szwajcarskich gwardzistów i seminarzystów, które to ekstrawagancje dzieli z jednym z organizatorów podróży papieskich.

Doświadczyl tego pewien młody seminarzysta z Bolonii; podczas kilku rozmów opowiada mi ze szczegółami o swojej niemiłej przygodzie. W czasie wizyty papieża w tym mieście we wrześniu 1997 r. dwóch z asystujących mu hierarchów od-

powiedziałnych za jego podróże nalega na spotkanie z seminarzystami. Natychmiast namierzają w tej grupie młodego chłopca, pięknego blondyna, który wówczas ma 24 lata.

– Po prostu dokonali przeglądu i nagle wskazali na mnie. Powiedzieli: „Ty!”. Chcieli, żebym z nimi poszedł, i nie dawali mi już spokoju. Chcieli mnie widzieć cały czas. To była bardzo natarczywa technika podrywu – wyjaśnia mi były seminarzysta (...).

Podczas wizyty Jana Pawła II najbliżsi współpracownicy papieża lansują seminarzystę i na wszystkie sposoby rozpieszczają. Przedstawiają go papieżowi i trzykrotnie zapraszają na podium, żeby stał blisko niego.

Dwaj wierni współpracownicy ojca świętego przeżywają swoją seksualność w oburzający sposób.

– Zrozumiałem, że byli tutaj na łowach. Podrywali młodych ludzi, mnie, nawet bez żadnych środków ostrożności, czynili awanse. Pod koniec pobytu zaprosili, żebym ich odwiedził w Rzymie i zamieszkał u nich. Powiedzieli, że pokazaliby mi biuro papieża. Dobrze wiedziałem, czego po mnie oczekiwali. Nie odpowiedziałem na ich awanse. (...)

Zuchwałość nie zna granic. Dwaj wierni współpracownicy ojca świętego – arcybiskup, który jest jego doradcą, i bardzo ważny nuncjusz – również przeżywają swoją seksualność w oburzający sposób, sposób przekraczający możliwość pojmowania. Podobnie wygląda przypadek pewnego kolumbijskiego kardynała: ten „szatański doktor” na polecenie Jana Pawła II dokurmuje się koordynowaniem watykańskiej polityki względem rodziny, a wieczorami oddaje się z oszatamiącą regularnością męskiej prostytucji.

W najbliższym otoczeniu papieża jest też niezwykle trio biskupów – działają oni w grupie. Ale w tym miejscu muszę coś wtrącić. Jest to kolejny krąg rozwiązłości wokół papieża. W porównaniu z kardynałami i dostojnymi prałatami ci homoseksualni awanturnicy jego świątobliwości są zdecydowanie przeciętni, działają na zdecydowanie mniejszą skalę.

Pierwszy to arcybiskup, którego przedstawia się zawsze jako anioła

w ludzkiej postaci i którego uroda wywołała wiele plotek. (...) W latach pontyfikatu Jana Pawła II pozostawał w bliskim otoczeniu kard. Sodana, ale papież też ogromnie go lubił. Jego skłonności potwierdziło mi wiele źródeł. Podobno został wydalony z dyplomacji watykańskiej, „kiedy zaszkodzone go w łóżku z czarnoskórym mężczyzną” (wyjaśnia mi pewien ksiądz z sekretariatu stanu, który też spał kilka razy z opisywaną osobą).

Drugi biskup z bliskiego otoczenia Jana Pawła II odgrywa zasadniczą rolę w przygotowywaniu ceremonii papieskich. Pojawia się zresztą na zdjęciach u boku ojca świętego. Znany jest ze swych praktyk SM, powia-

da się, że ubrany w skórę odwiedzał gejowski klub Sfinx w Rzymie, teraz zamknięty. Słynne stało się w Watykanie powiedzenie na jego temat: *Lace by day; leather by night* (dzień w koronkach, noc w skórkach).

Co do trzeciego biskupa uwodzi ciela, to opisuje się go jako szczególnie zdeprawowanego – kolekcjonuje afery finansowe i kolekcjonuje chłopców. Włoska prasa już dawno go namierzyła.

Ci trzech biskupi tworzą więc to, co można by nazwać drugim kręgiem rozwiązłości wokół Jana Pawła II. ►

O tym, jak nieetyczne mogą być dziki, **przeczytają Państwo w podwójnym majówkowym numerze tygodnika „NIE”.**



► Nie zasiadają w łóżach honorowych, są to raczej postaci z drugiego planu. Papież Franciszek, który zna tych kochasiów od dawna, postarał się oddalić ich z Watykanu, pozbawić purpury. Wszyscy są dziś „schowani w szafie” – dwudrzwiowej w pewnym sensie.

Tych trzech wtajemniczonych pełniło naprzemiennie funkcje rajfurów, lokajów, majordomów, szambelanów, mistrza ceremonii, mistrza ceremonii liturgicznych, kanonika czy wreszcie szefa protokołu Jana Pawła II. Chętni do pomocy, kiedy jest taka potrzeba, czasem oddają „usługi” najbardziej widocznym kardynałom, a przez resztę czasu uprawiają rozpustę na własne konto. (...)

Razem z Danielem, moim głównym włoskim researcherem, długo rozmawiałem z dwoma z ówch trzech muszkieterów. Pierwszy z nich pozostał wierny swojemu wizerunkowi dżentelmena i wielkiego księcia. Z obawy, że przypadkiem sam się wyoutuje, cały czas się pilnował, choć jego homoseksualność nie pozostawia niemal żadnych wątpliwości. Drugi, którego spotkaliśmy kilkakrotnie w jednym z watykańskich pałaców w strefie „eksterytorialnej”, niesłuchanie nas zdumiał. (...) Brzydki jak noc uwodził Daniego od pierwszej chwili, a mnie prawil najrozmaitsze komplementy, choć widział mnie po raz pierwszy. (...)

W gronie bliskich współpracowników Jana Pawła II postawa wobec seksualności i uwodzenia nie jest jednolita. O ile niektórzy kardynałowie i biskupi sporo ryzykują, o tyle inni zachowują szczególną ostrożność. Pewien francuski arcybiskup, potem kardynał, był – według słów jego byłego asystenta – w stałym związku z pastorem anglikańskim, potem z włoskim księdzem; inny włoski kardynał żyje ze swym partnerem, którego mi przedstawił jako „brata zmarłej siostry”, ale w Watykanie wszyscy – poczynając od gwardzystów, którzy mi o tym mówili – wiedzieli, jaka była natura ich związku. Trzeci, Amerykanin William Baum, którego obyczaję zostały ujawnione, żył również w Rzymie ze swym słynnym kochankiem, który był jednym z jego asystentów.

Kolejny kardynał z kręgu frankońskiego, z którym spotykałem

się kilkakrotnie, również z bliskiego otoczenia Jana Pawła II, znany jest z powodu szczególnego nałogu: jego technika polega na zapraszaniu seminarzystów albo studentów Papieskiej Akademii na obiad, a potem pod pretekstem zmęczenia na wspólną sjęstę. Kardynał kładł się na łóżku bez uprzedzenia i bez słowa; miał nadzieję, że młody nowicjusz do niego dołączy. (...)

Inni wpływowi księża z otoczenia Jana Pawła II mieli skłonności homoseksualne, ale byli bardziej dyskretni. (...)

Powróćmy jednak do pierwszego „kręgu rozpusty”, którego jądro stanowili kardynałowie La Mongolfiera i Platinette, a wokół grawitowały

Biskup z bliskiego otoczenia Jana Pawła II znany jest z praktyk SM. Ubrany w skórę odwiedzał gejowski klub w Rzymie.

inne gwiazdy. Przy tych wielkich diwach następne kręgi i inni poboczni kardynałowie prezentują się nadzwyczaj blade.

O ich „garsonadach” opowiadali mi ich asystenci, współpracownicy, a także współbracia w kardynalstwie. Rozmawiałem nawet z Platinette w stolicy apostolskiej i mogę poświadczyć jego brawurę: chwycił mnie za rękę, po czym długo i zdecydowanie ścisnął przedramię, nie puszczając ani na chwilę. Nie posunął się jednak dalej. (...) W każdym razie kardynałowie La Mongolfiera i Platinette, do których dołączył wkrótce pewien biskup – jego pseudonim miłosiernie pominę – są trójką stałych klientów rzymskich męskich prostytuttek, z którymi zabawiają się w czworokąt.

Czy La Mongolfiera i Platinette dużo ryzykują, prowadząc tak rozwiązłe życie? Można by tak myśleć. Tymczasem jako kardynałów chroni ich immunitet dyplomatyczny, a poza tym jako przyjaciele papieża i jego ministrowie cieszą się szczególnymi względami na najwyższych szczeblach Watykanu. Zresztą któż może ich wydać? To czasy, gdy afery seksualne jeszcze nie zapaskudziły Watykanu: prasa włoska rzadko pisze na te tematy, świadkowie milczą, życie prywatne kardynałów jest wciąż nienaruszalne. Jeśli chodzi o media społecznościowe, to one jeszcze nie istnieją, zmieniają przekaz medialny

dopiero po śmierci Jana Pawła II. (...) W tamtym czasie wystarczał jednak dobry kamuflaż.

Aby uniknąć plotek, La Mongolfiera i Platinette stosują jednak pewne środki ostrożności: wymyślają skomplikowany system wyszukiwania męskich prostytuttek przez potrójny filtr. Oni sami zgłaszają swoje potrzeby do „dżentelmena Jego Świątobliwości”, mężczyzny świeckiego, żonatego, prawdopodobnie heteroseksualnego, który w przeciwieństwie do swych zleceniodawców miał inne priorytety niż homoseksualizm. Macza palce w wielu wątpliwych pakietach finansowych, a to, czego potrzebuje w zamian za oddawane usługi, to przede wszystkim solidne poparcie na szczycie kurii i wizytówki.

Za znaczną rekompensatę „dżentelmen Jego Świątobliwości” kontaktuje się z innym pośrednikiem o pseudonimie Negretto, śpiewakiem z Nigerii, przez lata członkiem chóru watykańskiego, który z czasem stworzył wielką siatkę seminarzystów gejów, escort boyów i męskich zagranicznych prostytuttek. To prawdziwy system rosyjskich babuszek znajdujących się jedna w drugiej, bo Negretto kontaktuje się z trzecim pośrednikiem, który służy mu jako przekaznik i naganiacz. Werbuje się zewsząd, np. imigrantów, którzy potrzebują zezwolenia na pobyt: „dżentelmen Jego Świątobliwości” obiecuje interweniować w sprawie papierów, jeśli okażą „zrozumienie” (wykorzystuję tu informację pochodzącą z protokołów spisanych z podsłuchów telefonicznych założonych przez włoską policję, a dołączonych do akt procesu, który toczył się w wyniku tej afery).

„Dżentelmeński” system działań przez kilka lat pontyfikatu Jana Pawła II i na początku pontyfikatu Benedykta XVI. Zaopatrywał nie tylko kardynałów La Mongolfiera i Platinette oraz ich przyjaciela biskupa, ale też jeszcze jednego hierarchę (którego nazwiska nie udało mi się poznać).

Ostatnie etapy całej tej akcji miały się rozgrywać poza Watykanem w kilku rezydencjach, w tym w willi z basenem, w luksusowych apartamentach

w centrum Rzymu, a według dwóch świadków także w rezydencji papieża w Castel Gandolfo. (...)

Według kilku źródeł newralgicznym punktem w działaniu tej siatki luksusowych escort boyów jest sposób płacenia. Kardynałowie nie tylko korzystają z męskiej prostytucji, żeby zaspokoić swoje libido; nie tylko są homoseksualistami w życiu prywatnym, podczas gdy publicznie obnoszą się z ostrą homofobią, ale także urządzają się w ten sposób, żeby nie płacić swoim żigolakom z własnych środków! Na wynagrodzenia dla pośredników i dla luksusowych escort boyów – różnych w różnych momentach – czerpią bowiem z kasy watykańskiej. I to niemało (do 2 tys. euro za wieczór, według informacji zebranych przez włoską policję podczas badania tej sprawy). Niektórzy duchowni z Watykanu dysponujący ogromną wiedzą o tej sprawie znaleźli nawet ironiczne przezwisko dla tych prałatów kutw: „ATM-Priests” („księża bankomaty”).

Włoski wymiar sprawiedliwości położył wreszcie kres tej spółdzielni usług erotycznych, choć doszło do tego w sposób przypadkowy – z powodu zatrzymania kilku uczestników tego procederu wmieszanych w poważne afery korupcyjne. Zatrzymano również dwóch pośredników, zidentyfikowanych dzięki podsłuchom telefonicznym, które włoska policja założyła na linii „dżentelmena Jego Świątobliwości”. Siatka została więc rozbita, włoska policja poznała jej zasięg, ale nie mogła posunąć się dalej ani oskarżyć głównych zleceńodawców, kardynałów La Mongolfiera i Platinette, korzystali bowiem z watykańskiego immunitetu. (...)

Pominę szczegółowe opisy czynów tych kardynałów, według policyjnych podsłuchów były one naprawdę nowatorskie. W rozmowach z pośrednikami używają szyfru. Mówią o escort boyach jako o „dokumentach” i o „sytuacjach”. Pośrednicy posłusznie proponują odpowiednie kandydatury, zmienia się jedynie wzrost i waga. Oto fragmenty rozmów (z akt sprawy):

– Więcej nie ma potrzeby mówić. Ma dwa metry wzrostu, odpowiednią wagę i 33 lata.

– Mam sytuację w Neapolu... Nie wiem, jak to powiedzieć, ale naprawdę tej okazji nie można pominąć...

32 lata, metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, jest piękny.

– Mam sytuację kubańską...

– Przyjechałem z Niemiec z pewnym Niemcem.

– Mam dwóch czarnoskórych.

– X ma chorwackiego przyjaciela, który chciałby się spotkać, jeśli to możliwe.

– Mam futbolistę.

– Mam jednego z Abruzji...

Zdarza się, że w tych rozmowach można usłyszeć i o Chrystusie, i o viagrze, co jest dobrym podsumowaniem całej sprawy.

Po długotrwałym procesie i kilku odwołaniach nasz „dżentelmen” został skazany za korupcję, chór watykański rozwiązano, a Negretto mieszka obecnie w pewnej kościelnej rezydencji poza granicami Włoch, gdzie – jak się wydaje – w zamian za milczenie otrzymuje pewne wsparcie finansowe. (...)

Aby uniknąć plotek, kardynałowie wymyślają skomplikowany system wyszukiwania męskich prostytutek.

Oczywiście owi duchowni są dziś w opozycji wobec papieża Franciszka, ostro krytykują jego wypowiedzi przychylnie homoseksualistom i wzywają do ściślejszego przestrzegania cnoty czystości – oni, którzy w tak niewielkim stopniu ją praktykowali.

Afery finansowe i obyczajowe w Watykanie, często ściśle ze sobą powiązane, są więc w Sodomie kłuczowe. Kardynał Raffaele Farina, jeden z najlepszych znawców owych skandali, pierwszy naprowadził mnie na ślad tych powiązań. Podczas dwóch długich rozmów, które odbyliśmy w jego mieszkaniu w Watykanie w obecności mojego włoskiego researchera Daniele, Farina mówił o tych nieprawdopodobnych konszachtach. Kardynał oczywiście nie podał żadnych nazwisk, ale wiedzieliśmy, on i ja, do kogo robił aluzję, podkreślając, że w Watykanie uwielbienie dla chłopców idzie w parze z uwielbieniem dla złotego cielca.

Wyjaśnienia naszkicowane przez Farinę, a potwierdzone przez kilku innych kardynałów, biskupów i ekspertów watykańskich są ilustracją socjologicznych reguł Sodomy. Bardzo liczną obecność homoseksualistów w łonie kurii rzymskiej można wy-

jaśnić przede wszystkim faktem, że wielu z nich tkwi również w samym centrum intryg finansowych. Do tego trzeba dodać, że utrzymywanie relacji erotycznych w środowisku tak zamkniętym i kontrolowanym, otoczone przez szwajcarskich gwardzystów, żandarmerię i ludzkie gadanie wymaga niezwyklej ostrożności. Prowadzi to do czterech rozwiązań: pierwsze to monogamia, i ci, którzy ją pielęgnują, wiodą dużo spokojniejsze życie. Za to życie homoseksualistów, którzy nie są w stałym związku, jest bardziej skomplikowane. Możliwe są dla nich trzy opcje: podróże, aby zyskać swobodę seksualną (jest to najlepsze wyjście, wybierane często przez nuncjuszy i urzędników sekretariatu stanu), odwiedzanie wyspecjalizowanych komercyjnych barów albo korzystanie z zewnętrznych usług męskich prostitutek. W każdym z tych trzech przypadków

potrzebne są pieniądze, tymczasem wynagrodzenie księży oscyluje wokół 1-1,5 tys. euro miesięcznie, często z wliczonym w to służbowym mieszkaniem i wyżywieniem, co zdecydowanie nie wystarcza na zaspokojenie wszelkich skomplikowanych pragnień. Księża i biskupi watykańscy są ubodzy, mówi się o nich, że to „nędzarze, którzy żyją jak księżęta”. Podwójne życie homoseksualisty w Watykanie pociąga więc za sobą bardzo ścisłą kontrolę własnego życia prywatnego, otaczanie go szczelną zastoną tajemnicą, ale też potrzebę pieniędzy – stąd więc przymus kamuflażu i kłamstwa. To wyjaśnia niebezpieczne związki między pieniędzmi i seksem, narastanie afer finansowych i intryg homoseksualnych, a także kręgów rozpusty, jakie rozrosły się za czasów Jana Pawła II w mieście, które stało się synonimem korupcji.

Fragment książki Frédérica Martela *Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie*, przekład Anastazja Dwulit, Elżbieta Derelkowska, Jagna Wisz, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2019



Dwa dylematy Kościoła

Eugeniusz Jabłoński

W dyskusji po filmie Wojciecha Smarzowskiego „Kler”, po watykańskim szczycie w sprawie pedofilii zwołanym przez papieża Franciszka, po zamieszaniu wokół wynaturzeń ks. Henryka Jankowskiego i problemach z jego pomnikiem, wreszcie po niedawnym raporcie Episkopatu na temat pedofilii w polskim Kościele prawie zupełnie pomijane są dwa wątki.

Pierwsza sprawa: zwraca się uwagę na skutki krzywdzenia dzieci, a przemiłcza przyczyny. Zapewne wiele ujemnych zjawisk wśród księży – takich jak pedofilia i inne wykroczenia na tle seksualnym oraz nadużywanie alkoholu – nie miałyoby w ogóle miejsca lub pojawiałyby się w mniejszym zakresie, gdyby życie duchownych nie było tak skrzepowane. W kościołach dużo mówi się o życiu rodzinnym i wychowywaniu dzieci, księża z upodobaniem roztrząsają relacje damsko-męskie, a sami słudzy Kościoła skazani są na samotność, na bezżenność, na bycie

singlami. To podłoże wielu ujemnych zjawisk w środowisku klerikalnym. Celibatu nie nakazał Jezus Chrystus, wprowadził go w 1074 r. papież Grzegorz VII, a w Polsce został przyjęty sto lat później. Chodziło wówczas głównie o ochronę dóbr i majątku kościelnego. Celibat nakazał papież i papież może go znieść. Takie postulaty zgłaszane są coraz częściej i coraz

Mężczyźni w sutannach na wszelkie sposoby strzegą swojej władzy i dominacji w Kościele.

bardziej otwarcie w licznych krajach, także w Polsce, choć u nas raczej nieśmiało. Nie wolno na siłę utrzymywać czegoś, co jest wbrew naturze człowieka, wbrew normalności.

W świecie oficjalnie zarejestrowanych jest ponad 2,2 tys. religii, a jeszcze więcej funkcjonuje jakby samistnie. Tylko w niektórych obowiązuje beżeństwo. Tam, gdzie nie ma celibatu, pedofilia i inne skazy seksualne duchownych nie istnieją, najwyżej w takiej skali jak i w innych środowiskach.

Kwestia druga to status kobiet w Kościele. Katolicyzm zrodził się w starożytności, umocnił w średniowieczu. Kobiety były wówczas na marginesie życia społecznego. Dlatego nie było ich wśród apostołów. Przeniknęło to głęboko w łono Kościoła. I tak pozostało po dzień dzisiejszy. Jeszcze gorzej sytuacja kobiet przedstawia się w innej wielkiej religii światowej, która powstała kilka wieków później, w tym samym regionie obyczajowo-kulturalnym – w islamie.

Kobiety w katolicyzmie, we wszystkich krajach, pełnią funkcję służebną, pomocniczą – i to mimo że stanowią ponad połowę wiernych, a Matka Boska w Polsce otoczona jest ogromnym kultem. Mężczyźni w sutannach pilnie i na wszelkie sposoby strzegą swojej władzy, dominacji w Kościele. Nawet wybitne przełożone zakonów żeńskich i teolodzy mają w nim niewiele do powiedzenia, ich głos prawie się nie liczy. A kobiety zapewne wniosłyby ożywczego ducha do środowiska wiernych, byłyby lekiem na liczne dolegliwości parafii i diecezji. Zrozumiano

to i zaczęto praktykować w wielu wyznaniach chrześcijańskich, w których kobiety sprawują funkcje pastorek, a nawet biskupów. Równouprawnienie kobiet w religiach świata, także katolickiej, będzie systematycznie się pogłębiać i poszerzać.

Hierarchowie katolicki są w większości konserwatywni i zachowawczy. Ale niemało jest także otwartych na treści i ducha współczesności, dostrzegających potrzeby rewizji niektórych utrwalonych zasad, reguł i dogmatów.

To proces długi i skomplikowany. Film „Kler” i debata o pedofilii księży skłaniają do podobnych rozważań katolików i niekatolików nie tylko w Polsce, lecz i poza nią.

Eugeniusz Jabłoński uczestniczy w pracach Zespołu Starszych Dziennikarzy Oddziału Warszawskiego SD RP



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Okna na Krakowskie Przedmieście

już dawno po świętach, które z każdym rokiem stają się coraz bardziej świeckie. Jak zawsze w tym czasie porusza mnie piękno religii, chociaż nie mam wątpliwości, że to fikcja, potrzebna ludziom, gdyż jesteśmy tylko drobkami w otchłani kosmosu. Wielkanoc z rodziną żony pod Warszawą. Jej brat – no właśnie, jak go nazwać, to przecież już nie rolnik, bardziej farmer i biznesmen – ma interesy rozsiane po całym świecie. Nadal jednak dawnym chłopskim zwyczajem próbuje trzymać dziesięć srok za ogon. Rozmowy przy stole nie tylko o pogodzie, o groźnych dla sadów przymrozkach, ale głównie o komputerowych systemach sterowania maszynami. Ma problem, czy warto kupić samochód elektryczny, sąsiad kupił i nie narzeka. Polska wieś, kiedyś tak konserwatywna i zachowawcza, w sporej części już taka nie jest. I oczywiście kpiny z krowy i świni+.

To bydełko+ to policzek dla nauczycieli. Na szkole moich dzieci widnieją plakaty z krowami i świniami, z ironicznymi komentarzami. W pobliżu mojego domu w Międzyzlesiu jest Helenów, ośrodek dla dzieci upośledzonych, o jeszcze przedwojennej tradycji, zanurzony w dużym parku. Tu też nauczyciele strajkowali i widać było świnię i krowy na plakatach. Kiedy ten felieton się ukaże, nauczyciele już pewnie wrócą do pracy, zbyt długi strajk obróci się przeciwko nim. Uważam, że powinni wrócić do tablic, by uczyć tego, czego naprawdę chcą – z pominięciem podstawy programowej. Czyli inspirować, uczyć kreatywności, a nie zamulać. To byłaby nowa forma strajku. Tylko czy mają do tego dosyć inwencji i wiedzy? Nie wypada teraz krytykować nauczycieli, kiedy mają tak trudną sytuację i walczą o słuszną sprawę, ale selekcja negatywna zrobiła swoje w tym zawodzie.

Jak zawsze śledzę z okna pociągu zmiany na lepsze w polskim krajobrazie, uparcie jednak dominuje chaos przestrzenny, od którego aż kręci się w głowie. Co myśmy zrobili z naszą Polską, jak można było tak ją zbrzydzić i zaśmiecić architektonicznie. To, co nowe i ładne, podkreśla szpetotę lat 60., 70. i 80. Nadal mamy fatalne prawo budowlane, więc nadal źle się dzieje.

Z moim partnerem tenisowym, wybitnym malarzem, gramy dwa razy w tygodniu. Zestarzeliliśmy się na tych kortach. Gramy od lat, paradoksalnie od stanu wojenne-

go. Dziwne uczucie, ciało i umysł pamiętają dawne możliwości, przede wszystkim szybkość dochodzenia do piłek, a teraz coś przeszkadza i piłki uciekają. Tylko czasami się zapominam i na chwilę w uderzeniu rakietą odnajduję dawną młodość. Nie zmieniły się za to nic a nic nasze rozmowy. Jak w czasach PRL wymieniamy uwagi, jak obrzydliwie jest i jak oni kłamią. I omawiamy najbardziej odrażające postacie na scenie politycznej. Niektórzy są straszni i śmieszni, jak Ryszard Czarnecki, okrągły pączek w maśle władzy. Sasin – cynik kartoflany, Bielan – cynik złowrogi, Morawiecki – cynik wzruszony bajkami, które opowiada. Gabinet osobliwości.

Nie sądzę, by w Polsce było więcej głupoty niż gdziekolwiek indziej, mam nawet wrażenie, że w tej dziedzinie Bóg obdzielił świat nadzwyczaj sprawiedliwie. Są tylko różne rodzaje mądrości i głupoty. Wspólnym mianownikiem większości naszego społeczeństwa jest brak wiary

Wspólnym mianownikiem większości naszego społeczeństwa jest brak wiary w siebie i potrzeba opieki z zewnątrz.

w siebie i potrzeba opieki z zewnątrz. Łakniemy kogoś, kto w końcu nam powie: „Jesteś coś wart, choćby z tego powodu, że tam jest ten obcy i inny, który ci zagraża i jest jeszcze mniej wart niż ty”. To jest kaloryczne paliwo dla PiS.

Galeria Art, galeria Okręgu Warszawskiego Związku Polskich Artystów Plastyków, miała okna pełne współczesnego malarstwa patrzące na Krakowskie Przedmieście i na pomnik Mickiewicza. To miejsce zostaje przez Ministerstwo Kultury zmienione w magazyn. Było ważne i kolorowe, znak sztuki na głównej promenadzie Warszawy, czasami tam bywałem na wernisażach. Kieruje galerią Wojtek Tuleya. Znam go od wielu lat. Tak, to brat sędziego Igora, który stał się symbolem walki o niezależne sądy. Wojtek, chociaż starszy od brata, jest identyczny, ma nawet takie same gesty, intonację. Czy to możliwe, że ministerstwo sztuki narodowej i patriotycznej z tego powodu niszczy galerię? A może dlatego, że nie ma tam świadectw męczeństwa polskiego narodu, żadnych kościelnych czy smoleńskich symboli? Galeria promuje zgniłą zachodnią sztukę. Może tak źle jeszcze nie jest, ale w tę stronę zmierzamy.



Sprzedam pałac za złotówkę

W Trzebiechowie czuje się oddech niezwykłej historii i wpisany w nią los książęcej rodziny von Reuss

Regina Dachówna

– „A jeśli pani umrze, to jak będą panią znosili z tej góry?“, zapytała szeptem podczas mszy mieszkanka Trzebiechowa. Śmiałam się przez całe nabożeństwo, nie mogłam się skupić – opowiada Izabella Staszak, wójt gminy już drugą kadencję. Pani wójt zajmuje dwa pokoje, małą łazienkę i kuchnię w słynnym trzebiechowskim pałacu, na samej górze, pod wieżyczką. Po wojnie rezydencja została ograbiona i popadała w ruinę, ale z czasem władze odbudowały obiekt, dziś mieści się w nim szkoła i przedszkole. Pałac to duma, ale i problem miasta.

Nie wiadomo zresztą, czy gmina Trzebiechów w Lubuskim jest biedna, czy bogata. Izabella Staszak mówi, że biedna. Pani wójt pochodzi stąd, 16 lat była sekretarzem w powiecie sulechowskim, 16 lat sekretarzem gminy, więc wie, jakie są zasoby finansowe miejscowych. Na terenie gminy w 11 wsiach mieszka 3,5 tys. osób. Roczny dochód od mieszkańców wynosi 2,5 mln zł. Nie ma tu wielkich zakładów. Największym jest Bomadek – zatrudnia 400 osób, zajmuje się hodowlą i przetwórstwem indyków.

W gminie nie ma bezrobocia. Izabella Staszak, idąc ulicami Trzebiechowa, zamiast dzień dobry często słyszy *przywiet*. Tak witają ją pracujący tu Ukraińcy. Władysław Piasecki, prezes Bomadeku, zatrudnia Ukraińców,

Mołdawian, zdarzają się też Białorusini. Polacy, zwabieni wyższymi zarobkami, wyjechali na Zachód. W Trzebiechowie chciałby otworzyć firmę inwestor niemiecki. Zamierza produkować karmę dla zwierząt. Do pracy przy produkcji będzie potrzebować 200 osób.

Izabella Staszak zadaje dramatyczne pytanie: – Skąd wziąć te 200 osób? Skąd je wziąć?

Do podstawówki w pałacu chodzi 362 uczniów, do przedszkola 71 maluchów.

Miłośnicy zabytków z kolei twierdzą, że Trzebiechów jest bardzo bogaty, bo ma dwa niezwykle obiekty: pałac oraz budynek dzisiejszego domu opieki społecznej, którego wartość architektoniczną muzealnicy odkryli dopiero w 2003 r. Te obiekty sprawiają, że ranga gminy rośnie, interesują się nią coraz liczniejsze grupy turystów.

Gdy wjeżdża się do centrum Trzebiechowa, trzeba zostawić samochód na parkingu przed wjazdem na pałacowy dziedziniec. Po drugiej stronie ulicy stoi dom opieki społecznej. Uroda obu obiektów zachwyca. Oba są użytkowane, a więc nie opuszczone czy zaniedbane. Naprzeciwko pałacu, na granicy dziedzica, znajdują się obszerne oficyny i dawne obiekty gospodarcze. Wszystkie dziś wykorzystywane. W oficynach mieści się urząd gminy, ośrodek kultury, straż pożarna,

a dawna ujeżdżalnia koni jest teraz salą gimnastyczną i treningową.

W linii prostej od pałacu światło ulicy zamyka sylwetka zabytkowego kościoła.

Wszystkie te obiekty powstały na polecenie książęcej rodziny von Reuss. W 1943 r. potomek Reussów, hrabia Heinrich XXXIII, sprzedał cały majątek hrabiemu Carlowi von Bentheim-Tecklenburgowi, który pod koniec wojny

w pośpiechu opuścił Trzebiechów, pozostawiając pałac wraz z całym wyposażeniem. Do dziś w niektórych domach można zobaczyć pojedyncze meble pałacowe, nakrycia stołowe czy zabytkowe statuetki.

Pomysł na rezydencję

Historia rodziny von Reuss dowodzi, że w przeszłości także zdarzały się bankructwa i licytacje, z których korzystali beneficjenci. Tak właśnie stało się z dobrami w Trzebiechowie. Przez dwa wieki należały one do rodu Trotschke. W 1724 r. majątek został zlicytowany. W 1765 r. dobra kupił hrabia Henryk von Reuss i to on w 1876 r. zlecił rozbudowę starego pałacu w formie, która przetrwała do dziś. Jest to modna w tamtym czasie francuska rezydencja „między dziedzińcem

a ogrodem". W 1902 r. do głównego budynku pałacu dobudowano skrzydło. Cały obiekt jest podpiwniczony, kwadratowe okna doświetlające piwnice są zabezpieczone autentycznymi dekoracyjnymi kratami.

Pałac zbudowany został na planie litery L, z wieżami przy skrzydle południowym i u północnego boku, ma trzy kondygnacje. Autorem ostatniej przebudowy był austriacki architekt Viktor Rumpelmayer. Nad głównym wejściem widnieje herb Reussów w ozdobnym kartuszu. Wewnątrz zachowały się oryginalna klatka schodowa ze starą stolarką, sztukaterie w dawnej sali balowej i żeliwne schody prowadzące do skrzydła bocznego.

Zanim znajdziemy się na dziedzińcu, a potem w pałacu, musimy przejść przez okazałą bramę, której szczyt zdobiją heraldyczne lwy. Duży dziedziniec zajęty jest przez okrągły klomb obrosnięty wiekowymi drzewami.

Do pałacu przylega park krajobrazowy o powierzchni 11 ha. Jego ozdobą jest starodrzew, m.in. dęby i platany. Według inwentaryzacji drzewostanu z 1989 r. rosną tu 1463 drzewa 47 gatunków. W głębi parku pozostały resztki świątyni dumania.

Do szkoły podstawowej w pałacu chodzi 362 uczniów, do przedszkola 71 maluchów. W dniu, w którym odwiedza Trzebiechów, trwa strajk nauczycieli. W holu dyżurują pracownice przedszkola Anna Gubera i Andżelika Pawlik. Jest czas egzaminów, uczniowie piszą zadania, kłopotów z pozyskaniem kadry nauczycielskiej do komisji nie było.

Ale jest kłopot z pałacem. W zeszłym roku strażacy skontrolowali pomieszczenia szkolne, zauważyli, że dach jest nieszczelny, woda zalewa sale przedszkola i zobowiązali panią wójt do przeniesienia placówki w inne miejsce do końca sierpnia br. W Trzebiechowie nie ma wolnych obiektów, przedszkole trzeba po prostu wybudować, więc Izabella Staszak szuka pieniędzy na ten cel. Ma pomysł, zwrócić się z prośbą do Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej o dotację na miejsca żłobkowe (20) i przedszkolne (100) w wysokości 600 tys. zł. Ale to oczywiście nie wystarczy, pieniędzy trzeba szukać dalej. Dokumentacja budynku przedszkola ma być gotowa do końca czerwca.

– Najlepszym wyjściem byłaby sprzedaż rezydencji. Sprzedam i pałac,

i park za złotówkę. Warunki są dwa – nabywca musi wybudować szkołę i mieć pomysł na wykorzystanie pałacu. W okolicy są zabytkowe obiekty wykupione przez osoby prywatne, nic w nich się nie dzieje, popadają w ruinę. Tak zmarnować pałacu nie dam – zastrzega Izabella Staszak.

Kłopot z położeniem nowego dachu (powierzchnia 1,8 tys. m kw.) okazał się tak duży, że gmina nie jest w stanie udźwignąć kosztów remontu. Wojewódzka konserwator zabytków zaleciła jako materiał do pokrycia nie blachę, jak teraz, lecz sztuczny łupek.



Wójt Izabella Staszak nie da zmarnować pałacu.

Izabella Staszak obliczyła, że na pokrycie dachu potrzebowałaby ok. 3 mln zł. Czasem myśli, że gdyby Urząd Marszałkowski w Zielonej Górze pomógł, że gdyby Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ją wsparło... Pojedzie do Warszawy, będzie walczyć.

Prace Henry'ego van de Velde

W Trzebiechowie czuje się oddech niezwyklej historii i wpisany w nią los książęcej rodziny von Reuss. Szczególną rolę w tej historii odegrała księżna Marie Alexandrine, siostrzenica rosyjskiego cara, która w 1876 r. wyszła za mąż za starszego od niej o 24 lata Heinricha VII. Wesele w Weimarze trwało trzy dni, a po weselu księżna przyjechała do dóbr w Trzebiechowie, gdzie spędziła resztę życia.

Małżeństwu urodziło się sześćioro dzieci. Jedna z córek chorowała na gruźlicę i wyjechała na kurację do Szwajcarii. Wówczas Marie

Alexandrine postanowiła wybudować naprzeciwko pałacu sanatorium przeciwgruźlicze oraz dom lekarza z mieszkaniem i gabinetami lekarskimi. Wykupiła grunty od chłopów, prace projektowe i nadzór nad budową zleciła architektowi Maxowi Schündlerowi, natomiast do aranżacji i wyposażenia wnętrza zaangażowała Henry'ego van de Velde, belgijskiego malarza, architekta, projektanta mebli i wnętrz, uznanego za mistrza europejskiej secesji. W Europie wykonał 300 zleceń, m.in. dom lekarza w Brukseli oraz kompleks architektoniczny teatru w Kolonii.

Gdy księżna zaangażowała go do prac w Trzebiechowie, przebywał w Weimarze u jej bratanka, na dworze wielkiego księcia Wilhelma Ernesta von Sachsen-Weimar-Eisenach jako doradca w dziedzinie sztuki. Podjął się zadania, dwukrotnie odwiedził Trzebiechów i czuwał nad aranżacją i wyposażeniem wnętrza sanatorium oraz domu lekarza, związanego specjalnym łącznikiem z głównym budynkiem lecznicy. Zaprojektował okna, drzwi, schody, ławki, a także ogród zimowy, czyli oszkloną oranżerię. Zdecydował o kolorystyce ścian, które ozdobione są malowidłami szablonoowymi, o kolorystyce stolarki, a także o kształcie klamek. Najintensywniejsze prace trwały w latach 1901-1903.

W 1905 r. sanatorium otwarto dla kuracjuszy. Jego losy były różne – w 1908 r. placówka zbankrutowała, odżyła dopiero w 1920 r., gdy znów stała się sanatorium przeciwgruźliczym Fundacji Vollmar. Ordynatorem został wówczas dr Curt Schelenz, który pracował w Trzebiechowie do 1945 r. Po wojnie władze polskie nie zmieniły charakteru sanatorium, dopiero w 1974 r. przekształcone zostało w dom pomocy społecznej.

Z braku pieniędzy, a także głębszego zainteresowania zabytkiem, ani sanatorium, ani dom lekarza nie były gruntownie remontowane. Paradoksalnie dzięki temu w dużej mierze zachowały się w stanie nienaruszonym prace Henry'go van de Velde. Przypadkowo w roku 2003 odkrył je wnuk dr. Curta Schelenza, Erwin Bockhorn von der Bank. Nasłuchał się od dziadka opowieści o Trzebiechowie, zaczął odwiedzać miasto w latach 90. W 2003 r. przyjechał w konkretnym celu – przywiózł fotografie prac wybitnego artysty i porównał je z tym, co zobaczył w dawnym sanatorium ▶

► i w domu lekarza. Kolejne wizyty potwierdziły przypuszczenia, że autorem prac w Trzebiechowie jest Henry van de Velde. Dowodzi tego również zachowana korespondencja między księżną von Reuss a Belgiem. Po tym odkryciu w Trzebiechowie odbyły się dwie konferencje naukowe na temat znaczenia prac tego twórcy, zorganizowane w latach 2005 i 2016. Na pierwszą przyjechała krewna z bocznej linii rodu von Reuss.

W domu pomocy społecznej przebywa 105 mieszkańców, sześć osób czeka na przyjęcie. Mieszkańcy są leciwi, jedni chodzą, drudzy poruszają się na wózkach inwalidzkich i z pewnością nie doceniają wartości zabytkowych sal, korytarzy czy schodów. Cieszy ich chyba jedynie oranżeria, bo tu zorganizowane są uroczystości świąteczne i okolicznościowe, np. imieniny. Do domu przylega trzyhektarowy park. Wymaga odnowienia i pielęgnacji.

Dziś w zabytkowym domu lekarza na piętrze są mieszkania, a na parterze administracja oraz siedziba Stowarzyszenia na rzecz Odnowy i Rewaloryzacji Dzieła Henry'ego van de Velde w Polsce. Latem przyjeżdżają turyści, wchodzą do obiektów jak do muzeum, kupują bilety i oglądają dzieło mistrza. Po odkryciu prac Henry'ego van de Velde wnętrza obu budynków zostały odnowione pod nadzorem konserwatorskim kosztem 2 mln zł.

Ślad działalności rodu von Reuss widoczny jest też w obiektach sakralnych. W 1823 r. książęca para zleciła budowę nowego kościoła w Trzebiechowie. W 1880 r., w niedalekiej wsi Podlegórz, także na ich zlecenie, wybudowano nowy kościół na gruzach starego, według projektu wiedeńskiego architekta Viktora Rumpelmayera, tego samego, który czuwał nad rozbudową pałacu.

W pobliżu kościoła, na cmentarzu znajduje się okazały, zabytkowy grobowiec właścicieli dóbr trzebiechowskich. Książę Heinrich VII von Reuss

W okolicy są zabytkowe obiekty wykupione przez osoby prywatne. Popadają w ruinę. Tak zmarnować pałacu nie dam – mówi wójt.

zmarł w maju 1906 r., jego żona Marie Alexandrine von Reuss także w maju, ale w 1922 r. – Musiałam tam zrobić porządną drogę, bo latem wiele wycieczek odwiedza i grobowiec, i zabytkowy kościół – mówi Izabella Staszak.

Współpraca z Niemcami

W 1997 r. Lubuskie dotknęła klęska powodzi. To wówczas niemieccy sąsiedzi okazali mieszkańcom polskich miast i gmin wielką pomoc. Trzebiechów nie ucierpiał, ale zalane zostały pola uprawne. W gminie pojawili się niemieccy darczyńcy.

Izabella Staszak jako sekretarz gminy poprosiła wtedy biuro Euroregionu

nu Sprewa-Nysa-Bóbr o wskazanie partnera do współpracy po stronie niemieckiej. Partnerem została przygraniczna gmina Schenkendöbern, z porównywalną liczbą mieszkańców (3,6 tys.). Obie gminy współpracują od 20 lat. Izabella Staszak nie zna niemieckiego, ale po niemieckiej stronie kilka osób mówi po polsku. Ona zna za to wszystkich urzędników, nawiązały się przyjaźnie. – Jeżdżę tam jak do rodziny. Spotykamy się nie tylko oficjalnie w urzędzie, lecz również prywatnie, w domach.

Zaprzyjaźniły się też wsie. Najbardziej chyba mieszkańcy Swarzynic z mieszkańcami Bärenklau. Każdego roku 6 stycznia niemieccy seniorzy przyjeżdżają do Swarzynic, jest okolicznościowe przyjęcie oraz występy przedszkolaków. Swarzyniczki seniorzy z kolei jadą do niemieckich partnerów w czerwcu na spotkanie o podobnym charakterze.

Burmistrzem Schenkendöbern od lat jest Peter Jeschke. Będzie pełnił tę funkcję do końca roku, potem przejdzie na emeryturę. Oboje, pani wójt i niemiecki burmistrz, zabiegają o fundusze unijne z programu Interreg. I są powody do radości. Za 2 mln zł z Interregu w Podlegórzcu powstało boisko z szatnią i świetlicą. Teraz trzeba podjąć starania o fundusze na boisko wielofunkcyjne w Trzebiechowie. Izabella Staszak wybiera się do Petera Jeschkego, żeby ustalić strategię działania w tej sprawie.

Nie można dziś żyć historią, trzeba patrzeć w przyszłość. Władze gminy zaplanowały dalszą modernizację dróg, bo część już poprawiono. Gdy zwiedzamy zabytkowy park na tyłach pałacu, pani wójt patrzy za ogrodzenie. Trwa tam budowa nowoczesnej oczyszczalni ścieków – koszt inwestycji 8,9 mln zł. W zeszłym roku wybudowano 41 przydomowych oczyszczalni ścieków. Kolejną ważną dla mieszkańców inwestycją jest sieć gazowa. Pierwszy etap prac już rozpoczęto.

Planów inwestycyjnych jest sporo. Ale w zabytkowym parku warto się poddać refleksji. Czas płynie, odchodzą ludzie, niektórzy pozostawiają po sobie wyjątkowy ślad jak rodzina von Reuss czy Henry van de Velde.

Regina Dachówna



Wyślij SMS o treści ALLADYN pod numer 74567 i pobierz tapetę koszt 4,92 zł z VAT

Alladyna spotkał pierwszy raz w Skaryszewie, na największym w Europie targu koni. Kupował go rumiany, trochę bełkoczący gospodarz. Doskonale wpasował się we wszechobecny folklor, gromkie śpiewy i zapachy rychłej w tym roku wiosny. Byliśmy pewni, że ten potężny koń miał trochę szczęścia. W końcu ominął go kierunek, w którym jadą setki ciężarówek wypełnionych końmi. Kimkolwiek był rumiany gospodarz, zdawał się lepszą opcją.

Minęły 2 miesiące. Historia zatoczyła koło. Alladyn znowu stanął przed naszym obiektywem. Gospodarz nie szczędził mu przekleństw. Kupił pięknego konia, który miał niecałe 3 lata, był ogierem i wnętrzem - i oczekiwał, że Alladyn już w maju będzie wozził turystów po krakowskim rynku.

Alladyn nie sprostował oczekiwaniom. Kastracja w klinice byłaby już luksusem, młodzieńcy pęd do zabawy i psot nie przysporzył mu sympatii gospodarza i jego żony.

I tak Alladyn stanął znowu w punkcie zero. Gospodarz chce szybko zakupić innego konia i wylicza swoje straty, bo Alladyn na siłę zaprzęgany do bryczki rozniósł ją w pył, gdy wpadł w panikę.

Mówi się, że zwierzęta, zanim się urodzą, wybierają swoje przeznaczenie. Alladyn urodził się w kraju ułanów, w kraju, którego historia napisana od Mongołów i Tatarów wiodła przez setki lat na końskim grzbiecie, w kraju Kasztanki Piłsudskiego. Czy Alladyn wiedział, co czeka go wśród narodu, który tak miłował konie?

Łaciaty, potężny koń spogląda w obiektyw czarnymi jak węgiel oczyma. Dumny, piękny, trzęsie się ze strachu i zaczyna nerwowo wbiegać na ściany, gdy za nami staje właściciel z batem.

"Oszukano mnie! Albo wy zabierzecie to ściervo, albo skończycie tam, gdzie miejsce takich końskich szmat" - rzucił nam na koniec właściciel.

Mamy czas do 5 maja, aby zabrać Alladyna do kliniki. Musimy zapłacić 9500 zł za konia, i 6000 zł za kastrację.

Człowiek wiele setek lat wstecz oswoił konia. Ale nigdy nie poczuł się odpowiedzialny za to, co oswilił. Czy Mały Książę z książki Antoine de Saint Exupéry'ego przesadzał?

Dziś możesz podarować życie. Z okazji wiosny, nadchodzącego dnia dziecka lub imienin sąsiadki. Powód jest bez znaczenia. Po prostu - bo pomaganie i ratowanie życia jest fajną sprawą. Poczuj to, wesprzyj Alladyna. Bez Ciebie nie ma szans na nic poza rzeźnią.

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem ALLADYN na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus, ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488, www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj
Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/kmk>

Boski Léon

Edward Mikołajczyk

Zmarł jak zwycięski bóg (uwaga: to nie ja tak piszę, autora ujawnię za chwilę), przy akompaniamencie donośnego końca świata, jak w operach Wagnera. Odejść w ten sposób, to odrodzić się z nadludzką siłą w wyobraźni narodu, w legendzie, która nigdy już nie zgaśnie.

Nie będzie żadnej zgadywanki, kto i kiedy dzielił się ze światem metaforą sięgającą aż do nieba, bo sprawa jest zbyt poważna, żeby robić tutaj teleturniej. Odpowiadam bez pytania. Nazwisko: Léon Degrelle, a okoliczności takie: wtorek, 1 maja 1945 r., kawaler Krzyża Rycerskiego z liśćmi dębowymi, któremu niedawno Adolf Hitler powiedział na osobności, że chciałby mieć takiego syna, ucieka przed odpowiedzialnością i jest już chyba w Norwegii, gdzie właśnie mu doniesiono, że jego „zwycięski bóg” nie żyje.

Podobnie jak wielu czytelnikom dzisiaj, mnie również przez wiele, wiele lat nazwisko Degrelle’a było nieznane. Można powiedzieć, że dopiero polski wydawca jego wspomnień zatytułowanych „Front wschodni 1941-1945” nie tyle przybliżył Polakom tę postać, ile w ogóle wstawił tę figurę do galerii upiórów cywilizacji europejskiej. Dla oddania sprawiedliwości należałoby jeszcze przypomnieć, że przeciwnicy wydania książki poszli do sądu. Nie wiem, jak to się skończyło, ale można przypuszczać, że rozprawa trwa.

Nie da się czytać tej książki bez ciskania nią o ścianę przynajmniej dwa razy na każdej stronie. Degrelle nie dostał riterkrojca za darmo, w dorobku miał jeszcze najwyższe odznaczenie piechoty, mianowicie złotą odznakę za walkę wręcz. Miał zatem papiery na osobisty udział w co najmniej 50 starciach. Ten zdolny belgijski polityk, twórca i przywódca katolickiego ruchu społecznego Christus Rex, poszedł na wojnę na ochotnika. Pojechał na front wschodni z legionem walońskim, którego był organizatorem, awansował od szeregowca do dowódcy brygady. Po wojnie skazano go w Belgii na karę śmierci, ale śmierć go dopadła w roku 1994 w Hiszpanii, bez mała pół wieku później. Nie wiem, jak wtedy się nazywał, początkowo bowiem ukrywał się pod przybranym nazwiskiem jako Henryk Duran, tak jest – Polak!

6 maja 1945 r., w niedzielę, przyjął Degrelle’a w Oslo, na zamku następcy tronu księcia Olafa, niemiecki gubernator, dr Josef Treboven. To chyba było już ostatnie w Europie miejsce, i ostatnie godziny, kiedy obaj mogli czuć się bezpiecznie. Pili stary, dobry (opinia Degrelle’a) koniak, a do kompanii brakowało im tylko Vidkuna Quislinga, premiera marionetkowego rządu Norwegii, po wojnie – symbolu narodowej zdrady i kolaboracji z okupantem. Gubernator prosił gościa, aby osobiście odwiedził premiera i go uspokoił.

Rano w poniedziałek, 7 maja, obudziły Degrelle’a okrzyki radości spikerów radia Londyn. Dowiedział się, jak pisze, że została uregulowana kwestia ostatecznej kapitulacji Rzeszy, teraz była to już kwestia kilku godzin, może nawet minut. Udał się jednak do Quislinga. „Rozmawialiśmy o niczym przez prawie pół godziny”, napisze później, a następnie jak paralizatorem porazi czytelnika bystrym spostrzeżeniem, że premier „sprawiał wrażenie, że coś go gryzie”. Królu, Chryste – chciałoby się zawołać – jakaż to wielka literatura!

Degrelle uciekł samolotem do Hiszpanii. Przedtem zdążył jeszcze pochwalić hotelowego burgunda, któremu „nie zaszkodziła wojna”. Na pożegnanie zachwycił się widokiem z królewskiego tarasu, „wypożyczonego” – jak się okazało,



Nie da się czytać książki Degrelle’a bez ciskania nią o ścianę.

tylko na chwilę – niemieckiemu gubernatorowi przez następcę norweskiego tronu. Z zamkowego tarasu – pisze nazigrafoman Léon Degrelle – rozciągał się widok na zatokę, potężną, przepiękną symfonię ciemnego błękitu, brązu i zieleni. „Dlaczego jest tyle nienawiści w sercach ludzi – westchnie na koniec – skoro ziemia jest tak piękna?!”. No, po prostu boski Léon, dziecko zwycięskiego boga!

Bardziej niż osobliwy talent zbrodniarza zdumiewa po słowie Pawła Wieczorkiewicza. Pisze znany historyk, że książka „zostałaby z pewnością obsypana najwyższymi literackimi trofeami z należną jej literacką Nagrodą Nobla, gdyby tylko posiadała słuszne konotacje ideowe”. Nigdy nie uwierzę, że tak napisał Wieczorkiewicz. Nigdy już osobiście się nie upewnię, bo profesor nie żyje. ■

1

 Sony
World
Photography
Awards

Twarze

2



3



4



5



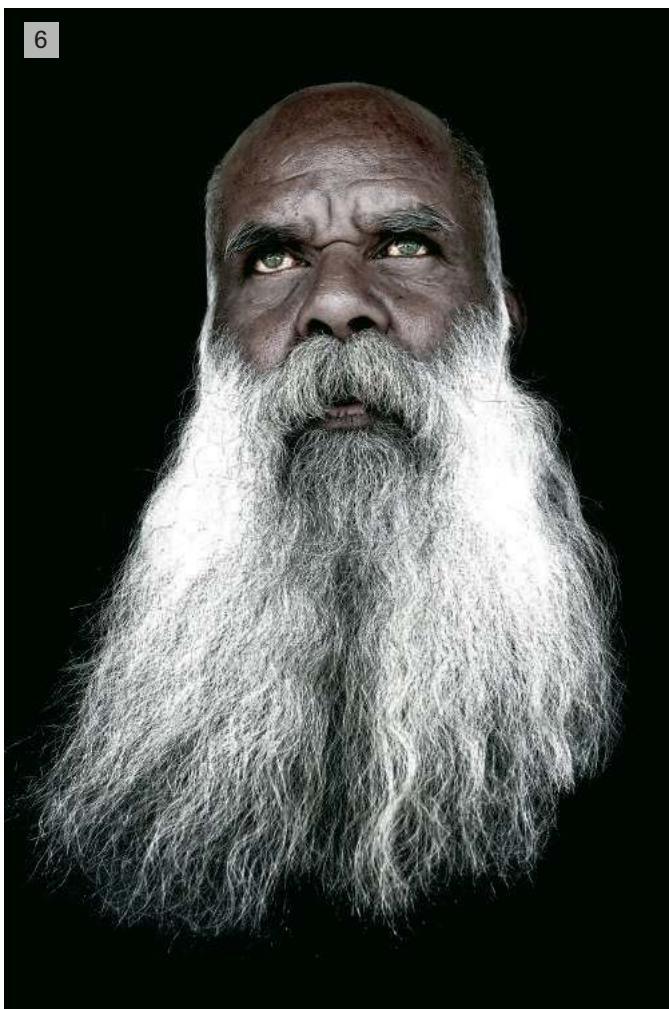
4. **W twoich oczach, Anamaria Chediak, Ekwador**, 1. miejsce w kategorii narodowej.

5. **Bez tytułu, Khanh Phan, Wietnam**, 1. miejsce w kategorii narodowej.

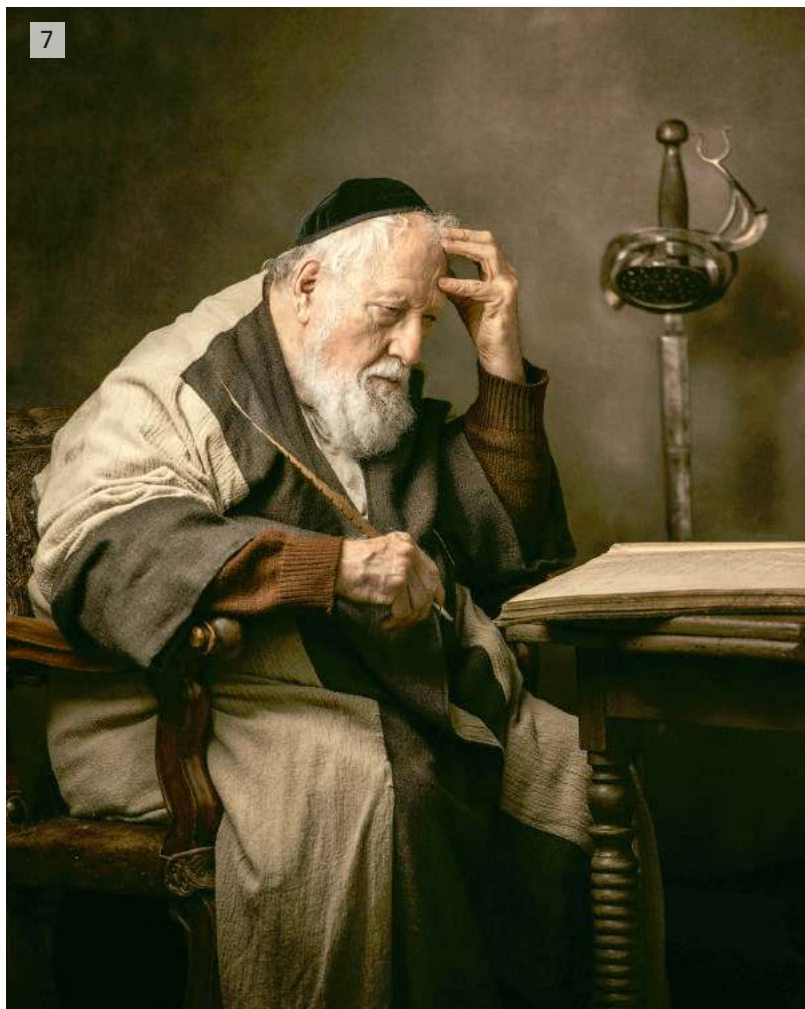
6. **Bez tytułu, Marc Stapelberg, Australia**, 1. miejsce w kategorii narodowej.

7. **Apostoł Paweł, Samuel Monot, Szwajcaria**, 1. miejsce w kategorii narodowej.

6



7



1. **Rybie Oko, Hardijanto Budyman, Indonezja**, 1. miejsce w kategorii narodowej.
 2. **Gumowa tożsamość, Arwe Art, Holandia**, 1. miejsce w kategorii narodowej.
 3. **Agata K, Klemen Razinger, Słowenia**, 1. miejsce w kategorii narodowej.

Wyprzedzić padaczkę

Przełom w leczeniu epilepsji u dzieci

Barbara Jagas

– Badanie USG wykazało, że mój synek ma guzy serca. Lekarz powiedział, że to choroba genetyczna, w wyniku której dojdzie do padaczki. Zaczęto robić badania EEG, które początkowo nie wykazywały żadnych zmian w mózgu. Ale kiedy Adaś skończył roczek, zapisy aparatury zaczęły wskazywać zakłócenia bioelektryczne w mózgu i wtedy zdecydowano się zaaplikować mu leczenie przeciwpadaczkowe. Było to możliwe dzięki programowi naukowo-badawczemu Epistop prowadzonemu przez warszawskie Centrum Zdrowia Dziecka, do którego zakwalifikowano syna. Dziś Adam nie odbiega rozwojem umysłowym od swoich rówieśników. Mówi, chodzi i niedługo pójdzie do szkoły. Nie zachorował na padaczkę – mówi Paulina, matka sześciolatniego Adasia.

Takiego szczęścia nie miała 27-letnia córka pana Andrzeja Chaberkę, wiceprzewodniczącego Stowarzyszenia Chorych na Stwardnienie Guzowate, u której padaczkę wykryto w wieku trzech lat. Urodziła się za wcześnie, by skorzystać z najnowszych zdobyczy medycyny i leczenia przeciwpadaczkowego. Na skutek uszkodzenia mózgu wywołanego przez padaczkę młoda kobieta jest w tej chwili niepełnosprawna intelektualnie i całkowicie zależna od rodziców. – Bardzo ją kocham – od razu dodaje Andrzej Chaberkę, który nie tylko dzieli się informacjami na temat sytuacji córki, ale też aktywnie działa w stowarzyszeniu, pragnąc pomagać innym chorym, których dziś można wyrwać padaczce, bo takie są postępy w neurologii.

Neurony nie kontaktują

Epilepsja jest najczęstszą chorobą neurologiczną. W Polsce cierpi na nią ok. 400 tys. osób, na świecie

Badanie EEG rejestruje aktywność neuronów kory mózgowej.



– 50 mln. Dotyka ona ok. 1% populacji. Jest to choroba centralnego układu nerwowego, charakteryzująca się przerwami w wysyłaniu sygnałów elektrycznych przez mózg. Przerwy powodują trudności w komunikacji komórek nerwowych, co prowadzi do napadów epileptycznych.

Atak padaczki jest przerażającym doświadczeniem. Chory napręża się, sinieje, jego ciało wpada w drgawki, może przygryźć sobie język, a nawet stracić przytomność i przestać oddychać. Łagodniejsze ataki powodują „tylko” dezorientację.

Padaczka może się pojawić w każdym wieku, ale u większości osób ujawnia się przed 20. rokiem życia. Jej przyczyny są różne i często trudne do wykrycia. U dorosłych najczęściej bywa skutkiem urazu

Dotychczas padaczkę u najmłodszych leczyło się za późno.

głowy, nowotworów ośrodkowego układu nerwowego, stwardnienia rozsianego, a także udaru mózgu czy choroby otępiennej. U najmłodszych może być spowodowana uszkodzeniem lub niedotlenieniem mózgu w okresie życia płodowego lub podczas porodu czy tuż po nim. Przyczynami mogą też być np. mózgowe porażenie dziecięce lub choroby genetyczne.

Najniebezpieczniejsza jest padaczka wczesnodziecięca. Jeśli bowiem wystąpi u dziecka między trzecim a piątym miesiącem życia, może spowodować opóźnienia w rozwoju, a w konsekwencji niepełnosprawność intelektualną i autyzm. Związane z tą

chorobą zaburzenia rozwoju, które są zauważalne w drugim roku życia, mają przeważnie charakter trwały i nieodwracalny.

Dzięki nowym odkryciom medycyny można dziś zapobiec tym zmianom. Co więcej, dzieci leczone w nowy sposób normalnie się rozwijają.

Sukces polskich lekarzy

– Dotychczas padaczkę u najmłodszych leczyło się za późno, po wystąpieniu objawów, a dokładnie po zarejestrowaniu co najmniej dwóch napadów, co u większości dzieci prowadziło do opóźnienia rozwoju psychoruchowego. Większe też było ryzyko powstania padaczki odpornej na leki – tłumaczy prof. Sergiusz Józwiak, kierownik Kliniki

Neurologii Dziecięcej Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, który od lat zajmuje się badaniami nad padaczką wczesnodziecięcą. Dopiero teraz, dzięki badaniom prof. Józwiaka, wiemy, że można ją wyprzedzić, stosując w porę leczenie profilaktyczne.

W międzynarodowych badaniach Epistop prowadzonych w 16 ośrodkach naukowych Europy, USA i Australii wzięło udział 101 dzieci chorych na stwardnienie guzowate. Mali pacjenci zostali poddani badaniom, zanim wystąpiły u nich napady epilepsji, a następnie zaaplikowano im leki przeciwpadaczkowe. Obecnie, jak twierdzą specjaliści, prawidłowo się rozwijają i nie zarejestrowano u nich napadów epilepsji. Jest to sukces polskich lekarzy, którzy prowadzili badania przez pięć lat.

Projekt badawczy Epistop został zainicjowany w listopadzie 2013 r. przez prof. Sergiusza Jóźwiaka, wtedy pracującego w Klinice Neurologii, Epileptologii i Rehabilitacji Pediatrycznej Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie. Realizacja programu była możliwa dzięki dofinansowaniu z Unii Europejskiej.

Prof. Jóźwiak zaobserwował, że podłożem epilepsji u najmłodszych może być stwardnienie guzowe. Jest to ciężkie schorzenie genetyczne powodujące rozwój łagodnych guzów nowotworowych w obrębie skóry, mózgu, serca, nerek, wątroby oraz płuc. Najczęściej są to guzy serca. Obecność guza można wykryć zaraz po urodzeniu się dziecka albo jeszcze wcześniej, podczas badań prenatalnych.

Stwardnienie guzowe jest odpowiedzialne za ponad 80% napadów padaczkowych. Ponieważ z reguły występują one między trzecim a szóstym miesiącem życia, a schorzenie można rozpoznać wcześniej, daje to możliwość śledzenia choroby przed wystąpieniem objawów i – co waż-

niejsze – zapobieżenia napadom dzięki leczeniu profilaktycznemu. Wykazali to naukowcy w projekcie Epistop.

Nowe standardy leczenia

– Wyniki badań pokazały, że u naszych pacjentów leczonych profilaktycznie nie wystąpiły ataki padaczki. Rozwój psychoruchowy oraz intelektualny 80% z nich okazał się prawidłowy – na tyle, że mogą chodzić

Polscy lekarze wykazali, że można zapobiec napadom padaczkowym.

do szkoły razem rówieśnikami. Jest to ogromna zmiana w porównaniu ze stanem dzieci, które są leczone dopiero po wystąpieniu napadów epilepsji – w tej grupie tylko 20% rozwija się umysłowo w sposób prawidłowy – mówi prof. Sergiusz Jóźwiak.

Polski naukowiec już w 2006 r. zainicjował w Klinice Neurologii, Epileptologii i Rehabilitacji Pediatrycznej CZD pilotażowe badania nad padacz-

ką. Niewielką grupę pacjentów ze stwardnieniem guzowym poddano leczeniu przeciwpadaczkowemu po stwierdzeniu wyładowań w mózgu, ale przed wystąpieniem drgawek. Już wtedy okazało się, że ta terapia jest skuteczna, ale badanie wykonano na zbyt małej próbie. Dopiero wyniki programu Epistop, w którym uczestniczyła większa liczba dzieci, zostały uznane przez świat medyczny za przełom w leczeniu padaczki.

– Mamy nadzieję, że przyczyni się to do opracowania nowych standardów wykrywania i leczenia epilepsji, a tym samym pomoże wyprzedzić tę chorobę i jej konsekwencje. Możliwe, że podobnie będzie można w przyszłości wykrywać symptomy innych padaczek i wcześniej rozpocząć leczenie – mówi prof. Jóźwiak.

Polskie badania doprowadziły też do zidentyfikowania genów i białek odgrywających kluczową rolę w rozwoju epilepsji i powstawaniu lekooporności epilepsji, co może posłużyć do odkrycia nowych celowanych leków przeciwpadaczkowych. ■

MOTOAS INTERII

WYBIERZ NAJLEPSZE MODELE SAMOCHODÓW

WYGRAJ NIESAMOWITE NAGRODY

NAGRODA GŁÓWNA
YAMAHA
NMAX 125

interia

MOTOAS.INTERIA.PL

Zostawcie ich w spokoju!

Sentinel Północny to jedno z najbardziej odizolowanych miejsc na świecie. Jego mieszkańcy reagują agresją na każdą próbę kontaktu



Nieproszeni goście są witani strzałami z łuków i włóczniami.



Paweł Drąg

Długo trzeba szukać cząstki świata, o której wciąż niemal nic nie wiemy. Bez wątpienia jednak zalicza się do takich miejsc Sentinel Północny, niewielka wyspa w Zatoce Bengalskiej. Ale czy jako społeczeństwo jesteśmy w stanie zaakceptować swoją niewiedzę? Jak dokumentuje historia, zawsze przychodzi nam to z trudem. Ustawa z 1956 r. o ochronie plemion na Andamanach i Nikobarach zabrania podróżować na Sentinel Północny i zbliżać się do wyspy na odległość mniejszą niż 5 mil morskich, czyli ponad 8 km. Wszystko to z myślą o rdzennych mieszkańcach, by zminimalizować ryzyko zarażenia ich chorobami, na które nie są odporni. Choć to niejedyny powód. Przede wszystkim miejscowi reagują wojowniczo na każdą próbę kontaktu ze strony przedstawicieli obcego dla nich świata. Sprawa jest na tyle poważna, że obszar ten znajduje się pod stałą kontrolą indyjskiej marynarki wojennej.

Nominalnie wyspa należy do okręgu administracyjnego Południowego Andamanu, części indyjskiego terytorium związkowego wysp Andamany i Nikobary. W praktyce rząd Indii uznaje ją za suwerenną jed-

nostkę, głównie pełniąc funkcję monitorującą. Mimo to raz na jakiś czas do światowych mediów docierają informacje o śmiałkach próbujących nawiązać kontakt z Sentinelczykami. Zawsze kończy się to w podobny sposób – nieproszeni goście są witani strzałami z łuków i włóczniami. O wyspie wspominał w kronikach nawet Marco Polo, chociaż badacze zgodnie twierdzą, że najprawdopodobniej nie udało mu się postawić na niej stopy. Nie przeszkodziło mu to pisać, że tubylcy są „brutalną i dziką rasą, mającą głowy, oczy i zęby podobne do psich”. Dodawał również, że „są okrutni, zabijają i jedzą każdego obcego”.

W 1867 r. indyjski statek handlowy rozbił się na okolicznych rafach, a po trzech dniach spędzonych w pobliżu plaży załoga została zaatakowana przez localsów. Odrobinę więcej wiemy o wyprawie z 1880 r. Wówczas badacze, pod kierownictwem 20-letniego administratora rządowego Maurice’a Vidala Portmana, porwali z wyspy dwoje starszuchów oraz czwórkę dzieci, by zbadać ich zwyczaje i poddać europejskiej edukacji. Strzępki dostępnych informacji wyjaśniają, że ekspedycja zakończyła się spektakularną porażką – choroby tamtych czasów bardzo szybko zabiły dorosłych Sentinelczyków. Jedna

Według różnych źródeł na wyspie żyje od 50 do 400 Sentinelczyków, ale ich liczba maleje.

z osób przebywających na statku napisała, że cała grupa „się rozchorowała, a starzec i jego towarzysza zginęli, więc czworo dzieci zostało odesłanych do domu z prezentami”. Nikt wtedy nie uznał, że ekspedycja mogłaby się przyczynić do epidemii na wyspie poprzez rozprzestrzenienie się patogenów pochodzących z naszej cywilizacji. W notatkach jednego z oficerów znaleziono za to wpis, że „tubylcy mają idiotyczny wyraz twarzy i dziwny sposób zachowania”.

W 1974 r. szczęścia spróbowała ekipa National Geographic, która zamierzała nakręcić dokument o mieszkańcach wyspy. Gdy tylko udało się jej pokonać rafę koralową, została ostrzelana z łuków. Jedna ze



John Allen Chau
został zabity przez
Sentinelczyków
w listopadzie 2018 r.

strzał trafiła reżysera w udo. W tym samym czasie, w miejscu poza zasięgiem łuczników, uzbrojeni policjanci złożyli na plaży kilka darów, m.in. świnie, lalkę, przybory kuchenne oraz kokosy. Zaskoczenia nie było – i tym razem wizyta nie spotkała się z pozytywną reakcją. Tubylcy zabili świnie, po czym pochowali ją wraz z lalką w ziemi. Pozostałe przedmioty zabrano.

W 1981 r. statek towarowy „Primrose” utknął na rafie. Załoga desperacko walczyła o życie, powstrzymując miejscowych zaimprovizowaną bronią. Próby wezwania pomocy długo pozostawały bez echa. Ostatecznie po mniej więcej tygodniu rozbitków wypatrzyła i uratowała załoga helikoptera ratunkowego indyjskiej Korporacji Naftowej i Gazowej (ONGC).

Rok 1991 był wyjątkowy. Właśnie wtedy kolejna wyprawa naukowców, pod przewodnictwem Triloknatha Pandita, spotkała się z najprzejrzystszą reakcją w historii. Członkowie plemienia gestem nakazali przybyłym rzucać prezenty, a następnie po raz pierwszy podeszli do obcych ludzi bez broni. Kokosy i inne produkty były wtedy przekazywane niemal z rąk do rąk. Kiedy wszystkie podarki zostały wręczone, miejscowi spokojnie odeszli w głąb puszczy. Później nie zarejestrowano już równie otwartego nastawienia.

W 2004 r. wyspy Oceanu Indyjskiego nawiedziło tsunami. Wydawało się nie do pomyślenia, że wyspiarze z Sentinelu mogli przeżyć w miejscu leżącym bezpośrednio na trasie kataklizmu. Kiedy jednak helikopter przeleciał nisko nad wyspą, jeden z mężczyzn wybiegł na plażę,

celując w pilota i wykonując gest, który sugerował, że goście nadal są tu nie mile widziani. Tubylcy, zupełnie sami w obliczu katastrofy, która pozbawiła dachu nad głową miliony ludzi i pochłonięła tysiące istnień, raz jeszcze dali sygnał, że nie chcą i nie potrzebują nikogo. Poradzili sobie, chroniąc się w wyższych partiach wyspy.

Bez skrupułów potraktowano również dwóch kłusowników w 2006 r., którzy zostali schwytani przez mieszkańców i brutalnie zabici. Mężczyzn pochowano w płytkich grobach, co miało być odczytane jako ostrzeżenie, by trzymać się z dala od tego miejsca. – Wciąż podkreślamy, że nie powinno być dalszych prób kontaktowania się z Sentinelczykami i nakłaniany do przestrzegania tego administrację Wysp Andamańskich. Postulujemy także powstrzymanie kłusownictwa wokół wyspy, które doprowadziło do śmierci rybaków w 2006 r. Ważne jest, aby pozwolić plemieniu żyć w pokoju na wyspie. Wszelki kontakt z innymi ludźmi

Wszelki kontakt Sentinelczyków z innymi ludźmi doprowadzi do tragicznych konsekwencji po obu stronach.

ostatecznie doprowadzi do tragicznych konsekwencji po obu stronach – mówiła Miriam Ross z organizacji Survival International, zajmującej się ginącymi plemionami.

Świat znów przypomniał sobie o Sentinelczykach w listopadzie 2018 r. Wtedy 27-letni blogger i podróżnik John Allen Chau, który przybył z misją krzewienia chrześcijaństwa, zatrudnił okolicznych rybaków, by nielegalnie przewieźli go w okolice wyspy. Mężczyźni na to się nie zgodzili, ale pomogli mu podpłynąć całkiem blisko. Johnowi udało się nawiązać kontakt z mieszkańcami, w pewnej chwili jednak któryś strze-

lił w jego kierunku z łuku. Amerykanin odpłynął wtedy do czekającej na niego łodzi rybackiej. „Krzyknąłem: nazywam się John, kocham was i Jezus was kocha”, opisał spotkanie. Następnego dnia wrócił na wyspę. Został zabity jeszcze na plaży, tuż po wyjściu z kajaka.

O Sentinelczykach wiemy niewiele. Według różnych źródeł żyje ich na wyspie od 50 do 400, ale z całą pewnością jest to liczba malejąca. Uważa się, że funkcjonują w trzech niewielkich zespołach. Budują dwa typy domów – duże chaty z kilkoma paleniskami dla wielu rodzin oraz tymczasowe schronienia, prowizoryczne szałas. Kobiety noszą sznurki z włókien przywiązane do talii i szyi, a mężczyźni naszyjniki i opaski na głowę, a także szerokie pasy biodrowe. Żywią się rybami oraz kokosami, ale w skład ich diety wchodzi również ptaki i żółwie. Sentinelczycy najprawdopodobniej nie znają rolnictwa. Budują proste łodzie do przemieszczania się na płytkich wodach. Nie ma tu żadnego naturalnego portu, a cała wyspa, poza brzegiem, jest zalesiona. W przeciwieństwie do przodków dzisiejszy lud wyrabia narzędzia i broń z metalu, który odyskuje ze statków rozbitych na rafach koralowych. Wśród niektórych antropologów panuje opinia, że Sentinelczycy pochodzą bezpośrednio od pierwszych populacji ludzkich, które miały początek w Afryce i prawdopodobnie mieszkaly na Wyspach Andamańskich nawet przez 55 tys. lat. Dowodem ma być m.in. fakt, że ich język w żadnym stopniu nie przypomina mowy innych wyspiarzy z Andamanów, co sugeruje, że od tysięcy lat mają zerowy kontakt z innymi ludźmi, mogącymi wpływać na ich kulturę.

Sentinel Północny wcale nie jest bardzo oddalony od linii brzegowej i tym samym trudno dostępny. Znajduje się zaledwie 32 km od innych wysp Andamanów, które w przeciwieństwie do niego tętnią życiem – są tam miasta, drogi i rozwinięta turystyka. Czy to jednak powód do radości? Plemiona z sąsiadujących wysp nie przetrwały kolonizacji Brytyjczyków z XVIII w., których przybycie oznaczało sprowadzenie wielu chorób dziesiątkujących populację.

Sentinelczycy wciąż walczą. A my życzymy im w tym wytrwałości. ■

Katharina Jakob

Pies – prymus w nauce o człowieku

Jak wiedzą dzisiaj badacze, żadne inne zwierzę nie stało się takim znawcą ludzi jak pies. Jest mistrzem w odgadywaniu naszego zachowania i interpretowaniu zamiarów. I komunikuje się z nami tak intensywnie i na tak różnorodne sposoby, że wielu ludzi czuje, iż pies ich rozumie, niekiedy lepiej niż istoty ludzkie.

„On rozumie każde słowo”, mówią właściciele psów co najmniej równie często, jak „on nic złego nie robi”.

Ten jedyny w swoim rodzaju związek człowiek-zwierzę stał się ważną dziedziną badań. Wiele instytutów na całym świecie bada, na czym on polega i jak głęboko rzeczywiście sięga. Wśród nich jest także największy obecnie ośrodek badania psów na świecie. Nazywa się Family Dog Lab i należy do Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Lóránda Eötvösa w Budapeszcie. Prowadzi go 55-letni zoolog Adam Miklósi, który jest także kierownikiem całego wydziału. Od założenia w 1994 r. Family Dog Lab opublikowało ponad 100 opracowań i co roku ukazują się nowe. Większość badań skupia się na kwestii, na jakiej zasadzie działa komunikacja między człowiekiem i psem. A także jakie procesy neurologiczne biorą w tym udział.

I tak niedawno węgierscy badacze odkryli, że w mózgach ludzi i zwierząt aktywne są bardzo podobne obszary, gdy chodzi o przetwarzanie głosów. Także reakcja na emocjonalne zachowania, np. płacz lub śmiech, u psów następuje w podobnych rejonach mózgu co u człowieka. Ta zgodność w obróbce informacji społecznych mogłaby być wyjaśnieniem, dlaczego nasze współżycie tak dobrze funkcjonuje. Jednym z wielu wyjaśnień.

To badanie mogło zresztą zostać przeprowadzone tylko dlatego, że pewna badaczka wytresowała biorące w nim udział psy, by przez kilka minut leżały bez ruchu w aparacie

Z pasją nas obserwuje.
Kiedy nie śpi,
w każdej sekundzie
śledzi nasze zachowanie



Badania w Family Dog Lab w Budapeszcie.

do rezonansu magnetycznego przy zachowaniu pełnej świadomości, pomimo dużego hałasu i ciasnoty. Już samo to właścicielowi psa, znającemu strach swojego czworonoga przed gabinetem weterynaryjnym, może wydać się cudem.

Laboratorium dr. Miklósiego znajduje się na brzegu Dunaju i trafia się do niego bardzo łatwo, wystarczy podążać za psami. Siedzą przy wejściu głównym do budynku uniwersytetu, wjeżdżają windą na szóste piętro,

gdzie znajduje się instytut. Wchodzą lub wychodzą albo jako kandydaci do różnych badań, albo dlatego że należą do współpracowników. Po korytarzach wędrują studenci. Niektórzy zbierają się w kuchence, gdzie można zrobić sobie herbatę, stoją razem w grupkach. Korytarz wielokrotnie załamuje się pod kątem prostym. Wszędzie jest gwarno jak w ulu, ale nigdzie nie widać Adama Miklósiego. Czyżby go przeoczyła? Kilka skrętów wstecz i nagle go dostrzegam. Szczupły mężczyzna średniego wzrostu ze szpakowatą bródką. Stoi odwrócony plecami do mnie, przy drzwiach do pomieszczenia konferencyjnego. Rozmawia z kolegami, gestykulując.

Adam Miklósi ma żywy temperament, włosy nieustannie opadają mu na twarz. Ledwie uściśnął mi rękę i przedstawił mnie swoim współpracownikom, już siedzi przy stole konferencyjnym gotowy, by zacząć. (...)

Miklósi nie od samego początku był badaczem psów. Najpierw pracował nad rybami, jednak na początku lat 90. uniwersytet nastawił się na badania czworonogów. Miklósi był wtedy za granicą. Kiedy wrócił, trafił w sam środek reorganizacji wydziału i dowiedział się od swojego profesora, że od tej chwili będą prowadzić prace z psami.

– To był najgorszy dzień w mojej karierze – mówi. Wprawdzie lubił psy, nie mógł sobie jednak w ogóle wyobrazić siebie zaangażowanego w takie badania. To była zupełnie nieznana dziedzina, nie tylko dla niego. Dodatkową nowością było to,

że od początku ustalono, iż nie będą pracować z psami laboratoryjnymi, lecz z takimi, które mają właściciela i przychodzą z zewnątrz. Ale jak mieliby coś takiego planować? Ówczesnego statusu psów zupełnie nie dało się porównać z dzisiejszym. Zwierzęta biegały po podwórkach lub mieszkaly w budach, szczekały, pilnowały domów. Jeszcze długo nie były członkami rodzin o takim znaczeniu, jakie mają dzisiaj. Nie było także szkół dla psów ani trenerów, ani stowarzyszeń

sympatyków psów, ani niczego w tym rodzaju. (...)

23 lata później ten sam Adam Mikłósi nazywa psa, stanowiącego obiekt badań, szczęśliwym przypadkiem. A nawet więcej: odkrycie psa jako obszaru badawczego, mówi, jest prawdziwą rewolucją.

Szczęśliwy przypadek dla nauki

Psy są łatwo dostępne na całym świecie. Indyjski naukowiec może wyjść na ulicę i przeprowadzić eksperyment z 10 psami. To, co odkryje, może bez większego wysiłku sprawdzić kanadyjska specjalistka. W nauce doświadczenia muszą być powtarzalne, w przeciwnym razie nie mają wielkiej wartości. Nauka nie dysponuje tak wielką liczbą króków. Podobnie jest z małpami człekokształtnymi. Ale psy? Nie ma problemu. To istotna przyczyna tego, że prowadzi się nad nimi tak wiele badań i że w tak krótkim czasie uzyskano tyle ciekawych wyników. Obecna pilna krzątania to także próba odrobienia tego, co zostało zaniedbane do lat 90., kiedy jeszcze myśłano, że psy są wilkami, tylko pośledniej jakości. I wydawało się, że poważne badania zwierzęcej inteligencji mogą – o ile w ogóle próbowano je wykonywać – być prowadzone tylko na małpach człekokształtnych.

– Zbyt długo koncentrowaliśmy się tylko na naczelnych i szczurach – mówi Adam Mikłósi.

Prowadziło to także do błędnych wniosków. Przez długi czas małpy człekokształtne były uznawane za najbardziej inteligentne. Uważano, że jeśli one nie dają sobie z czymś rady, to inne zwierzęta tym bardziej nie sprostają wyzwaniu. I tak jeszcze około 20 lat temu zakładano, że żadne zwierzę nie jest w stanie zrozumieć gestów wskazujących, ponieważ nie potrafią tego szympansy. (...)

Podczas gdy początki udomowienia wciąż jeszcze są zagadką, o wiele lepiej znamy jego rezultat: zwierzę z legendarnym darem obserwacji, które do dziś nieustannie doskonali swoją zdolność rozumienia nas, ludzi. Pies z pasją nas obserwuje. Kiedy nie śpi, w każdej sekundzie śledzi nasze zachowanie. Dokładnie przygląda się ludzkim gestom oraz mimice i próbuje odkryć, co też takiego mamy zamiar za chwilę zrobić i co to dla niego

oznacza. Gdy zatopieni w myślach spojrzymy na lodówkę, nie umknie to jego uwadze, bo może przecież oznaczać, że za chwilę pojawi się jedzenie.

W Family Dog Lab, ale też w wielu innych instytucjach w ramach niezliczonych projektów badawczych przebadano, jak się taki dar postrzegania objawia. I tak zdolność rozumienia gestów wskazywania badacze odkryli za pomocą swego rodzaju gry w trzy kubki. W czasie eksperymentu pod nieobecność psa ukrywali smakołyk pod jednym z dwóch kubków. Następnie pies mógł wybierać. Gdy trącił nosem lub łapą niewłaściwy kubek, nic nie dostawał. Zdarzało się to regularnie, kiedy człowiek nie dawał mu żadnych wskazówek. Bez

Psy mają swoje metody, by skłonić nas do działania.

wskazania palcem pies zgadywał i raz trafiał, raz nie. Najwyraźniej dobry węch przy tym zadaniu nie był dla niego żadną pomocą, zawartości naczynia nie dało się wywąchać.

Wyglądało to zupełnie inaczej, gdy prowadząca doświadczenie osoba wskazywała na właściwy kubek. Wtedy większość psów od razu znajdowała smakołyk, przy czym nawet nie było konieczne wskazanie ręką. Wystarczyło, że człowiek tylko spojrzał na kubek albo udzielił wskazówki ruchem głowy. Okazało się przy tym, że już sześciotygodniowe szczenięta opanowują tę umiejętność. Mogłoby to oznaczać, że rozumienie ludzkich gestów pokazywania, pozyskane poprzez długi związek z nami, przeszło do zespołu cech dziedzicznych (genomu). (...)

Jedno z ustaleń z przeprowadzonych badań psów: czworonogi nie tylko potrafią nas wnikliwie obserwować, lecz także mają swoje metody, by skłonić nas do działania. Wskazuje na to pewne doświadczenie, które również przeprowadzono w węgierskim Family Dog Lab. Kiedy psy napotkają nierozwiązywalny problem, wykorzystują ludzi jako narzędzie.

Adam Mikłósi i jego koledzy ukryli kawałki mięsa dla dziewczęciu psów poza ich zasięgiem. Siedem z nich już po minucie przerwało swoje wysiłki dokonywane w celu osiągnięcia pożywienia i w poszukiwaniu pomocy zaczęło spoglądać na swoich właścicieli. Spośród oswojonych siedmiu wilków,

które przetestowano dla porównania, tylko dwa w ogóle nawiązały kontakt wzrokowy ze swoim właścicielem, jednak nie był on tak długi i intensywny jak w przypadku psów. Jest to zrozumiałe, albowiem w świecie wilków patrzenie prosto w oczy uchodzi za agresję. Kto wpatruje się w stojącego naprzeciwko osobnika, z reguły jest nastawiony na kłótnię. Z ludźmi nie można się jednak komunikować, kiedy nie chce się na nich patrzeć. Czy na tym mógłby polegać jeden z powodów, dlaczego człowiek i wilk niegdyś się spotkali? Biolog Mikłósi uważa to za wielce prawdopodobne. Kiedyś we wczesnym okresie udomawiania musiały pojawić się wilki, które zareagowały bardziej ochoczo niż inne na

komunikację w ludzkim stylu, dzięki czemu lepiej nadawały się na towarzyszy i w ten sposób zapoczątkowały ród naszego pierwszego zwierzęcia domowego.

Dzisiaj psy uważają ruchy oczu człowieka za nadzwyczaj interesujące. Śledzą je bardzo dokładnie, jak stwierdzili badacze z Family Dog Labs, posługując się metodą o nazwie *eye tracking* (badanie okولوجraficzne), dzięki której rejestruje się ruchy oczu psa. Jednak selekcja ze względu na zdolności odpowiadające ludzkim nie wyjaśnia jeszcze całkowicie, dlaczego psy tak bezgranicznie zdali się na nas. Jest w tym pewien paradoks. Psy jako zwierzęta domowe żyją w świecie, w którym są całkowicie od nas zależne. Muszą odnaleźć się w środowisku innego gatunku, którego reguły nie są ich regułami. Im lepiej znają ludzi, tym łatwiej im to przychodzi. (...)

Czy wiedzą, co mówimy?

Od kiedy pies żyje z nami, słyszy mówiących ludzi, a kiedy się do niego zwracamy, używamy słów. Czy prymus w nauce o człowieku chwytą także coś z naszej mowy? Kiedy pomyśli się o słynnym psie rasy border collie wabiącym się Chaser, trzeba powiedzieć: tak. Po wieloletniej nauce suka z USA opanowała słownictwo dotyczące 1022 pojęć, głównie nazwy zabawek, które wszystkie potrafi rozróżnić. Ponadto rozumie znaczenie trzech różnych czasowni-

► ków – przynieść, położyć (łapę) i szturchnąć (nosem) – i potrafi je połączyć z zabawkami. Poza tym umie podzielić swoje zabawki na kategorie, wie na przykład, która z nich należy do piłek, a która do pluszowych zwierzątek. Nowych słówek suka uczy się przez to, że porównuje je ze swoim starszym słownictwem, dokładnie tak samo jak małe dziecko podczas nauki języka. Kiedy położy się nieznaną zabawkę na olbrzymiej stercie przedmiotów należących do Chaser i wypowie słowo, którego jeszcze nigdy nie słyszała, wie, że musi to być nazwa nowego obiektu. I dokładnie ten wybiera. Takimi mistrzowskimi umiejętnościami zwykły pies domowy z reguły nie może się wykazać. Ale także on rozumie więcej z tego, co mówimy, niż się dotąd wydawało.

Budapeszteńscy naukowcy już w 2016 r. wykazali, że mózg psa przetwarza dźwięki w obszarach odpowiadających ludzkim. Badania tego rodzaju prowadził 37-letni Attila Andics. Nie był jednak w pełni zadowolony z wyników. Zadał sobie pytanie, czy psy także reagują na słowa, które znają, a jeśli tak, to w jaki sposób. W codziennym potoku języka mówionego stale znajdują się pojedyncze wypowiedzi, które mają dla nich znaczenie, przede wszystkim pochwały, takie jak: „świetnie zrobiłeś”, „super” albo „dobry pies”. I te słowa z kolei są wymawiane przez ludzi z odpowiednią intonacją.

Attila Andics siedzi w kuchence w Family Dog Lab i z entuzjazmem opowiada o doświadczeniu, podczas którego badano psy w aparacie do rezonansu magnetycznego.

– To było niesamowite osiągnięcie Márty – mówi – że nakłoniła psy do tego, by chętnie wskakiwały do środka i leżały tam całkowicie nieruchomo. Márta Gácsi, również biolog, brała udział w tym eksperymencie i tresowała zwierzęta. I rzeczywiście: na nagraniu wideo, które pokazuje mi Andics, można wyraźnie zobaczyć, jak jeden z psów, mały biały mieszaniec, niemalże nie może się doczekać, aż przyjdzie jego kolej. Tańczy wokół nóg badaczy, którzy akurat zakładają labradorowi słuchawki przed wsunięciem go do rury. Raz za razem biały kundelek próbuje wskoczyć na stół do badań.



Podczas badań z wykorzystaniem skanowania mózgu Andics odkrył, że psy rzeczywiście reagują na znane sobie słowa. Ale nie tylko, rejestrują bowiem także intonację, z jaką się do nich mówi – i to w taki sam sposób jak my. (...)

Jak pachnie czas?

Legendarny psi nos nieustannie i wciąż od nowa fascynuje. Psy użytkowe mają za zadanie wykrywać np. występowanie komórek rakowych w ludzkim ciele, trufle w ziemi, najsmakowszą woń materiałów wybuchowych. Jak utrzymuje amerykańska

Kiedy psy napotkają problem, wykorzystują ludzi jako narzędzie.

badaczka psów Alexandra Horowitz, dobrze wytrenowane psy rozróżniają nawet po zapachu jednoajowe bliźnięta. Potrafią jeszcze więcej: wyczuwają nosem czas.

Pomieszczenia, w których przebywamy, pełne są krążących cząsteczek zapachowych. Wśród nich są te, które należą do naszego własnego zapachu, a także te, które przynieśliśmy ze sobą z zewnątrz. Z czasem niektóre zapachy słabną. Dochodzi zatem do zmiany śladów zapachowych w pomieszczeniu i to jest coś, co psy mogą wyczuwać w porządku chronologicznym. Kiedy właściciel psa rano idzie do pracy i zostawia zwierzę, by wrócić koło południa, pies może śledzić zacieranie się ludzkiej nuty zapachowej, która jest obecna w mieszkaniu, i po określonym stopniu pozostałej intensywności

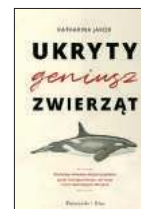
Zoolog Adam Mikłósi karierę naukową poświęcił psom.

rozpoznać, kiedy przychodzi czas powrotu jego człowieka. Pies dosłownie wyczuwa węchem upływ czasu. Rejestruje, jak wraz z podnoszącą się temperaturą ogrzewa się pomieszczenie i przez to zmieniają się cząsteczki zapachowe. Wczesny poranek pachnie inaczej niż popołudnie. To znaczy pies wie także, jak długo czeka już na swojego człowieka. Psy najwyraźniej wcale nie żyją wyłącznie w „tu i teraz”, jak często można przeczytać, co sprawia, że szukającym wymówki właścicielom łatwiej przychodzi zostawianie ich samych na długie godziny.

Także na zewnątrz, kiedy wychodzą na spacer, są w stanie węchem wyczuwać obok siebie przeszłość i teraźniejszość. Ślad zapachowy, jaki dopiero co pozostawił pies sąsiada, uderza im w nozdrza o wiele silniej niż inny, który ma już dobrych kilka godzin. Alexandra Horowitz opisuje, jak bloodhoundy, a jest to rasa psów o fantastycznych zdolnościach węchowych, mogą śledzić zapach zaginionych ludzi jeszcze po kilku dniach i odkrywają także, w którym miejscu drogi dwóch osób się rozeszły. Jak precyzyjnie pracuje psi nos, badacze

sprawdzali w taki sposób, że na jednej z pięciu szyb umieszczali ludzki odcisk palca. Owe fragmenty szkła chowano następnie na różne okresy, od kilku godzin do trzech tygodni. Potem je wyjmowano. Bloodhoundy musiały zidentyfikować szybkę, na której znajdował się odcisk palca. Jednemu psu udało się to 94 razy na 100 prób. On też zidentyfikował węchem fragment szkła z ludzką nutą zapachową nawet po tym, jak przez siedem dni leżała na dachu na świeżym powietrzu, wystawiona na działanie słońca, wiatru i deszczu.

Fragmenty książki
Kathariny Jakob *Ukryty geniusz zwierząt*,
przekład Bartosz Nowacki,
Prószyński i S-ka,
Warszawa 2019



Na nowojorskim bruku

Do czego służą zagraniczne wizyty premiera albo prezydenta? Czyli na najwyższym szczeblu? Ich cel jest dwójaki. Propagandowy i praktyczny.

Cel praktyczny jest oczywisty. Podczas wizyt na najwyższym szczeblu podpisuje się wcześniej wynegocjowane umowy, domawia się istotne dla obu stron sprawy. Jeżeli były wcześniej jakieś niejasności i przeszkody – są one wyjaśniane i odsuwane.

Załatwianiu spraw praktycznych towarzyszy otoczka propagandowa. Wspólne zdjęcia, rozmowy, dziennikarze, kamery, ściskanie dłoni – to wszystko podkreśla, że między dwoma państwami dzieją się ważne rzeczy, najczęściej dobre, że jest współpraca, wspólne działanie, zacieśnianie więzów, wzajemny szacunek, podziw itd. Jest to także sygnał dla innych państw.

No to jak nazwać ostatnią, kwietniową wizytę premiera Morawieckiego w USA?

Premier spędził w Ameryce dwa dni. Był na premierze sfinansowanego przez Polską Fundację Narodową filmu promującego Polskę. Potem na spotkaniu z biznesmenami z Chicago, miał również nieszczęsne spotkanie na Uniwersytecie Nowojorskim.

Porównywał tam polskich sędziów do kolaborantów państwa Vichy. Obrażał ich i deprecjonował. Zupełnie bez sensu, bo jak można jednym tchem zachęcać biznes do inwestowania i mówić, że sądy są do niczego...

Poza tym śmiesznie te słowa brzmią w ustach człowieka, który będąc w Monachium, składał kwiaty na grobach żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej.

Te peregrynacje po USA nie pozostały niezauważone. Między innymi Wojciech Sadurski napisał na Twitterze: „Czy to uchodzi, by polski premier spędził dwa dni w USA

i żaden amerykański urzędnik go nie zauważył? Promował film turystyczny, spotkał się z Polonią, dał wywiad prawicowej telewizji biznesowej i pooszukiwał na poważnym uniwersytecie. Był, a jakoby go wcale nie było”.

A Leszek Miller bezlitośnie dodał: „W czasie pełnienia urzędu prezesa rady ministrów byłem dwa razy w Stanach Zjednoczonych. Za każdym razem przyjmował mnie prezydent Bush w Gabinetie Ovalnym”.

No tak, Morawieckiego nikt nie przyjął – ani prezydent, ani wiceprezydent, ani sekretarz stanu, ani sekretarz obrony. Po prostu nikt.

Ten stan rzeczy świadczy o obecnej pozycji Polski w USA. Warszawa jest ignorowana, traktowana jako wstydlivy, załatwiający antysemityzmem klient, który sam prosi, żeby mu sprzedać jakiś sprzęt wojenny.

Gdyby premier został przyjęty przez prezydenta Trumpa, byłby to ważny sygnał dla społeczności międzynarodowej. Ale sygnałem jest też, że nie został przyjęty. Że płał się po Ameryce ignorowany przez administrację.

Świadczy to również o słabości polskiej ambasady w Waszyngtonie. Lista gości, program wizyty zawsze jest świadectwem sprawności ambasadora i jego ekipy. Jeżeli więc mają szefowi rządu do zaoferowania udział w imprezach polonijnych i nic więcej, to znaczy, że tyle mogą.

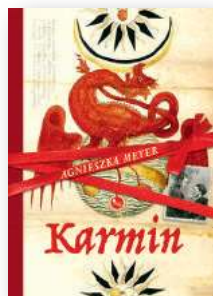
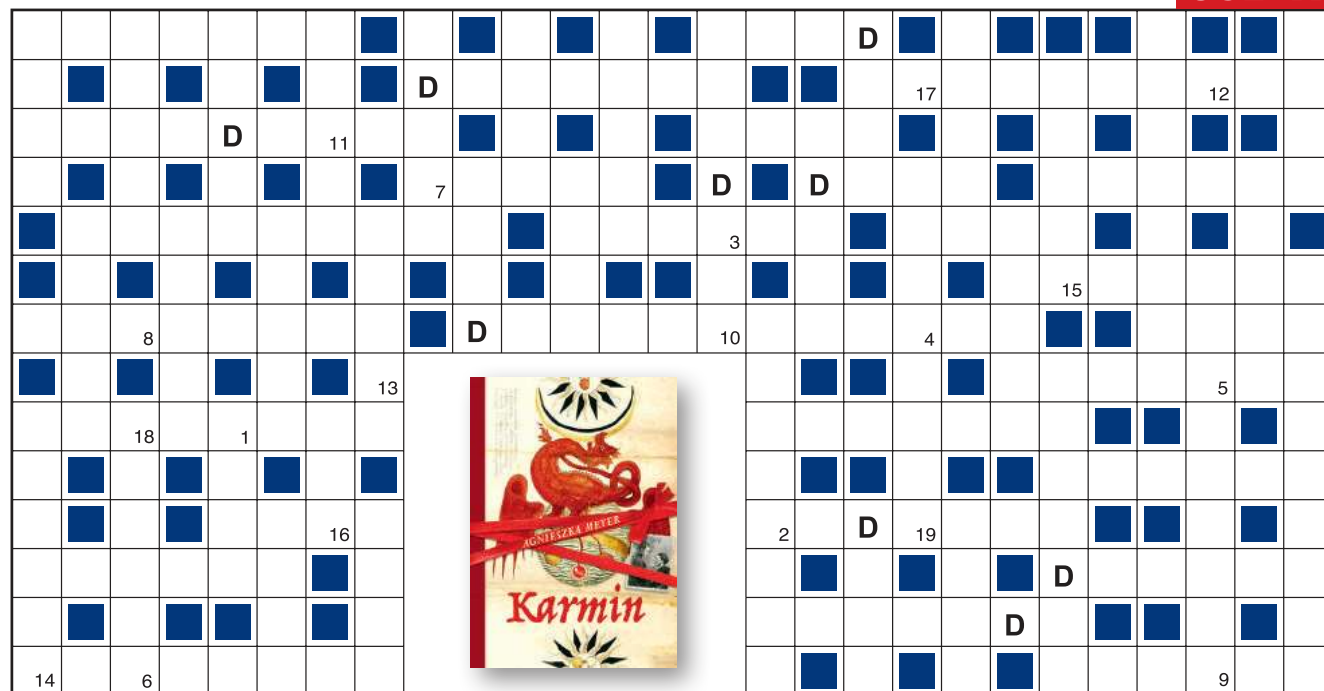
Wizyty w innych krajach, konferencje wielostronne to najprostszy wehikuł, żeby się promować, podkreślać swoją wagę w świecie. Jeśli chodzi o Polskę PiS, rzecz wygląda dokładnie odwrotnie – smętne spacerki Morawieckiego po USA czy konferencja bliskowschodnia w Warszawie, gdzie Polskę stawiano do pionu, pokazują skalę naszej izolacji.

Komuś to zawdzięczamy.

Attaché



Życie po cyklonie – obóz dla mieszkańców, którzy utracili domy, Beira, Mozambik.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- Kulesza, Młynarska lub Passent
- gips na materiał rzeźbiarski
- z zacieru ryżowego lub daktylowego
- do zabawy, nie na szosę
- pojazd w ofercie biura turystycznego
- rzeka i firma kosmetyczna

- na guacamole
- do kina lub na pociąg
- można kogoś z nim zmieszać
- imię partnerki agenta Muldera
- pierwszy występ
- spracowana albo zaciśnięta
- dossier
- rąbane na opał

- jest gaśnicze i przeciwlotnicze
- Bartosiewicz, Jungowska lub Wojtczak
- do tego państwa należą wyspy Galapagos
- krewny ze strony matki
- bieg w Ascot lub na Służewcu
- żołnierz lekkiej jazdy węgierskiej
- duchowny kierujący modłami w meczecie
- wychowanek szkoły wojskowej
- ogon wiewiórki
- wąż, który przyciągał widzów
- np. serologiczny
- największy chordefon smyczkowy
- na szyi krakowiarki

- „...Maciuś Pierwszy”
- ...działa to laweta
- godność i władza monarchy
- Aleksandr Bolszunow lub Federico Pellegrino
- np. nitrofoska
- splot włókien przewodzących bodźce
- dawniej zwany rejenturą
- ...świata to kosmopolita
- wiecha wilka
- zimni w maju
- ocena, opinia
- bodiak
- wlew, wsyp lub odwiert
- w nim wiza
- zadanie zupełnej kłęski
- wchodzi w skład dywizji
- pinczer karłowaty
- ptasi stosowany w ziołolecznictwie
- odpoczynek w parze z rozrywką

- styl „powróćmy jak za dawnych lat”
- leczy gości
- ostatnia w tytule filmu o Beksińskich
- kosmetyk do robienia rumieńców
- zdeławany budynek
- lutz na lodowisku
- przedwyborcze wskazują, kto wygra
- woń spalenizny
- ...jadowity – cykuta
- okres godowy ryb
- film Wajdy, ekranizacja opowiadania Iwaszkiewicza
- zapobiega przywieraniu potraw do patelni
- gruby, wielowarstwowy papier
- wznoszony
- o zakładzie zanieczyszczającym środowisko
- taszczona przez podróżnego

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-907”. Do rozlosowania książki „Karmin” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 maja 2019 r.

Rozwiązanie „JOLKI-904” z 14 kwietnia: Wiosna zawraca w głowie. Nagrody otrzymują: Halina Skoczylas z Warszawy, Zbigniew Szatek z Warszawy, Elżbieta Szymała z Wągrowca.

PENETRACJE

odra

PROF. ADAM CHMIELEWSKI,
FILOZOF, UNIWERSYTET
WROCŁAWSKI

Gdy Rywin przyszedł do Michnika, żądając 17,5 mln dol. łapówki, zaraz potem poszedł do więzienia, chociaż nikt nikomu tych pieniędzy nie dał. Fakt, że obecnie sprawców autentycznych nadużyć nie spotyka kara, jest przejawem bezwstydu. Sprawcy przestępstw, wiedząc o istnieniu politycznego parasola, liczą – często skutecznie – na bezkarność. Jest rzeczą nieprzyzwoitą, że szef NBP uważa za właściwe pozostawać na stanowisku w sytuacji, kiedy ujawniono rzeczy co najmniej niepokojące. Nie zdziwimy się, gdy w najbliższym czasie okaże się, że nasza polityka potrafi upaść jeszcze niżej. Politycy jeszcze nieraz negatywnie nas zaskoczą.

charaktery
magazyn psychologiczny

PROF. SUSAN NEIMAN,
AMERYKAŃSKA FILOZOFKA

Większość neoliberalistów rzeczywiście ślepo wierzy w to, że prawdziwym źródłem ludzkiego szczęścia jest konsumpcja, czego wyrazem był slogan popularny przed kilku laty w USA: „Zwycięża ten, kto zabierze do grobu najwięcej zabawek”. Problem w tym, że nawet jeśli próbujemy żyć w miarę świadomie i nie dajemy się ogłupić szaleństwu konsumpcji, to pewne mechanizmy, np. planowane ograniczenie żywotności produktu, i tak w jakimś stopniu zmuszają nas do brania udziału w tym obłędzie. Komputery są obecnie konstruowane tak, żeby coraz

szybciej się psuły. W efekcie nawet ci, którzy nie chcą kupować wciąż nowych wersji jakiegoś produktu, często są do tego po prostu zmuszani. Jest to system zabójczy dla całej planety.

wysokie obcasy
extra

JOANNA BATOR,
PISARKA

Czasem, i jest to bardzo rzadkie i cenne, twórca znajduje się dokładnie w tym „wieszczym” miejscu, z którego widać, co nadchodzi. Ten dar spotkał mnie, kiedy pisałam „Ciemno, prawie noc” w 2010/2011 r. w Tokio. To, co wówczas nawet mnie samej mogło się wydać przesadą w rodzaju: „rany, co ja piszę?!”, okazało się przepowiednią sytuacji politycznej, jaką mamy teraz. Skłócony kraj, gniewni, zaciętrzewieni ludzie niesłuchający się nawzajem.

PANI

MAGDALENA CIELECKA,
AKTORKA

Fajnie mieć partnera, ale mężczyzna nie jest mi niezbędny do życia. Potrafię też być sama. I równie szczęśliwa. W miłości nie ma reguł. Można być po czterdziestce i popełnić na nowo te same błędy co wtedy, kiedy było się zakochaną po raz pierwszy małolatą. Dlatego nie istnieje instrukcja, jak stworzyć szczęśliwy związek. Ale uważam, że to dobrze. Niech miłość pozostanie na poziomie metafizyki, niech będzie owiana tajemnicą. Gdy nam się przydarza, cieszymy się nią i trwamy w niej jak najdłużej.

Aby język giętki...

ANDRZEJ MLECZKO
O WOJCIECHU PSZONIAKU

Ja go lubię, bo on mnie lubi.

STEFAN CHWIN O RELACJACH Z UE

Wizja partii uległej wobec Unii szkodzi każdemu. Rozsądniejsza jest wizja partii, która lepiej i mądrzej niż PiS broni polskich spraw w Unii.

HELENA BIEDROŃ O SYNU ROBERCIE

Między nami powstała taka prawdziwa miłość, podwójna, dana od serca.

TYMOTEUSZ KUTZ O OJCU KAZIMIERZU

Zwątpił w instytucję Kościoła, nigdy do niego nie wrócił. Jako dzieci zostaliśmy ochrzczeni, ale wszyscy jesteśmy ateistami.

MARIA KONWICKA O OJCU TADEUSZU

Narzekał, że „odziedziczyłam po nim najgorsze cechy” i w związku z tym nawzajem się denerwujemy.

PIOTR GADZINOWSKI
O TOMASZU SAKIEWICZU

Redaktor naczelny „Gazety Polskiej” zwany jest przez prawicowych dziennikarzy „Sakwą” z powodu talentu w załatwianiu sobie pieniędzy.

ANNA CZERWIŃSKA
O FACETACH I GÓRACH

Żaden mnie nie zafascynował tak jak góry. I zawsze jak miałam do wyboru góry albo faceta, to wygrywało to pierwsze.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYK O ŻONIE DANUCIE

To wyjątkowo mocna kobieta. Potrafi chwycić mnie za mordę i powiedzieć: „Zaraz, synku, tu jest nasz dom, tu są dzieci, tu masz ważne rzeczy do zrobienia”.

DANUTA STENKA O SOBIE

Stenka to egzemplarz, który warto jeszcze wykorzystać. Sporo można z niego wycisnąć.

JAN WIECZORKOWSKI O KOLEGACH

Ja lubię się otworzyć, ale mało kto lubi się otworzyć przede mną. Dlatego ucinam pewne znajomości.

MARIOLA BOJARSKA-FERENC
O KOLEŻANKACH

Mówią, że jestem jak otwieracz do konserw. Jak chcę się czegoś dowiedzieć, to dowiem się wszystkiego.



Czaple wykorzystują indonezyjskie bawoły wodne jako punkty obserwacyjne.

Ostrożnie z polityką

Mieszkaniec Indii odciął sobie palec w napadzie wściekłości, po tym jak omyłkowo zagłosował na niewłaściwą partię. Pawan Kumar wyjaśnił dziennikarzom, że zamierzał poprzeć Partię Większości Społecznej, jednak zamiast przycisku ze słoniem będącym jej symbolem nacisnął guzik z lotosem, wspierając Indyjską Partię Ludową. A przecież nie od dziś wiadomo, że brak czujności przy urnie grozi poważnymi konsekwencjami.

Jak by nie spojrzeć – imponujące

Mistrz kung-fu Zhang Yilong ogłosił, że po dekadzie wytężonych treningów opanował starożytną sztukę pryskania płynami z oka. Dzięki temu jest w stanie podlewać kwiaty oraz pisać na suchym papierze przy użyciu mleka. Chińczyk twierdzi, że może rozpylać ciecz na odległość do 1,7 m. Apeluje jednocześnie, by nie próbować tego samemu.

Upiekło mu się

40 tys. euro spaliła w piekarniku mieszkanka północnych Włoch, która chciała upiec strudel. Nie wiedziała, że jej naręczony ukrył w piecyku plik banknotów. Przedsiębiorca przechowywał w domu duże kwoty z nielegalnych źródeł, a ponieważ obawiał się rewizji, korzystał z nietypowych miejsc.

Szczęka zaproszeniem do romansu

Naukowcy z Uniwersytetu Zachodniej Australii dowiedli, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety są w stanie wskazać mężczyzn skłonnych do skoku w bok na podstawie ich wyglądu. Eksperyment wykazał, że ci o rysach uważanych



za męskie (wydatne łuki brwiowe, szeroka szczęka, wąskie usta) nie tylko są częściej oceniani przez nieznaną ich osoby jako potencjalnie niewierni, ale i sami potwierdzają większą liczbę romansów i przypadków niewierności w związkach. Ma to ewolucyjny sens: panom pozwala typować potencjalnych rywali, paniom zaś... No właśnie.

Kradzione jednak tuczy?

W Tulsie w Oklahomie włamywacz próbował dostać się do budynku przez kanał wentylacyjny. Okazał się on zbyt wąski i w efekcie mężczyzna utknął w nim na dziewięć godzin. Uratowali go strażacy, których wezwał właściciel nieruchomości, gdy rano usłyszał jęki dochodzące z wentylacji. Zbyt dobrze odżywionego rabusia pocieszamy: więzienny wikt powinien pomóc odzyskać linię.

W harmonii z Europą

– To są nasze ostatnie decyzje podczas pełnienia tego mandatu. Chciałbym podziękować za pięć lat jedności i różnorodności – powiedział podczas niedawnej sesji Parlamentu Europejskiego europoseł ze Słowenii Alojz Peterle. A ponieważ działo się to w Wielki Czwartek, dodał: „Wesołego Alleluja!”, po czym wyciągnął harmonijkę ustną i odegrał na niej „Ode do radości”, hymn UE. Święta już dawno minęły, a my nadal nie bardzo wiemy, jak to skomentować.

Pozew za straty niemoralne

40-letni Amerykanin pozwał rodziców, po tym jak zniszczyli jego kolekcję filmów i czasopism pornograficznych.





Na ludowo...
po brazylijsku.
Uczestnicy tygo-
dnia mobilizacji
ludności rdzennej
(MNI) przed bu-
dynkiem Kongresu
Narodowego.

Zrozpaczony mężczyzna, który wrócił do rodzinnego domu po rozwodzie, ocenia wartość utraconego skarbu na 29 tys. dol. Od ojca i matki oczekuje od-
szkodowania w wysokości potrójnej wartości kolekcji. Ci bronią się, że działali
w trosce o zdrowie psychiczne potomka.

Rozwój w pozycji lotosu

Sąd pracy dla Berlina-Brandenburgii orzekł, że pracownik ma prawo do płatne-
go urlopu na pięciodniowy kurs pod nazwą „Joga I – szczęśliwa i zrelaksowana
w pracy z jogą i medytacją”. Jak uzasadniono, kurs spełnia kryteria rozwoju
zawodowego, gdyż promuje zdolność adaptacji jednostki. Można w nim uczest-
niczyć w ramach urlopu edukacyjnego, który w wielu niemieckich landach przy-
sługuje zatrudnionym w wymiarze pięciu dni rocznie.

Tyłem i do przodu!

W okolicach Siedlisk pogranicznicy zatrzymali 31-letniego mężczyznę, który
wykazał pomysłowość, przekraczając tzw. zieloną granicę. – Ukrainiec, chcąc
zmylić strażników granicznych, szedł przez granicę wspak. Ślady na granicy
pozostawione przez osobę idącą tyłem miały świadczyć o rzekomym przekro-
czeniu granicy z Polski na Ukrainę, a nie – jak w rzeczywistości – z Ukrainy do
Polski – wyjaśnił Piotr Zakielarz z Bieszczadzkiego Oddziału Straży Granicznej.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński,
Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszc (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiliowicz,
Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Roman Kurkiewicz,
Bronisław Łagowski, Edward Mikolajczyk, Ludwik
Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytor: Magdalena Głuska

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji:

Sandra Zawadzka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Prenumerata. Prenumeratę krajową i zagraniczną od
dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu.
Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega
sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów.
Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnia-
nie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE
bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki
po uzyskaniu zgody wydawcy.**

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie
niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi
odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Edward Dwurnik, Wietnamki



**Warszawa,
al. Waszyngtona 2a
do 20 maja**

Mariusz Stanowski, bez tytułu



W tym roku Galeria Sztuki Milano na Saskiej Kępie obchodzi 30-lecie istnienia. Jej założycielka Elżbieta Kochanek-van Dijk postawiła na klasyków sztuki współczesnej oraz uznanych twórców średniego pokolenia, nie rezygnując jednak z promocji młodych i obiecujących artystów. Wśród autorów prezentowanych na wystawach indywidualnych często pojawiają się młodzi debiutanci, dopiero poszukujący własnego języka wypowiedzi. Nowatorstwo tych działań, sposób myślenia twórców i ich warsztat odświeżają ogląd sztuki najnowszej

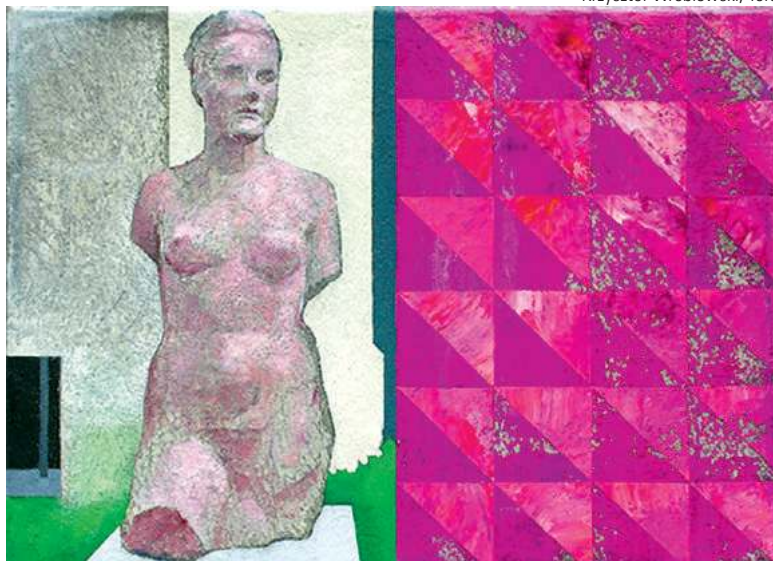
Paweł Borkowski, Miles Davis



Jarek Puczel, Radość-smutek



Krzysztof Wróblewski, Tors



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



FRANZ ROGOWSKI („HAPPY END“)

PAULA BEER („FRANTZ“)

REŻYSERIA **CHRISTIAN PETZOLD** („FENIKS”, „BARBARA“)

TRANZYT

ADAPTACJA POWIEŚCI ANNY SEGHERS

W KINACH OD 3 MAJA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”



AURORA

Polish Jazz

vol. 83



Jerzy Mączyński

Jerry & The Pelican System



KONCERTY PROMUJĄCE DEBIUTANCKI ALBUM

10 MAJA 2019 **PREMIERA** WARSZAWA, TEATR CAPITOL

13 MAJA 2019 KATOWICE, TEATR ŚLĄSKI

14 MAJA 2019 KRAKÓW, ALCHEMIA

16 MAJA 2019 BIELSKO-BIAŁA, AQUARIUM

17 MAJA 2019 POZNAŃ, DRAGON

www.facebook.com/JerryThePelicanSystem

KUP BILET: **eBilet.pl**

eBilet.pl 0905450000